

DARIUSZ DOMAGALSKI



• PIRACI •
PÓŁNOCY

BRACTWO

· PIRACI ·
PÓŁNOCY
BRACTWO

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA



Redakcja:
ARTUR SZREJTER

Korekta:
OLGA GORCZYCA-POPŁAWSKA, BARTŁOMIEJ ŁOPATKA

Projekt okładki:
MAGDALENA ZAWADZKA

Skład:
AGNIESZKA CZULIŃSKA

Copyright © by Dariusz Domagalski, 2013
Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2013

ISBN: 978-83-64185-22-9

Instytut Wydawniczy ERICA
e-mail: wydawnictwoerica@wp.pl
www.WydawnictwoErica.pl

Mojemu ojcu, Tomaszowi

Rozdział I

Morze Bałtyckie

Kwiecień 1389 roku

Śnieżnobiała mewa szybowiała nisko nad taflą wody. Kurt Büllenwaver podziwiał jej szeroko rozpostarte skrzydła, zazdroszcząc lekkości oraz gracji, z jaką unosiła się w powietrzu. Sam był otyłym mężczyzną o podwójnym podbródku i fałdach tłuszczu wyraźnie odznaczających się pod zbyt obcisłą szatą. Ubrany w jopulę¹ z czarnego aksamitu obszytego złotą nicią, wyglądał niczym udzielny książę, a nie zwykły hanzeatycki kupiec, będący w morskiej podróży z Lubeki do Gdańska.

Mewa zatoczyła krąg wokół statku i przysiadła na relingu² tuż obok Büllenwavera. Zupełnie nie przejmowała się bliskością człowieka. Musiała być przyzwyczajona do olbrzymich drewnianych łodzi, bezceremonialnie wdzierających się na jej terytorium łowieckie. Właśnie tędy, niedaleko plaż Pomorza, przebiegał jeden z

1 Jopula składała się ze spodniego kaftana (dubletu) do bioder (wkładanego pod wierzchnie szaty i zbroję) oraz z przywiązywanych do niego nogawic. Miała krój czteroczęściowy, dwudzielny, z wąskimi rękawami. Jopula wkładana pod zbroję była obficie watowana na ramionach, plecach i piersiach oraz przeszywana (wraz z warstwami płótna) pionowymi ściegami w górnej części, a poziomymi w dolnej. Przy szyi była wykończona oszewką lub niskim, stojącym kołnierzem, a sznurowano ją z przodu lub na plecach. Jopula wierzchnia była luźniejsza i dłuższa od spodniej.

2 Reling – pionowa bariera, biegnąca wzdłuż krawędzi pokładu i zabezpieczająca załogę przed wypadnięciem za burtę.

najbardziej uczęszczanych szlaków Bałtyku. Odkąd Hanza³ zdominowała handel na tym morzu, codziennie dziesiątki obładowanych towarami żaglowców wyruszało z jego portów do najdalszych zakątków Europy. Zyski kupców hanzeatyckich były olbrzymie, nic zatem dziwnego, że Kurt Büllenwaver mógł sobie pozwolić na najmodniejsze stroje, a nawet kupno własnej kogi⁴.

Mężczyzna z dumą powiódł spojrzeniem po zakupionym niedawno statku, który odbywał swój dziewiczy rejs. „Biała Dama” – bo taką nazwę otrzymała koga – była pękata niczym krowa. Dawno przeminęły czasy wikingów i ich smukłych łodzi o dziobach zdobionych wizerunkami smoków. Teraz na wodach królowały szerokie i niezgrabne żaglowce, budowane z myślą nie o wyprawach wojennych, a o przewiezieniu jak największej ilości towarów. Kogi były duże i solidne, ale mało zwrotne.

Büllenwaver zawsze powtarzał, że ludzie nie powinni wypuszczać się na morze, gdyż są istotami lądowymi – a gdyby Bóg chciał, aby

3 Hanzy – związki miast handlowych Europy Północnej i Zachodniej. Należące do nich miasta popierały się na polu ekonomicznym, równocześnie tworząc realną siłę polityczną, a niekiedy również i wojskową. W powieści mowa o Hanzie Niemieckiej, zwanej po prostu „Hanza”, która w XIV i XV wieku gromadziła wszystkie liczące się miasta pobrzeży Morza Północnego i Bałtyckiego. W szczytowym okresie rozwoju Hanza liczyła 160 miast pod przewodnictwem Lubeki. Delegaci miast hanzeatyckich spotykali się na zjazdach (Hansetage), by opracowywać wspólną politykę.

4 Koga – typowo handlowy statek frachtowy pochodzenia fryzyjskiego, dominujący w żegludze na morzach północnoeuropejskich w XIII i XIV wieku. O wyglądzie i ewolucji kogi informują głównie rysunki wkomponowane w średniowieczne pieczęcie nadmorskich miast. Na ich podstawie możemy stwierdzić, że kadłub kogi był krótki, przysadzisty i szeroki, a jego wysokość równała się mniej więcej połowie długości. Koga miała ożaglowanie rejowe, jeden duży prostokątny żagiel i ster zawiasowy na długiej tylnicy. Cechą wyróżniającą sylwetkę tego typu statku były znajdujące się na dziobie i rufie wysokie kasztele z blankami.

było inaczej, obdarzyłby ich płetwami. Jednak teraz, gdy wszedł w posiadanie własnego żaglowca, diametralnie zmienił zdanie.



Koga

Podczas rejsu, kiedy tylko pogoda temu sprzyjała, wychodził z kabiny i spacerował po pokładzie, od nadbudówki dziobowej do rufowej i z powrotem. Kasztele⁵ bojowe były zwieńczone krenelażami⁶ przypominającymi nieco blanki na murach zamkowych. W razie morskiej napaści można było się zza nich bronić. Ale na pokładzie nie znajdowali się żołnierze, bowiem

⁵ Kasztele – wysokie nadbudówki na dawnych żaglowcach. Wyróżniano kasztele dziobowe i rufowe.

⁶ Krenelaż – rodzaj drewnianych blanków obronnych montowanych na kasztelach.

żaglowcom tego rodzaju nie przeznaczano zadań wojennych. Służyły kupcom jedynie do transportowania towarów. Nie oznaczało to jednak, że koga była zupełnie bezbronna. Każdy marynarz potrafił walczyć, przynajmniej jako tako, a pod pokładem mieściła się mała zbrojownia.

Na rufie, trzymając rumpel⁷, stał sternik gotowy w każdej chwili zmienić kurs, gdyby na horyzoncie pojawiło się zagrożenie, choćby w postaci pirackich statków. Koga szła półwiatrem, prawym halssem. Obok sternika powiewał symbol Lubeki – żółty proporzec⁸ z czarnym dwugłowym orłem – gdyż właśnie z tego miasta pochodziła „Biała Dama”.

Na środku jednostki znajdował się strzelisty maszt, podtrzymujący żagiel rejowy⁹. Żaglomistrz – ponury brodac, który przez cały rejs nie odezwał się ani słowem, więc Büllenwaver podejrzewał, że jest niemową – cały czas czuwał i przy najmniejszej zmianie wiatru natychmiast manewrował żaglem za pomocą brasów¹⁰.

Pod pokładem znajdowała się ładownia na sto łasztów¹¹,

7 Rumpel – drążek sterowy, najprostsze z urządzeń służących do poruszania sterem jednostki pływającej. Składa się z ramienia nałożonego bezpośrednio na trzon steru lub na górną część płetwy sterowej. Ramieniem tym operuje sternik, trzymając je w ręku lub, w przypadku stałych kursów, blokując je liną albo unieruchamiając w inny sposób.

8 Termin „bandera” nie był jeszcze stosowany na Północy w opisywanym okresie historycznym.

9 W ożaglowaniu rejowym żagiel rozpina się poniżej poziomej belki zwanej reją, która jest zamocowana do masztu poprzecznie do osi podłużnej żaglowca. Żagle rejowe mogą być w niewielkim zakresie obracane wokół masztu, więc statek z tego typu ożaglowaniem nie może pływać ostro na wiatr.

10 Brasy – liny służące do ustawiania ożaglowania rejowego w płaszczyźnie najkorzystniejszej względem wiatru poprzez odpowiednie odwrócenie rei w płaszczyźnie poziomej. Brasy są poprowadzone od noków rei w kierunku rufy.

11 Łaszt – dawna miara objętości (od 3 do 4 tysięcy litrów) ciał sypkich, w średniowieczu głównie ziarna, stosowana od XIV do XIX wieku w transporcie

wypełniona po brzegi najróżniejszymi towarami: od worków ze zbożem i beczek z cenną solą, poprzez bele sukna i pakunki zawierające tak uwielbiane przez szlachetnych panów gronostajowe futra, aż po garnki z woskiem i miodem.

Kurt od trzydziestu lat trudnił się handlem i dobrze wiedział, na co obecnie jest największy popyt. Już zacierał ręce na myśl o fortunie, jaką przyniesie mu sprzedaż tego całego dobra w Gdańsku. Marzyło mu się kupno floty złożonej z kilku żaglowców, które kursowałyby nie tylko po Morzu Wschodnim¹², lecz także po Północnym, docierając aż do zimnych wybrzeży Anglii. Ale najpierw musiał uzbierać posag dla swojej córki, Katarzyny, która w tym roku kończyła piętnaście wiosen. I chociaż jeszcze była ukochaną córeczką tatusia, a on traktował ją jak małą dziewczynkę, wiedział, że najwyższy czas rozejrzeć się za mężem dla niej. Za zarobione pieniądze chciał również odnowić kamienicę w Lubece i oddać jedno piętro żonie – tylko po to, żeby być jak najdalej od tej gderliwej baby. Büllenwaver miał już dosyć jej wiecznych pretensji, roszczeń i wymówek. Pewnie dlatego od pół roku miał kochankę.

Mars ustąpił z czoła mężczyzny na myśl o słodkiej Kunegundzie. Dziewczyna miała oczy jak dwa rozżarzone węgle, włosy czarne niczym nocne niebo, a jej wąską kibić mógł opleść dłońmi. Co z tego, że była z nim dla wymyślnych prezentów i pieniędzy, po które wyciągała dłoń, gdy tylko nadarzała się okazja? Kurt nie był głupcem i zdawał sobie sprawę, że Kunegunda poświęca mu swój czas tylko z tego powodu. Zbliżał się już do pięćdziesiątki, a ostatnie co, jaką można było o nim powiedzieć, to że jest atrakcyjny.

Czasami czuł do siebie obrzydzenie, gdy, dając upust żądzom,

rzecznym i morskim w portach nadbałtyckich.

12 Morze Wschodnie (niem. Ostsee) – Niemcy w owych czasach używali zarówno własnej starej nazwy Ostsee, jak i nazwy przejętej od Słowian nadbałtyckich – Bałtyk.

przygniatał cielskiem tę filigranową dziewczynę, za ledwie o rok starszą od jego córki. I chociaż nigdy się nie skarżyła, przyjmując go w siebie, gdy tylko tego zapragnął, postanowił, że po powrocie do Lubeki, w ramach zadośćuczynienia, kupi jej kolbę wysadzaną szafirami i szmaragdami. To na jakiś czas uciszy jego wyrzuty sumienia.

Przycupnięta na relingu mewa nagle zerwała się do lotu. W tej samej chwili rozległ się krzyk wachtowego z kasztelu dziobowego:

– Trzy żaglowce od strony lądu! Płyną ku nam!

Hanzeatycki kupiec zmarszczył czoło.

Na szlakach morskich oprócz sztormów, zdradzieckich skał i mielizn czyhały na podróżnych również inne niebezpieczeństwa. Podobnie jak na gościńcach, tutaj też grasowali rabusie. Procederem tym trudnili się rycerze, których w rodzinnych stronach Büllenwavera nazywano raubritterami¹³. Na lądzie zmuszali kupców do płacenia haraczu w zamian za przejazd przez drogi znajdujące się w pobliżu ich zamków, a na podróżujących morzem również znajdowali sposoby.

Jednym z ich najczęstszych forteli było pędzenie wzdłuż brzegu krowy z latarnią umieszczoną między jej rogami. Szyper żeglującego nocą statku, myśląc, że to światło innego żaglowca, zbliżał się do niego i zanim zdążył stwierdzić swoją pomyłkę, koga rozbijała się o skały lub grzęzła na mieliznie. Wówczas ładunek stawał się łatwym łupem dla czyhających na lądzie rozbójników.

Od czasu, gdy pretendent do korony duńskiej, Albrecht z dynastii

13 Raubritter – niemiecka nazwa „rycerza rozbójnika”, choć tak naprawdę określenie to pojawiło się dopiero w XVIII wieku na kartach niemieckich romansów. Współcześnie uważa się, że rycerzy trudniących się w późnym średniowieczu zbójctwem na drogach lądowych było mniej, niż kiedyś zakładano. Natomiast faktem jest, że na morzach posiadali własne floty.

meklemburskiej¹⁴, którego nie poparła Hanza, zezwolił swojej szlachcie na półprywatną wojnę z miastami hanzeatyckimi, Meklemburczycy zaczęli organizować drużyny kaperskie, obsadzali żołnierzami statki i wysyłali je na szlaki. Gdy okazało się, że taki proceder przynosi niebywale zyski, wkrótce w ich ślady poszli jutlandzcy i holsztyńscy hrabiowie oraz pomorscy książęta. Bałtyk stawał się coraz niebezpieczniejszym morzem dla kupców Hanzy.

Do Büllenwavera podszedł szyper¹⁵, olbrzymi mężczyzna o dłoniach jak bochny chleba i gęstej brodzie okalającej pół twarzy. Spojrzenie zimnych oczu utkwiał w zbliżających się żaglowcach.

– Idą pełnym wiatrem – rzekł ponuro. – Rychło nas dogonią.

– Piraci? – zapytał trwożnie kupiec łudził się jeszcze, że to hanzeatycka flotyła płynie im na spotkanie.

Szyper nie odpowiedział, próbując wypatrzeć proporce na okrętach.

– Czerwony gryf na białym tle – rzekł wreszcie. – Gryfici.

Kurt chwycił się za głowę i zaczął szarpać włosy w rozpacz. Zrozumiał, że jest zgubiony. Książęcy ród Gryfitów z Pomorza nie sprzyjał Hanzie, dlatego już wielu kupców z Lubeki padło ofiarą rozboju z ich strony. Nawet jeśli uda mu się ująć z życiem, straci

14 Albrecht Meklemburski (ok. 1338/1340–1412) – król Szwecji w latach 1364–1389 i książę Meklemburgii (księstwa w północno-wschodnich Niemczech) w latach 1386–1412. Siłą zajął tron szwedzki, przez co był tam bardzo niepopularny, a w Finlandii (ówcześnie należącej do Szwecji) wręcz zniechęcony po tym, jak ograniczył prawa Finów i pozbawił majątków ich szlachtę. Możliwością szwedzcy w 1387 roku porozumeli się z królową Danii i Norwegii, Małgorzatą I, w sprawie przejścia przez nią korony szwedzkiej. W roku 1389, podczas bitwy pod Falköping, Albrecht dostał się do niewoli duńskiej, co stanowi jeden z pobocznych wątków tej powieści.

15 Szyper – potoczne określenie dowódcy niewielkiego statku, wywodzące się z bardzo podobnych wczesnośredniowiecznych terminów skandynawskich, niemieckich i angielskich, które określały „dowódcę łodzi”. Odpowiednik późniejszego kapitana.

żaglowiec i cały ładunek.

– Przygotować się do walki! – krzyknął szyper. – Rychtować katapultę! Pobrać broń!

Doświadczona załoga pospiesznie zaczęła wykonywać rozkazy. Każdy doskonale wiedział, co ma robić. Czterech mężczyzn wytaszczyło z rufowej nadbudówki maszynę miotającą, ustawiło ją na śródkręciu. Wraz z nią przyniesiono pociski – kamienie i okute belki.

Młody chłopak okrętowy, który nie miał jeszcze dość krzepy na stawanie twarzą w twarz w starciu z wrogiem, zwinnie wspiał się po linach na mars¹⁶, żeby móc stamtąd szyc z łuku. Inni wciągali na siebie kolczugi i pancerze z utwardzanej skóry, a na głowy zakładali kapaliny¹⁷. Do lewego przedramienia przyczepiali rzemieniami tarcze, a prawicą sięgali po topory, tasaki czy miecze. Chociaż byli marynarzami z kupieckiej kogi, wyglądało na to, że wiedzą, do czego służy oręż.

Załoga „Białej Damy” liczyła dwudziestu ludzi. Gotowi do boju, skryli się za krenelażami. Tylko sternik i żaglomistrz pozostali na swoich stanowiskach, manewrując tak, żeby uciec pirackim statkom. Mimo ich wysiłków obładowana towarem i głęboko zanurzona koga nie była w stanie płynąć szybciej.

Spocony ze strachu Büllenwaver, ściskając rękojeść krótkiego korda – który zawsze zabierał w podróż, ale nie przypuszczał, że będzie musiał go kiedykolwiek użyć – spoglądał na ścigające ich

16 Mars – platforma znajdująca się w miejscu połączenia kolumny masztu ze stengą, zazwyczaj służąca za „bocianie gniazdo” lub umocniony punkt obrony podczas abordażu.

17 Kapalin – hełm otwarty o dzwonie otoczonym szerokim, nachylonym w dół rondem. Kształtem przypominał kapelusz. Znany już w starożytności, a w średniowieczu stanowił powszechne wyposażenie piechoty. Ulegał ewolucji poprzez pogłębienie dzwonu i poszerzenie krezy ochraniającej twarz, co doprowadziło w XV wieku do powstania hełmu typu salada.

żaglowce. Pozbawione obciążenia statki pręły fale, doganiając w oczach hanzeatycką kogę. Już było widać zbrojnych, szczerzących się na myśl o rychłym rozlewie krwi oraz bogatych łupach, które przypadną im w udziale. Kurt wiedział, że kiedy dojdzie do abordażu, załoga „Białej Damy” nie będzie miała żadnych szans. Piraci przewyższali ich liczebnie – i to pewnie aż czterokrotnie – i byli bardziej obeznani z rzemiosłem wojennym.

Poleciały kamienie wystrzelone z katapult. Pierwszy chlupnął w wodę daleko od ich kogi, drugi przeleciał nad ich głowami, ale następne dosięgły celu. Głazy opisywały wysoki łuk i z łomotem waliły o burzę, druzgocąc relingi. Zaświstały strzały i bełty, siejąc spustoszenie wśród marynarzy ukrytych za krenelażami. Pocisk z pirackiej kuszy trafił żaglomistrza w plecy. Martwy mężczyzna zwałił się do wody. Na szczęście jego pomocnik zaraz chwycił za brasy i nie pozwolił, żeby żagiel wpadł w łopot.

Marynarze z „Białej Damy” próbowali się odgryzać, ale nie byli tak biegli w sztuce wojennej jak ich prześladowcy. Ich strzały nie wyrządzały szkody piratom, a bełty z kusz trzymany w drżących rękach rzadko docierały do celu, podobnie jak pociski wyrzucane z machiny miotającej, które tonęły w odmętach morza.

Büllenwaver, przycupnięty za krenelażem kasztelu rufowego, gorąco modlił się do Najświętszej Paniienki o ratunek. Pogodził się już ze stratą ładunku nowej kogi, ale pragnął zachować życie. Przyobiecał Maryi Dziewicy, że jeśli wyjdzie z tego żywym, ufunduje w Lubece kaplicę ku jej czci, jeszcze w tym roku ruszy na pielgrzymkę do Rzymu i nie będzie więcej grzeszyć z Kunegundą. To ostatnie przyrzeczenie zabolowało go najbardziej i przez chwilę zastanawiał się, czy się z niego nie wykręcić, ale raz danego słowa nie można cofać. A na pewno nie słowa danego Matce Boskiej.

Przerwał nabożne szeptanie, gdy usłyszał dochodzący z góry świst. Zalekniiony, podniósł wzrok ku niebu. Z początku, oślepiiony

słońcem, niczego nie dostrzegł, ale nagle z blasku wyłonił się szybujący w powietrzu głaz. Hanzeatycki kupiec wydał kwik niczym zarzynana świnia i w panice skulił się jeszcze bardziej. Żałował, że przez swoją tuszę jest tak dogodnym celem. Pocisk przeleciał jednak nad jego głową i trafił w sternika, gruchocząc mu nogę. Twardy człowiek morza zacisnął tylko mocniej zęby ani na chwilę nie wypuścił z rąk rumpla. Gdyby koga zoczyła z kursu, pirackie statki bardzo szybko znalazłyby się przy jej burtach. A tak, załoga jeszcze się łudziła, że może wiatr się odmieni albo nadciągnie szkwał i „Biała Dama” ujdzie pogoni.

Ale nadzieja została zdmuchnięta niczym płomień świecy w mroczny wieczór, gdy okno otwiera się z trzaskiem i wichura wdziera się do komnaty. Büllenwaverowi serce podeszło do gardła, gdy jeden z głazów zatoczył wysoki łuk i trafił w maszt, który pękł z głośnym trzaskiem i zwałił się na pokład. Przytwierdzony do połamanych rej żagiel najpierw dziwnie się wydał, a potem runął do morza. Koga jeszcze przez chwilę płynęła siłą rozpędu, ale zaraz zwolniła, a w końcu całkiem się zatrzymała. Wyglądała teraz jak okaleczona klacz pośrodku wodnego gościńca.

W niebo wzbily się okrzyki triumfu. Piraci wiedzieli, że hanzeatycki żaglowiec już im nie umknie. Tymczasem na pokładzie „Białej Damy” zapanowało grobowe milczenie. Marynarze ponuro wpatrywali się w złamany maszt i unoszący się na falach białoczerwony żagiel. Zdali sobie sprawę, że ich los został właśnie przesądzony.

Statki Gryfitów zbliżyły się i teraz wyraźnie było widać stojących na pokładach zbrojnych. Na głowach mieli szpiczaste szlomy¹⁸, byli odziani w kolczugi, a w rękach dzierżyli halabardy do zahaczania o

18 Szłom – hełm. Jedna z najstarszych słowiańskich nazw na hełm (czasem błędnie utożsamia się szlomy z hełmami typu wielkopolskiego o proveniencji wschodniej).

relingi i przyciągania abordażowanych okrętów. Na osmalonych wiatrem twarzach piratów malował się wyraz zwycięstwa.

– Nie poddamy się bez walki – wychrypiał szyper, gdy żaglowce Gryfitów szczyły się z burtami „Białej Damy”. – Za Lubekę!

I chociaż załoga hanzeatyckiej kogi była złożona z przybłąd z całego świata, dla których Lubeka nie stanowiła domu rodzinnego, a miała być zaledwie etapem w drodze do wielkiej fortuny, o której marzyli, unieśli oręż i ruszyli na wroga. W każdym z wilków morskich tlił się duch bojowy i nawet gdy przyszło im walczyć z tak licznyim wrogiem, dzielnie stawili mu czoło. Przez lata zmagania się ze sztormami łamiącymi maszty, potężnymi falami zalewającymi pokłady i kipiелami wciągającymi żaglowce w stalowoniebieską otchłań przyzwyczaili się do obcowania ze śmiercią. Niektórym z marynarzy wydawało się nawet, że zakapturzona postać z kosą stoi na kasztelu i lekko się uśmiecha. Dla wielu z nich falująca morska toń miała stać się dzisiaj trumną.

W powietrze wzbil się potworny huk, gdy dwie grupy zbrojnych zwarły się ze sobą. Po wodzie poniósł się szczęk oręża, krzyki umierających i jęki rannych. Zaprawieni w boju piraci najpierw nastawili halabardy, na które nadziali się nacierający marynarze, a dopiero potem wyciągnęli tasaki i topory. Mieczy nie używano prawie wcale, bo nie było miejsca, żeby wziąć porządny zamach. Zbrojni rąbali, siekli i tłukli w potwornym ścisku. Niektórzy byli przyciskani do ścian nadbudówek i miażdżeni, inni wypadali za burty. Stal uderzała o stal, krew tryskała na wszystkie strony, pękały tarcze i ludzkie czerepy. Odcięte kończyny wały się po pokładzie, w kałużach posoki z bólu zwijali się ranni, deptani przez napierający tłum.

Starcie w niczym nie przypominało honorowych walk na lądzie, gdzie rycerze wyzywali się kolejno do boju, nikt nie atakował od tyłu, a przeciwnikowi, który padł na ziemię, pozwalano się podnieść.

Tutaj rządził chaos. Nikt nikogo nie oszczędzał, wbijano sztychy w plecy, podcinano nogi, gryziono, szarpano i używano wszelkich podstępów, byle tylko zabić wroga. Na każdego marynarza „Białej Damy” przypadało co najmniej trzech przeciwników, nie było zatem mowy o honorowych pojedynkach, a gdy tylko nadarzyła się okazja, piraci atakowali w kilku na jednego.

Kurt wcisnął się w kątek rufowego kasztelu tak głęboko, jak tylko pozwalała mu tusza, naiwnie wierząc, że walczący go nie spostrzegą. Trząsł się ze strachu niczym osika, obiema dłońmi obejmował rękojeść korda, wysuwając ostrze przed siebie i mając nadzieję, że taka postawa nadaje mu groźny wygląd. Gdyby ujrzał go w tym momencie jego nauczyciel fechtunku, u którego lekcje brał raz w tygodniu przez zaledwie godzinę, padłby ze śmiechu. Ale hanzeatycki kupiec chciał jedynie przeżyć. Miał nadzieję, że może nikt nie zechce z nim walczyć.

Niestety, marzenie to rozwiało się niczym mgła o poranku na bałtyckich plażach. Stojący kilka kroków dalej mężczyzna w białej jace¹⁹ z wymalowanym na niej czerwonym gryfem zatopił topór w czaszce któregoś z marynarzy, ryknął triumfalnie i rozejrzał się za nowym przeciwnikiem. Wówczas jego spojrzenie spoczęło na Büllenwaverze. Przekrzywił lekko głowę, oceniając strój, ozdoby i pierścienie na palcach lubeczana. Skrzywił usta w paskudnym uśmiechu. Wyszarpnął topór z głowy zabitego, czemu towarzyszyło ohydne młaśnięcie, i wolnym krokiem ruszył w kierunku kupca.

Kurt próbował jeszcze mocniej wcisnąć się w kątek kasztelu, ale

19 Jaka – modny w XIV i XV wieku kaftan męski do bioder, krojony z czterech jednolitych części, charakterystycznie uwypuklony na piersiach i z owalnie podkrojonymi pachami. Jaki szyto z miękkich tkanin jedwabnych, aksamitu i sukna. Pod jaki jedwabne dodawano spody filcowe lub pikowane z kilku warstw płótna i waty, ułatwiające układanie aktualnie modnej formy. Jaki rycerskie typu ochronnego miały albo spody wzmocnione metalowymi płytami, albo kolczugi wszyte pomiędzy warstwy płótna i waty.

napotkał opór drewnianej ściany. Ciężko przełknął ślinę i zdecydował się na desperacki krok. Skoczył do przodu i próbował dźgnąć napastnika kordem w twarz. Pirat bez najmniejszego problemu wykonał unik, przepuścił ostrze tuż przed swoim nosem, a następnie wytrącił broń z rąk oszołomionego kupca. Büllenwaver odprowadził wzrokiem upadający kord, swoją ostatnią nadzieję. Przeniósł spojrzenie na pirata. Mężczyzna uśmiechał się szeroko, odsłaniając spróchniałe zęby. A potem zamachnął się toporem.

Powiadają, że tuż przed śmiercią jawi się człowiekowi całe jego życie, żeby na Sądzie Ostatecznym wiedział, za co został potępiony lub wyniesiony do niebios, ale w przypadku hanzeatyckiego kupca nic takiego nie nastąpiło. Poczul tylko olbrzymi żal, że już nigdy nie zobaczy córeczki. Nie ujrzy, jak staje się kobietą, nie zaprowadzi jej do ołtarza i nie będzie radował się z wnuków. Łza spłynęła po jego pulchnym policzku.

Smutkiem napawało go również, że nie złoży pocałunku na czerwonych niczym jarzębina ustach Kunegundy. Jakże pragnął raz jeszcze zedrzeć z niej szaty, palcami pieścić małe, ale bardzo kształtne piersi, wargami schodzić niżej i niżej, językiem zwilżyć miejsce dające mu tyle radości, by potem wdrzeć się w nią. A w końcu drzeć z rozkoszy. Niestety, nigdy już tego nie zrobi.

Nigdy nie ujrzy również żony, ale akurat z tego powodu nie rozpaczał.

Westchnął ciężko i przymknął powieki. Teraz był gotów na śmierć. Spodziewał się, że zaraz ostrze topora rozłupie mu czaszkę, że padnie nieżywy, że krew szkarłatnym strumieniem zabarwi pokład kogi, z której był tak dumny. Ale nagle usłyszał przeciągły jęk. Nieśmiało otworzył oczy i zdumiony ujrzął, jak pirat chwieje się na nogach, wypuszcza z rąk broń, a z jego ust płynie strużka krwi. Niedoszły oprawca Kurta runął na pokład. Z pleców sterczała mu strzała.

Kupiec podniósł wzrok i spostrzegł na marsie chłopaka szyjącego z łuku. Od czasu do czasu młodzieniec odkładał broń i zrzucał na głowy przeciwników kamienie, okute belki, ciskał oszczepami. Piraci szybko zorientowali się w zagrożeniu i już dwóch zbrojnych wspinało się po wantach²⁰ i brasach, a trzeci wdrapywał się na maszt. Upłynęła zaledwie zdrowaśka²¹, a byli na górze. Chłopak chwycił kolejną włócznię i próbował opędzić się od napastników, ale nie miał wprawy w walce, więc szybko został rozbrojony i wypchnięty z marsa. Spadając, machał rękoma, jakby miał nadzieję, że dzięki temu wzniesie się niczym ptak. Krzyczał wniebogłoso, a jego głos umilkł dopiero, gdy łuczniczka uderzył w pokład.

Büllenwaver odwrócił głowę, nie mogąc patrzeć na nienaturalnie wykrzywione ciało, roztrzaskaną głowę i martwe oczy. Osunął się na deski, oparł o krenelaż i zaczął spazmatycznie łkać. Przez łyżki widział, jak piraci zdobywają przewagę i wybijają marynarzy „Białej Damy”. Lada chwila opanują kogę.

Ranny szyper, przyciskając do piersi kikut, bronił się jeszcze na śródokręciu. Otoczony przez piratów, nie miał gdzie się wycofać. Zadawał ciosy toporem trzymany w zdrowej ręce, a gdzie uderzył, tam padał trup. Walczył jak ranny, oszalały wilk. Piraci żadnym sposobem nie mogli go ujarzmić, wręcz bali się do niego zbliżyć. Wreszcie któryś wpadł na pomysł, żeby użyć halabard. Szyper szybko zginął, zakłuty szpikulcami niczym zwierzę. W powietrze wzbil się chór triumfalnych okrzyków, jakby zabicie wroga w ten tchórzliwy sposób mogło być powodem do dumy.

Marynarze, którzy jeszcze tu i ówdzie walczyli, ujrzawszy śmierć dowódcy, zupełnie stracili ducha. Odrzucali broń i poddawali się w

20 Wanty – liny stabilizujące maszt w płaszczyźnie poprzecznej statku. Znajdują się na burtach statku.

21 Zdrowaśka – dawna jednostka miary czasu, odpowiadająca około 20 sekundom. Stanowiła okres potrzebny na odmówienie modlitwy Zdrowaś Mario.

nadziei, że zostaną oszczędzeni. Zazwyczaj rabusie wyrzynali wszystkich na pokładzie grabionego żaglowca, żeby nie zostawiać świadków niecnego procederu, ale, ku zdumieniu Büllenwavera, tym razem zagonili ocalałych na śródokręcie i kazali im usiąść przy strzaskanym maszcie. Dwóch zbrojnych podeszło też do kupca, ściągnęło go z kasztelu i posadziło wraz z innymi.

Dopiero wówczas na „Białą Damę” wszedł majestatycznym krokiem mężczyzna, który miał na sobie kolczugę znacznie lepszej jakości niż jego podkomendni, złożony pas, a na głowie kosztującą majątek przyłbicę²². Znać było po nim, że jest możnowładcą. Rozkazy wydawał tubalnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. Na jego polecenie piraci wyważyli luk ładowni i przystąpili do przenoszenia towarów na własne okręty. Kurt przyglądał się temu, czując jak żal ściska go za gardło. W ręce rabusiów dostawało się dobro zebrane z takim trudem...

Spojrzenie kupca musiał zauważyć możnowładca, gdyż podszedł do lubeczanina i bezceremonialnie klepnął go w plecy.

– Radujcie się, panie, że z życiem uszliście – rzekł, podnosząc zasłonę przyłbicy. – Jam jest Warcisław, książę słupski. A wy, jak mniemam, jesteście właścicielem tego żaglowca?

– Kurt Büllenwaver z Lubeki – przedstawił się kupiec.

– Nie lękajcie się. Już nic wam nie grozi. Spędzicie trochę czasu w moim zamku, dopóki rodzina hojnego okupu za was nie zapłaci. Czujcie się, panie, moim gościem...

– Gościem?! – prychnął kupiec, jakby raptownie wyzbył się strachu.

22 Przyłbica – rodzaj hełmu, stosowany od XIV do XVI wieku. Wyewoluował z łebki, do której dodano chroniącą twarz ruchomą część, zwaną zasłoną. Zasłona miała szczeliny wzrokowe i otwory wentylacyjne, można było ją podnosić lub całkowicie ściągać. W porównaniu z innymi hełmami przyłbica była bardzo droga, gdyż kosztowała od jednej grzywny (równowartość półtorej krowy) aż do czterech grzywnien. Dzisiaj często błędnie nazywa się przyłbicą samą zasłonę.

– Napadliście na żaglowiec należący do Hanzy, niemal w pień wyrzneliście załogę, zagarniacie mój towar i jeszcze zażądacie za mnie okupu, który zrujnuje moją rodzinę! Jestem waszym więźniem, a nie gościem. A wy jesteście zwykłym rabusiem!

Książę słupski słuchał wyrzutów z pobłażliwym uśmiechem, spoglądając na hanzeatyckiego patrycjusza, jakby był rozkapryszonym dzieckiem, któremu zabrano słodycze.

– W tych trudnych czasach każdy radzi sobie, jak może. – Warcisław wzruszył ramionami.

– Czasy nigdy nie są łatwe – odparł Büllenwaver. – To was nie usprawiedliwia.

– Prawda. Ale trudno teraz odróżnić zbira od szlachcica. Dzisiaj jestem dla was zwykłym rabusiem, ale kto wie, czy jutro nie zasiądę na królewskim tronie jak mój syn.

Książę zasępił się nagle i przeniósł spojrzenie daleko na północ, jakby chciał dojrzeć coś po drugiej stronie morza.

– Wasz syn jest królem? – zdziwił się kupiec.

Władca słupski pokiwał głową.

– Na chrzcie daliśmy mu Bogusław. Wychowywałem go zgodnie z duchem rycerskim i wierzyłem, że obejmie po mnie władzę w księstwie, ale pisane mu większe zaszczyty.

– Co macie na myśli?

– Gdy miał zaledwie dziewięć lat, został adoptowany przez królową Małgorzatę²³ i osadzony na norweskim tronie. Wówczas otrzymał nowe imię.

23 Małgorzata I (1353–1412) – władczyni Danii, Norwegii i Szwecji. Córka duńskiego króla Waldemara IV Atterdaga. Dzięki powiązaniom dynastycznym i zręcznie prowadzonej polityce zdobyła władzę we wszystkich trzech królestwach skandynawskich (choć de facto rządziła jako regentka), które zjednoczyła w unii kalmarskiej (unia przetrwała ponad sto lat). Małgorzata jest uznawana za jedną z najwybitniejszych postaci w historii Danii.

Kurt szeroko otworzył oczy.

– Eryk Pomorski!²⁴

– Tak – Warcisław przytaknął. – A teraz jest szykowany do objęcia tronu Danii i Szwecji.

– Powinniście być dumni z takiego syna!

– Jestem. – Księżę uśmiechnął się samymi kącikami ust. – Ale tęskno mi do niego strasznie. Została mi jeno córka, Katarzyna.

– Ja też mam córkę! – wykrzyknął kupiec. – I też ma na imię Katarzyna.

Nagle oczy Büllenwavera zwęziły się w szparki, jak zwykle, gdy wyczuwał okazję do przechytrzenia kontrahentów. Zagaił płaczącym tonem:

– Moja córka jest w wieku, gdy z pąku zamienia się w różę i niedługo za mąż trzeba jej pójść. Jednakże bez posagu nikt jej nie zechce. Pozbawiając mnie towaru, skazujecie moje biedne dziecko na życie w nędzy lub klasztor. Przecież też macie córkę i doskonale mnie rozumiecie.

Oczy Warcisława groźnie zabłyśły.

– Moja córka ledwie nauczyła się chodzić i do zamążpójścia jej jeszcze daleko. Ale już mierzi mnie myśl o przyszłych adoratorach. Gdy nadejdzie czas, każę ustawić na dziedzińcu zamku bombardę²⁵ i strzelać do zalotników!

Büllenwaver, widząc zaciśnięte pięści i purpurowe oblicze księcia, skulił się w obawie przed jego gniewem. Stwierdził, że nie tędy droga, padł więc do stóp władcy i uczepiwszy się jego szaty, zaczął

24 Eryk Pomorski (1382–1459) – książę pomorski z dynastii Gryfitów, król Norwegii, Danii i Szwecji. Syn księcia Warcisława. Urodził się na darłowskim zamku. W roku 1389 został adoptowany przez królową Małgorzatę I i osadzony na tronach trzech skandynawskich królestw.

25 Bombarda – pierwsze prymitywne działo odprzodowe, miotające kamienie. Bombardy zwano „burzycielami murów”, gdyż były używane głównie do tego celu.

skamleć jak pies:

– Zaklinam was, książę, miejcie nade mną litość – błagał, z żalem spoglądając, jak z ładowni „Białej Damy” wytaczane są beczki z solą, dzbany z woskiem, miodem i ustawiane na pokładach pirackich zaglawców. – Nie czynź ze mnie nędzarza.

– Wy, kupcy Hanzy, niczym koty zawsze spadacie na cztery łapy. Obaczycie, że za rok, może dwa, dorobicie się fortuny. – Warcisław zarechotał. – A wówczas znowu będę mógł was ograbić.

Kurt wstał, otrzepał kolana i wyprostował się dumnie, jakby tym gestem chciał zmazać swoje niedawne poniżenie.

– Złożę skargę!

– Skargę? – Książę słuński lekko uniósł brew. – A do kogóż to?

Lubeczanin skrzywił się, gdyż zdał sobie sprawę z absurdalności tego pomysłu. Książęta pomorscy zarządzili w swoich dziedzinach zupełnie niezależnie, za nic mając sobie cesarza Rzeszy, króla polskiego czy władców skandynawskich. A poza tym, kto stanie w obronie hanzeatyckiego kupca w konfrontacji z ojcem króla Eryka?

– Tak się nie godzi – burknął. – To nie po chrześcijańsku.

– Nic nie rozumiecie, panie Büllenwaver – westchnął Warcisław. – Ja was nie ograbiłem z czystej chciwości niegodnej chrześcijanina. Uczyniłem to ze względów politycznych.

– Co?! – zdumiał się kupiec.

– Pomiedzy Królestwem Polskim a zakonem krzyżackim²⁶ źle się dzieje i powiadam ci, panie, że prędzej czy później wybuchnie

26 Zakon Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Teutońskiego (po polsku: Niemieckiego) w Jerozolimie powstał w latach 1189–1190 podczas oblężenia Akki przez wojska krzyżowe. Na zaproszenie Konrada Mazowieckiego Krzyżacy osiedlili się w Polsce i wzięli w dzierżawę ziemię chełmińską. Do ich zadań należała obrona północnych rubieży Mazowsza i chrystianizacja Prus, szybko jednak stworzyli potężne państwo, które walczyło z Polską i Litwą, a pod koniec XIV wieku starało się zdobyć pozycję hegemonia na wodach Bałtyku.

wojna²⁷. A Księstwo Słupskie zmuszone będzie opowiedzieć się za jedną z tych potęg.

– Po czyjej stronie?

Warcisław nic nie odpowiedział, tylko ciężko westchnął. Kupiec dobrze rozumiał księcia. Mając do czynienia z takimi sąsiadami, musiał umiejętnie lawirować i dobrze przemyśleć każde posunięcie. Kurt słyszał, że kilka lat temu Warcisław sprzymierzył się z Krzyżakami w zamian za obietnicę zdobycia ziem po Każku Słupskim i solidne wsparcie pieniężne, ale ponoć braciszki nie wywiązali się należycie z umowy. Rozgoryczony książę poparł króla Polski Władysława²⁸ i zobowiązał się do blokady dróg wiodących z cesarstwa do państwa zakonnego, co uniemożliwiło przybywanie nowych rycerzy na krzyżackie rejzy²⁹. Dotyczyło to również szlaków morskich. Kurt wreszcie zrozumiał, dlaczego został napadnięty.

– Nic złego nie uczyniłem – rzekł. – Nie przewoziłem żadnych rycerzy na terytorium zakonu.

Warcisław wzruszył ramionami.

– Wypełniłem jeno swój obowiązek.

– A przy okazji pomnożyliście swoją chudobę – skrzywił się Büllenwaver.

Książę przeniósł spojrzenie na swoich ludzi, którzy przynosili

27 Chodzi tu o „wielką wojnę” z zakonem krzyżackim w latach 1409–1411, którą rozpoczęło antykrzyżackie powstanie na Żmudzi, a zakończył I pokój toruński. Podczas tej wojny odbyła się słynna bitwa pod Grunwaldem.

28 Władysław II Jagiełło (1362–1434) – syn Olgierda Giedyminowicza, wielki książę litewski w latach 1377–1381 oraz 1382–1401, król Polski i najwyższy książę litewski w latach 1386–1434. Założyciel dynastii Jagiellonów. Gdy wstąpił na tron polski, przyjął chrzest i przybrał imię Władysław. Jeden z najznamienitszych władców Polski.

29 Rejza – wyprawa łupieżcza (od niemieckiego Reise) na Litwę i Żmudź, dokonywana przez Krzyżaków oraz zapraszanych przez nich zagranicznych rycerzy.

towar z „Białej Damy” na gryfickie żaglowce. Wydał nowe rozkazy, po czym obsztorcował jakiegoś niezdare, któremu dzban z miodem omal nie wypadł za burtę.

– Zapraszam na mój statek – odezwał się władca, gdy przeładunek został skończony. – Skoro tylko wasza rodzina zapłaci okup, puszcze was wolno. Reszta załogi może zabrać kogę i popłynąć do Gdańska.

Kurt, stojąc na pokładzie pirackiego żaglowca, który zmierzał ku wybrzeżu słupskiemu, z żalem przyglądał się „Białej Damie”. Pozostali przy życiu marynarze usiłowali naprawić maszt i postawić żagiel. Nie wątpił, że wreszcie im się to uda i wnet ruszą w drogę do Gdańska. W portowej karczmie za kielich wyśmienitego piwa będą snuć historię o spotkaniu z piratami, z każdą kolejką powiększając swoje zasługi, a pomniejszając towarzyszący im w starciu strach. Zapomną, że ledwie uszli z życiem, będą pamiętać tylko przygodę. Ale hanzeatycki kupiec nigdy nie zapomni strachu i upokorzenia. Mocno zacisnął pięści i przyrzekł Warcisławowi zemstę.

– Nie jestem zbrodzeniem, panie Büllenwaver – rzekł książę, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Dopóki władzę na szlakach morskich sprawują szlachetnie urodzeni książęta i panowie, dopóty przestrzegane będą rycerskie obyczaje. Ale niechybnie nadejdzie dzień, gdy piractwem zacznie trudnić się motłoch, zwykłe pospólstwo, a wówczas przestaną obowiązywać jakiegokolwiek zasady, głowy możnowładców turlać się będą po pokładach i nikt nie będzie się liczył z ludzkim życiem. Cieszcie się zatem, panie, że dzisiaj na mnie trafiliście.

Kurt spojrział na władcę z powątpiewaniem, ale niedługo miał się przekonać, jak wiele prawdy tkwiło w jego słowach.

Gdańsk

Kwiecień 1389 roku

„Biała Dama”, przycumowana na lewym brzegu Motławy, przedstawiała opłakany widok. Kikut masztu wyglądał smętnie na tle dumnych, wysokich masztów okrętów stojących obok. Zrefowany żagiel był poszarpany i brudny, pokład kogi lepił się od krwi, w rufowej nadbudówce ziała dziura po pocisku, a strzaskane krenelaże przywodziły na myśl wyszczerbione zęby starego potwora. Dla patrzącego na kogę Bertrama Wulflema nie ulegało wątpliwości, że koga, która zaledwie przed dwoma miesiącami opuściła łasztownię³⁰, w obecnym stanie nie nadaje się do rejsu.

Bertram kręcił w niedowierzaniu głową, przyglądając się wrakowi, a z jego ust co chwilę wypływały przekleństwa, których nie powstydzilby się najemny siepacz. A przecież był burmistrzem Strzałowa, jednym z najbogatszych patrycjuszy Hanzy. Ubrany w jakę z czarnego aksamitu, na którą zużyto trzydzieści łokci płótna oraz dziesięć łokci czarnego barchanu, zapinaną na srebrne guziki i spiętą pasem zdobionym obrzeżeniem z pereł i złota, wzbudzał zazdrość gdańskich mieszczan, którzy przecież do najbiedniejszych nie należeli. Dzisiaj jednak Wulflem nie odczuwał z tego powodu żadnej satysfakcji.

Jego głowę zaprzętała troska o Kurta Büllenwavera. Nie dlatego, że burmistrz Strzałowa był sentymentalny albo że na sercu leżało mu dobro bliźniego. W oczach Bertrama próżno było szukać ciepłego blasku, a ci, którzy znali go lepiej, twierdzili, że jest zimny niczym północny wiatr u wybrzeży Skandynawii. I mieli rację, bowiem Wulflem nigdy nie kierował się emocjami, a tylko i wyłącznie logiką.

³⁰ Łasztownia – plac w porcie, na którym w średniowieczu budowano statki bądź je remontowano.

Teraz również troszczył się nie o życie porwanego przez piratów hanzeatyckiego kupca, ale o to, jak wydarzenie to wpłynie na ich wspólne interesy.

Współpracowali od trzech lat i dzięki żylce do interesów Büllenwavera oraz koneksjom i wpływom Wulflema udało im się zgromadzić pokaźny majątek. Również pomysł opróżnienia ich magazynów w Lubece i sprzedania towarów w Gdańsku wydawał się wielce trafiony. A teraz okazało się, że cały ładunek przepadł, a jeszcze będzie trzeba zapłacić okup za Kurta.

Burmistrz wyrzucił z siebie kolejne przekleństwo – tak szpetne, że przechodzący obok dwaj mieszczanie spojrzeli nań z dezaprobatą. Ujrawszy jednak wysokiego, szpakowatego mężczyznę o orlim nosie i bladoniebieskich oczach pałających gniewem, szybko się oddalili. Od nieobliczalnych desperatów lepiej trzymać się z daleka. Gdańszczanie nieraz mieli okazję oglądać takich jak on biedaków stojących na nabrzeżu i pomstujących na los, gdyż co najmniej raz w tygodniu do kei przybijały statki ograbione przez piratów. Pozostało tylko okazywać nieszczęśnikom współczucie, bowiem często po rabunku morskim bogaci kupcy zostawali bankrutami.

Jednakże Wulflem nie potrzebował litości. W tej chwili pragnął dopaść tych, którzy dokonali tego zuchwałego napadu, po czym oddać ich katu. Przedtem jednak osobiście torturowałby ich w ciemnicy miejskich lochów, aż zaczęliby błagać o szybką śmierć.

Mniej go bolała stracona fortuna niż godność i duma. Poniżenie, którego zaznał, nie dawało mu spokoju. Jakiś niewydarzony watażka śmiał napaść na hanzeatycki statek i jeszcze miał czelność żądać okupu za kupca. Cóż znaczył książę słupski wobec dostojnika Hanzy – wielkiej organizacji zrzeszającej ponad osiemdziesiąt miast, kontrolującej handel na dwóch morzach i mającej wpływy większe niż połowa europejskich królestw? Bertram przez zaciśnięte zęby posłał Warcisławowi groźbę. A nigdy nie rzucał słów na wiatr, o

czym zdążyli się przekonać jego polityczni konkurenci, których traktował z całą bezwzględnością. Nie bez przyczyny od ponad dziesięciu lat piastował urząd burmistrza rodzinnego miasta, a w całej Hanzie był jednym z najpotężniejszych ludzi.

Stojąc na gdańskim nabrzeżu, nie załamywał rąk, ale zastanawiał się, jak się zemścić i skarcić piratów, którzy poczynali sobie coraz śmielej? W głowie zaczął mu powoli kiełkować plan, lecz jego wdrożenie musiał odłożyć w czasie. Najpierw trzeba było zapłacić okup za nieszczęsnego Büllenwavera.

Wulflem nie kłopotałby się tym zdarzeniem, a nawet z satysfakcją zostawiłby grubasa w rękach słupskiego księcia, gdyby nie dwie kwestie. Po pierwsze, to był jego wspólnik, musiał więc pokazać, że troszczy się o tych, z którymi robi interesy, a po drugie – miał zamiar poślubić jego córkę.

Oblicze burmistrza wypogodziło się, gdy pomyślał o Katarzynie – niby wciąż dziewczynce, której piersi dopiero się kształtowały, a figura jeszcze nie nabrała kobiecych krągłości, ale tak pięknej, że już teraz oszałamiała mężczyzn. Bertram nie wiedział, po kim odziedziczyła urodę, bo jej rodzice byli zupełnie przeciętni, ona zaś miała jasne włosy sięgające do pasa, delikatne rysy twarzy, brązowe oczy i pełne usta obiecujące nieziemskie rozkosze. Pragnął jej nad życie, wodził za nią wzrokiem, kiedy tylko odwiedzał w Lubece swojego wspólnika, a choć ona nie zwracała na niego uwagi, postanowił zdobyć jej względy. Za każdym razem przywoził prezenty: kosztowne agrafy do szat, złotą i srebrną biżuterię wysadzaną szlachetnymi kamieniami, naszyjniki z bursztynów i pereł lub pektorale z relikwiami świętych. Na Katarzynie jednak podarunki nie robiły żadnego wrażenia. Tylko raz zdarzyło się, że jej oczy rozbliły – kiedy dostała od niego misternie wykonaną lalkę prosto z Wenecji.

Wulflem westchnął ciężko. Miał nadzieję, że kiedyś zdobędzie

przychylność dziewczyny, najpierw jednak musiał uwolnić jej ojca. Postanowił, że jutro, z samego rana, pobierze pieniądze z gdańskiej siedziby ich spółki i wyśle okup. Nie było innego wyjścia. Dopiero potem, gdy Büllenwaver będzie już bezpieczny, przyjdzie czas na wyrównanie rachunków z piratami. Na myśl o tym usta mężczyzny skrzywiły się w okrutnym uśmiechu.

Burmistrz Strzałowa obdarzył wrak „Białej Damy” ostatnim spojrzeniem, a potem przeniósł wzrok na drugi brzeg Motławy, gdzie ciągnęły się olbrzymie spichrze i magazyny. Gdańsk bardzo szybko się rozwijał i niedługo mógł zostać wiodącym miastem Hanzы. Cieszyło to Bertrama, mającego tutaj znaczne wpływy, które w przyszłości na pewno wykorzysta. Kto wie, czy nie stanie się to nawet szybciej, niż przewidywał?

Mężczyzna ruszył w stronę jednej z bram wodnych, które zamykały ulice dochodzące prostopadle do Motławy. Do cumowania i przeładunku żaglowców służyły pomosty zbudowane za murami miasta – na tyle długie, żeby umożliwić przybicie statków całymi burtami. Mijając stojące przy nich żaglowce, Wulflem uważnie im się przyglądał i zastanawiał się, jak z tych pękatych łajb uczynić okręty wojenne gotowe mierzyć się z morskimi rabusiami? Wydawało się to trudne, ale wykonalne. Większym problemem było przekonanie hanzeatyckich kupców, żeby wypożyczyli do tego celu swoje prywatne statki, co oznaczało wycofanie je na jakiś czas ze szlaków handlowych. Niestety, większość z nich nie potrafiła właściwie ocenić zagrożenia, jakim było piractwo. Ale burmistrz wiedział, że jeśli nie zdusi się tej zarazy w zarodku, rozprzestrzeni się niczym epidemia, a wówczas Hanza utraci morskie szlaki. Uświadomił sobie, że być może sojuszników należy poszukać gdzie indziej, poza organizacją kupiecką.

Zmrużył oczy, przyglądając się, jak do pomostu podchodzi krzyżacka koga. Załoga sprawnie opuściła reję z białym żaglem

ozdobionym czarnym krzyżem i przycumowała do pomostu pod olbrzymim dźwigiem zwanym Żurawiem. Usadowiony pomiędzy pylonami Bramy Szerokiej, górował nad portową częścią miasta. Zaraz zazgrzytały koła zębate, zaskrzypiały liny i rozpoczęto pracę. Wyładowane na pomost towary były wnoszone przez robotników do miasta, gdzie składali je w specjalnie wydzielonych pomieszczeniach domów kupców lub na zapleczach sklepów. Pozostałą część ładunku pakowali na wozy i wieźli do zamku krzyżackiego, który wznosił się przy końcu nabrzeża.

Burmistrz Strzałowa podziwiał olbrzymią budowlę z solidnymi wieżami na narożach, otoczoną murem i fosą. Położenie zamku umożliwiała Krzyżakom zablokowanie żeglugi na Motławie i zamknięcie dojścia do portu, kiedy tylko mieli na to ochotę. Dzięki temu mogli szantażem wywierać presję na patrycjacie miejskim, ale mieszczanie wcale nie byli tacy ulegli, więc nieraz dochodziło do gwałtownych konfliktów.

Wulfem zastanawiał się, jak pozyskać do walki z piratami tak silnego sprzymierzeńca, jakim był zakon. Pod rządami wielkiego mistrza Konrada von Rotensteina³¹ Krzyżacy zdobyli coraz większe wpływy polityczne, mieli potężną flotę i liczne wojsko, jednak rycerze-bracia bardziej martwili się sojuszem Polski z Litwą³² niż

31 Konrad Zöllner von Rotenstein – wielki mistrz krzyżacki w latach 1382–1390. Skupił się na wewnętrznych sprawach państwa, zamiast na konfliktach z sąsiadami, reformując podział administracyjny Prus i wspierając kolonizację obszarów bezludnych.

32 Chodzi o unię polsko-litewską, ustanowioną w Krewie w 1385 roku pomiędzy Królestwem Polskim a Wielkim Księstwem Litewskim. Przewidywała małżeństwo wielkiego księcia Litwy Jagielly z Jadwigą, pełniącą funkcję króla Polski i objęcie przez niego polskiego tronu. W zamian Jagiełło obiecał przyjąć chrzest, schryścianizować Litwę i „ziemie swoje litewskie i ruskie na wieczne czasy do Korony Królestwa Polskiego przyłączyć”. Główną przyczyną powstania unii było zagrożenie ze strony zakonu krzyżackiego.

zagrożeniem pirackim na szlakach żeglugowych Bałtyku. Bertram obiecał sobie, że mimo wszystko znajdzie sposób na pozyskanie ich do swojej sprawy. Może jeszcze nie dzisiaj ani jutro, ale burmistrz był człowiekiem cierpliwym. A nici intryg należało tkąć wytrwale.

Uśmiechnął się pod nosem, podziwiając promienie zachodzącego słońca odbijające się w wodach Motławy. Ale zachwyty nad cudami przyrody nie mogły zatrzymać go na dłużej. Skręcił w stronę miasta, przeszedł przez Bramę Kogi³³ i z pogrążonego w wieczornej ciszy portowego nabrzeża trafił wprost na targowy zgiełk. Longa Platea³⁴ pełniła funkcję traktu kupieckiego i o każdej porze dnia było tu tłoczno.

Mijał kramy z zamorskimi towarami, stragany z ziołami i egzotycznymi przyprawami, warsztaty szewców, garbarzy i bednarzy, z których dochodził stuk narzędzi. Wszędzie unosił się fetor niewyprawionej skóry i śniętych ryb.

Dostrzegł kłaniającego się mu znajomego piekarza, który ciągnął wózek z piecem chlebowym. Przez cały dzień wypiekał i sprzedawał na targu podpłomyki, a teraz wracał do domu – zmęczony, ale zadowolony, bo zarobek był odpowiedni.

Między straganami kręcili się żebracy, wyciągając ręce po jałmużnę. Zazwyczaj byli to okaleczeni robotnicy, którzy stracili zdrowie w wypadkach podczas pracy w porcie, a teraz jedynym ratunkiem przed śmiercią głodową było dla nich żebractwo. A że to zajęcie nie hańbiło, a sprytnie wykonywane mogło nawet przynosić niezłe zyski, Bertram znał kilku całkiem dobrze sytuowanych gdańskich mieszczan, którzy w ten sposób sobie dorabiali.

Wulflem musiał uważać, żeby nie nadepnąć na kręcące się pod nogami psy, świnię i kury. Chociaż w Gdańsku istniały regulacje

33 Brama Kogi – obecnie Brama Zielona. Prawdopodobnie najstarsza z bram wodnych Gdańska, wzmiankowana już w 1357 roku.

34 Longa Platea – obecnie ulica Długa.

prawne zakazujące wypuszczania zwierząt z domów, te i tak pętały się po ulicy. Zewsząd było słycać turkot kół wozów jadących po bruku, śmiech dzieci bawiących się między straganami, kłótnie kupców z klientami, krzyki kramarzy zachwalających swój towar i śpiewy pielgrzymów zmierzających na wieczorną mszę.

Gdy mijał łaźnię miejską, skąd dochodziły szum wody i radosne piski dziewczek wszetecznych, nagle powietrze rozdarło donośne dudnienie. Nadeszła szósta i w kościele Mariackim³⁵ zaczęto bić w dzwony. Na ulicy rozbłysły pochodnie, na straganach postawiono kaganki z płonącym knotem. Pomimo nadchodzącego zmierzchu nie przerywano handlu, który miał trwać do późnej nocy.

Bertram dotarł do Bramy Długoulicznej³⁶ i wszedł do tawerny, gdzie rozlewano najlepsze piwo w Gdańsku. Postanowił wypić przed snem krużę³⁷ albo dwie złocistego płynu, żeby odpędzić smutki. Usiadł przy stole w rogu pomieszczenia i, popijając piwo, przyglądał się gościom. Przesiadawali tu zarówno kupcy stukający się kubkami za pomyślność zawartych transakcji, mieszczenie pragnący chwili wytchnienia po ciężkim dniu pracy, zmęczeni podróżą wędrowcy, błąkający się po mieście rycerze, kochankowie ukrywający się przed współmałżonkami, jak i zwykłe hultajstwo, żądne mocnego trunku i dobrej zabawy. Jednak większość gości stanowili marynarze, którzy właśnie zeszedli ze statków i musieli gdzieś wydać ciężko zarobione dukaty. Niektórzy obściskiwali się po kątach z dziewczkami, które były gotowe nawet na miłość wołoską – jak nazywali ją tutejsi Polacy – byle tylko wyciągnąć od gości brzęczącą monetę, lecz większość zgromadziła się przy jednym stole, skąd co jakiś czas dochodziły

35 Kościół Mariacki – obecnie bazylika konkatedralna Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Gdańsku.

36 Brama Długouliczna – XIII-wieczna gotycka brama, zamykająca ulicę Długą w Gdańsku. W 1612 roku została rozebrana, a na jej miejscu powstała Złota Brama.

37 Kruża – rodzaj dzbana z szerokim wylewem.

wybuchy radości wymieszane z jękami zawodu.

Burmistrz dostrzegł, że mężczyźni grają w kości. Była to najpopularniejsza rozrywka w każdym europejskim mieście, a oddawano się jej zarówno na jarmarkach i w karczmach, jak i na książęcych dworach. Co prawda, władze świeckie i duchowne zakazywały kości, jeśli rozrywka wychodziła poza ramy zabawy, jednak mało kto na to zważał. A tutaj – Wulflem nie miał w tym względzie żadnych wątpliwości – odbywał się hazard.

Właśnie wtedy wszedł do karczmy olbrzym o rudych włosach, bujnej brodzie i oczach barwy morza. Liczył nie więcej niż trzydzieści wiosen, a ubrany był w białą bluzę i skórzany kaftan bez rękawów – strój noszony zazwyczaj przez najemników. Przy boku nosił długi miecz, w rodzinnych stronach Bertrama zwany bastardem³⁸. Zdziwiło to trochę burmistrza Strzałowa, bowiem żołnierze do wynajęcia woleli broń krótką – jak tasak, topór, kord – łatwą w użyciu i skuteczniejszą w ulicznych burdach. A walkę mieczem, szczególnie tak długim, trzeba było ćwiczyć latami.

Coś niepokojącego było w tym człowieku, coś, czego Wulflem nie umiał określić, ale powodowało w nim mimowolny lęk. Może strachem napawało go spojrzenie rudowłosego, przypominające wzrok dzikiego zwierzęcia polującego na ofiarę? A może twarz poorana licznymi bliznami?

Mężczyzna szedł lekko rozkołysanym, ale sprężystym krokiem. Przypominał tygrysa, na pozór leniwego, ale gotowego w każdej chwili napiąć mięśnie i skoczyć wrogom do gardeł. Biła z niego

38 Bastard – miecz długi, bastardowy, którego rękojeść pozwalała na walkę oburącz. Pojawił się w XIII wieku i był bardzo popularny aż do połowy XIV wieku. Miał około 110–140 cm długości. Potoczne określenie „miecz półtoraręczny” jest nowożytnie (zostało nadane przez kolekcjonerów broni), a wzięło się stąd, że jego rękojeść jest dłuższa niż w mieczach jednoręcznych, a krótsza niż w mieczach wielkich (dwuręcznych). Umożliwia to dolożenie drugiej ręki, ale w wielu egzemplarzach nie jest to chwyt pełny.

niezwykła charyzma, skupił na sobie spojrzenia ludzi zgromadzonych w karczmie. Zamilkły rozmowy, mężczyźni spoglądali na niego z szacunkiem, kobiety z pożądaniem.

Wulfem znał takich jak on. Szaleńców gotowych rzucić wyzwanie całemu światu i – co najciekawsze – zdarzało im się czasem przyprzeć ów podły świat do muru. Przywódców, za którymi podwładni byli gotowi iść do piekła. Ludzi nieobliczalnych, niebezpiecznych – ale równocześnie niezwykle użytecznych, jeśli umiało się nimi odpowiednio pokierować. Myśląc o tym, Bertram z większym zainteresowaniem zaczął przyglądać się rudzielcowi.

– Klaus! – dobiegło od stolika do gry w kości. – Przyłączysz się do nas?

Olbrzym nie wahał się ani chwili. Zaraz zrobiono mu miejsce, a dziewczka służebna postawiła przy nim olbrzymi kufel pianistego piwa. Wszyscy zamarli, jakby na coś czekali. Przybysz uśmiechnął się samymi kącikami ust, chwycił kufel i opróżnił go jednym haustem. Rozległy się brawa i wiwaty, a następnie biesiadnicy zaczęli uderzać dłońmi w stół i krzyżeć:

– Störtebeker!³⁹ Störtebeker! Störtebeker!

Wulfem o nim słyszał. Klaus Störtebeker, którego nazywano również Tęgopojem, był znany przede wszystkim z tego, że potrafił wypić cały kufel piwa za jednym zamachem, ale mówiono o nim także jako o niezrównanym żeglarzu, dlatego każdy szyper chciał go mieć w swojej załodze.

Ponownie rozpoczęto grę. Kości były wyrzucane ze specjalnego stożkowego kubka i turlały się po stole – dla jednych szczęśliwie, dla innych pechowo. Po jakimś czasie zestaw pięciu kości wykonanych z rogu zastąpiono kostkami z bursztynu, które przyniósł ze sobą rudowłosa. Kilka pierwszych partii przegrał i tubalnym głosem

³⁹ Störtebeker – przydomek ten pochodzi od niemieckiego Stürz den Becher – „cały kufel za jednym haustem”.

skarżył się na zły los, teatralnie rwąc włosy na głowie i ciężko wzdychając. Jednakże im więcej trunku wlewali w siebie współbiednicy, tym częściej zaczął wygrywać Störtebeker.

Chociaż pił jeden kufel za drugim, swoim zwyczajem jednym haustem, wydawał się zupełnie trzeźwy. Z zadowoleniem spoglądał na toczące się kości, które teraz niemal za każdym razem oznajmiały jego zwycięstwo.

– Oszust! – krzyknął łysy mężczyzna z brzydką szramą ciągnącą się przez cały policzek.

Störtebeker wbił w niego zimne spojrzenie.

– Co rzekłeś?

Kompani próbowali uspokajać roztrzęsionego mężczyznę, ale ten wyrwał się, podniósł z siedziska i wskazał oskarżycielsko na Klause.

– Jesteś oszustem, Störtebeker!

Na ustach rudowłosego pojawił się uśmiech wcale nie wyglądający na szczery.

– Zawsze gram uczciwie.

– To się okaże.

Zanim Klaus zdążył zareagować, łysol zgarnął ze stołu bursztynowe kości, przybliżył je do kaganka i zaczął z uwagą oglądać. Nagle zakrzyknął triumfalnie i wskazał pozostałym biesiadnikom wywiercone niewielkie otworki do specjalnie wydrążonych kanalików, w których oszuści umieszczali kroplę rtęci. Podczas gry wystarczyło lekko opukać kość, aby ruchomy ciężarek przesunął się w poblizę właściwej ścianki.

Na Störtebekerze skupiły się ponure spojrzenia.

– Mogę to wszystko wyjaśnić – rzekł olbrzym. – To nie moje kości. Dostałem je dopiero dzisiaj od pewnego marynarza za przysługę, którą mu wyświadczyłem. Nie wiedziałem, że są...

Wyraz twarzy mężczyzny nie zmienił się nawet odrobinę. Niektórzy marynarze powoli sięgali do pasów, za którymi mieli zatknięte noże.

– Nie wierzycie mi – Klaus bardziej stwierdził, niż zapytał.

Westchnął ciężko i opuścił głowę, jakby pogodził się z tym, że zaraz czeka go ciężkie lanie. Kto wie, może nawet postrada życie?

Zerwał się z siedziska, chwycił za stół i przewrócił go na biesiadników. Poleciały kufle z niedopitym piwem, brzęczące monety i kości. Rozległy się krzyki i przekleństwa.

Störtebeker nie czekał, aż niedawni kompani wygramolą się spod przygniatającego ich ciężaru. Rzucił się w stronę wyjścia. Niestety, drogę zagroził mu rosły mężczyzna, zapewne pacholek wynajęty przez karczmarza do pilnowania porządku. Uchodził za wielkoluda, ale rudowłosemu sięgał zaledwie do brody. Próbował zatrzymać Klause, ten wszakże powalił go na podłogę jednym ciosem pięści, zwinnie nad nim przeskoczył i dopadł drzwi. Lecz ta krótka zwłoka wystarczyła, żeby biesiadnicy stanęli na nogi i skoczyli na oszusta. Störtebeker upadł i zniknął pod ciałami napastników.

I gdy wydawało się, że to jego koniec, że rudowłosa już się nie podniesie, nagle stało się coś nieoczekiwanego. Klaus ryknął z furią niczym dzikie zwierzę schwyte w pułapkę i gwałtownym szarpnięciem strząsnął z siebie niedawnych kompanów. Podniósł się i stanął chwiejnie na nogach. Rudą czuprynę miał rozczochraną, bluzę wymiętą i miejscami rozprutą, ale, poza lekkimi oznakami poturbowania, nie wyglądał na rannego. Potrząsnął głową, odpędzając mroczki, które po takim wysiłku pojawiły mu się przed oczami. Spojrzał na napastników.

Niektórzy powoli zbierali się z podłogi, trzymając się za obolałe głowy i obite kończyny, dwóch nadal leżało bez ruchu, jeden zaś wylądował na sąsiednim stoliku, rozlewając piwo na siedzących tam zbrojnych. Oburzeni mężczyźni obrzucili go stekiem wyzwisk, ściągnęli na podłogę i zaczęli kopać. Inni marynarze pobiegli mu na pomoc. Nie wiadomo kiedy w tawernie rozpętała się ogólna bijatyka.

Bertram, widząc co się dzieje, wszedł po schodach na niewielką

galeryjkę, gdzie mógł czuć się bezpiecznie, a jednocześnie miał widok na całą salę. Oparł się o drewnianą barierkę i, spokojnie popijając piwo, przyglądał się bójce.

W ruch poszły nie tylko pięści, lecz także puste kufle po piwie, dzbany, cynowe talerze, gliniane kubki – wszystko to latało teraz po gospodzie. Walczący nie przebierali w środkach: kopali, gryźli, drapali. Nieważne były urodzenie i pozycja – mieszczanin szarpał się z rycerzem, sługa ze szlachcicem, marynarz z kupcem. Nawet dziewczki służebne, nie bacząc na sprzeciw gospodarza, wybiegły z kuchni i patelniami ochoczo waliły po łbach kogo popadnie.

Wśród kotłującego się tłumu prym wiódł Klaus Störtebeker. Wyprowadzał pięściami zamaszyste ciosy, po których mało kto wstawał z podłogi. Czasami łapał przeciwnika za ubranie, podnosił i ciskał jak szmacianą lalką. Śmiał się przy tym dziko, a oczy błyszczwały mu radością. Widać było, że jest w swoim żywiole i całą tę burdę traktuje jak dobrą zabawę.

Inaczej zapatrywał się na to karczmarz. Początkowo próbował uspokajać klientów błaganem i płaczem, potem groźbami, aż wreszcie widząc, że nic nie wskóra, a walczący zaraz rozniosą gospodę i zniszczą dorobek jego życia, wybiegł na zewnątrz, by wezwać straż miejską. Jednakże strażnicy woleli pobierać przy bramie podatek od przyjezdnych kupców, nadzorować domy rozkoszy lub łaźnie miejskie, gdzie za darmo mogli obmacywać dziewczki wszeteczne, albo siedzieć w basztach i chlać gorzałkę, niż patrolować niebezpieczne miejsca. Minęło sporo czasu zanim w tawernie zjawili się zbrojni ubrani w jednolite szare dublety⁴⁰ z wyhaftowanym herbem Gdańska. Na głowach mieli kapaliny, a w rękach dzierżyli halabardy, z których natychmiast zaczęli robić użytek.

Najpierw próbowali zaprowadzić porządek uderzeniami drzewc,

⁴⁰ Dublet – obcisły, sięgający bioder kaftan spodni.

żeby nie wyrządzić nikomu zbytnej krzywdy. To jednak nie poskutkowało, a tylko wzmogło agresję bijących się ludzi. Mieszkańcy Gdańska nigdy nie przepadali za drabantami⁴¹, którzy niejednokrotnie zaleźli im za skórę, szantażem i przemocą wyciągając od nich dukaty. A że niechęć wobec władzy jednoczy, kupcy, pachołcy i marynarze zaprzestali walki między sobą i ruszyli na strażników. Wtedy ci zaczęli ciąć i kłuć żeleźcami halabard.

Pierwszą ofiarą był marynarz z „Białej Damy”, jeden z dziesięciu, którzy przeżyli atak piratów. Powiadają, że śmierć jest nierychliwa, ale sprawiedliwa i kto uciekł spod jej kosy, niedługo znowu pod nią trafi. Marynarz, przeбитy na wylot szpikulcem halabardy, zwałił się na podłogę, a wokół niego zaczęła rosnać kałuża krwi.

Następny był dziewiętnastoletni chłopak, syn najlepszego w Gdańsku bursztynnika, który przyszedł do karczmy w nadziei przygruchania sobie jakiejś dziewczki. Wrzała w nim gorąca krew, a że dzisiaj nie udało mu się zaspokoić chuci, postanowił wyżyć się przynajmniej w walce. Pech chciał, że nawinął się jednemu ze strażników. Padł z rozciętym gardłem.

Ale nie to najbardziej rozsierdziło awanturników. Dopiero gdy jeden z drabantów przez przypadek ciężko ranił niewiastę lekkich obyczajów – która, co prawda, nie siedziała potulnie w kącie, ale biła się na równi z mężczyznami – ludzie nie zdzierżyli. Każdy wyciągnął oręż. W ruch poszły noże, kordy, krótkie tasaki. Rozpoczęła się regularna bitwa.

Dopiero teraz Wulflem zrozumiał, jaką lekkomyślnością było pozostanie w tawernie. Zamiast przyglądać się bójce, mógł bezpiecznie opuścić gospodę, zanim polala się krew. A teraz, żeby dostać się do drzwi, musiałby przedrzeć się przez tłum walczących, co było niemożliwe. Zły był na siebie i niezdrową ciekawość, która

41 Drabant (niem. drabant, trabant) – żołdak, pachołek, strażnik. W staropolskim przekształcone w drab – łobuz.

popchnęła go do przyglądania się z bliska niebezpieczeństwu. Wydawało mu się, że może pozostać wyłącznie gapiem, ale i tak został wciągnięty w wir wydarzeń.

Walka przeniosła się na galerię, więc pobladły Bertram cofnął się w najdalszy kąt izby. Tuż przed nim strażnik miejski usiłował zakłócić szpicem halabardy brodatego oprycha, który, przyparty do ściany, bronił się dzielnie. Ostrzem tasaka zbijał pchnięcia i od czasu do czasu sam próbował atakować. Wreszcie drabantowi udało się przełamać zasłonę i wbił szpikulec w brzuch mężczyzny. Ten z głośnym jękiem osunął się na podłogę i, leżąc, próbował łapać wnętrznosci wylewające się z rany. Strażnik litościwie skrócił jego cierpienia, ponownie wbijając w niego żeleźce, tym razem w serce. Następnie podniósł głowę, rozglądając się za nowym przeciwnikiem i wówczas jego spojrzenie trafiło na Wulflema. Zmrużył gniewnie oczy i ruszył w stronę burmistrza.

– Nic złego nie uczyniłem – rzekł Bertram i uniósł ręce w obronnym geście.

Nie pomogło, strażnik nadal się zbliżał.

– Poniechaj! – krzyknął kupiec. Próbował nadać swemu głosowi groźny ton, ale wyszedł mu raczej pisk. – Jestem burmistrzem Strzałowa!

Drabant się zawahał. Po chwili jednak wzruszył ramionami i rzekł:

– Jeden pies.

Splunął, mocniej ujął drzewce halabardy i zamierzył się na hanzeatyckiego dostojnika.

I gdy Bertram Wulflem zegnał się już z życiem, żałując tylko tych chwil, których jeszcze nie zdążył zaznać, za nic zaś mając wszystkie grzechy i przewiny, jakich się dopuścił, zdarzył się cud. Na pewno nie wymodlony, bo burmistrz zbytnej wiary w Bogu nie pokładał, twierdząc, że człowiek jest kowalem własnego losu. Musiał to być zatem zwykły przypadek albo pierwszy znak przeznaczenia, który

później kupiec miał niejednokrotnie przeklinać.

Między nim a gdańskim drabantem stanął Klaus Störtebeker. Miecz trzymał oburącz nad głową, a sztychem celował w czoło strażnika. Lewą nogę wysunął nieco do przodu, stopę skierował w stronę przeciwnika, prawą zaś, lekko skrzyżowaną, pozostawił w tyle. Wyprowadził błyskawiczne pchnięcie, które cudem zostało zablokowane żelazcem halabardy. Rudowłosy natychmiast zmienił postawę i wykonał szerokie cięcie, którego nie powstydziliby się najznamienitszy mistrz miecza. Ostrze zatoczyło półokrąg i głowa drabanta potoczyła się po podłodze.

Burmistrz dopiero po chwili zdołał złapać oddech.

– Winnym ci życie – wydukał.

Störtebeker spojrział na niego zdziwiony, jakby dopiero teraz zauważył hanzeatyckiego dostojnika.

– Co?

– Jestem twoim dłużnikiem.

Na ustach marynarza pojawił się kpiący uśmiech.

– A na cóż mi twoja wdzięczność?

– Różnie w życiu bywa – odparł Bertram. – Kto wie, może kiedyś jakoś ci się odpłacę?

– Wątpię.

Olbrzym odwrócił się i zeskoczył z galerii. Chwilę później toczył już kolejną walkę, nie wiedząc, komu uratował życie. Następnego dnia nie pamiętał nawet, że coś takiego zaszło. Natomiast Wulfem nie zapomniał. Zawsze spłacał swoje długi.

Burda skończyła się tak szybko, jak się rozpoczęła. Ktoś wpadł do środka i krzyknął, że zmierza tutaj wojsko. To ostudziło gorące głowy awanturników, którzy uciekali przez drzwi i okna, jakby się paliło. Klaus opuścił tawernę jako jeden z ostatnich, pozostawiwszy za sobą kilka trupów. W tym i tysego z blizną, który, wymachując tasakiem, zastąpił mu drogę. Rudowłosy zabił go jednym szybkim

cięciem, jakby od niechcienia, a potem spokojnie wyszedł.

Bertram, obserwując jego szerokie plecy, zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ujrzy tego zabijakę i czy będzie mu dane spłacić zaciągnięty dług. Nawet nie przypuszczał, jak szybko dojdzie do ich ponownego spotkania.



Rozdział 2

Strzałów

Lipiec 1389 roku

Z okien komnaty znajdującej się na drugim piętrze ratusza miejskiego roztaczał się wspaniały widok na Cieśninę Strzałowską i port, w którym przy kei cumowało siedemnaście statków. „Kogi pokoju” – jak je nazywano – przybyły z najróżniejszych miast hanzeatyckich na wezwanie Bertrama Wulflema. Przystosowano je do działań wojennych – a w ich ładowniach, zamiast towaru, znajdowały się maszyny miotające, załogę zaś, oprócz marynarzy, stanowili świetnie wyszkoleni piechurzy. Lada dzień kogi pokoju ruszą na Bałtyk, żeby rozprawić się z grasującymi po morzu piratami, którzy z miesiąca na miesiąc stawali się coraz większą plagą.

– Dlaczego tylko siedemnaście? – Wulflem odwrócił się od okna i zawiedzionym wzrokiem spojrzał na patrycjusza. Rudolf Falkenhayn ubrany był dostatnio, w aksamitny płaszcz podbity sobolami, na głowie nosił chaperon⁴², a przy połączonym pasie

42 Chaperon (od fr. chaperon – kaptur). Męskie nakrycie głowy, modne na przełomie XIV i XV wieku. Ewoluował z noszonego wcześniej kaptura-peleryny, który zwijano fantazyjnie na kształt turbanu.

Chaperon składał się z sukienego lub aksamitnego wałka wypchanego skrawkami materiału, długiego ogona i fałdy materiału (pozostałości po kołnierzu kaptura).

kaletkę⁴³. Nogawice⁴⁴ miał związane najlepszej jakości rzemykiem, a na stopach czerwone trzewiczki z długimi, zadartymi do góry noskami.

Na ostatnim zjeździe miast hanzeatyckich Bertramowi udało się przekonać patrycjusza związku kupieckiego, że piraci stanowią poważne zagrożenie dla szlaków handlowych Hanzy, konieczna jest zatem zbrojna interwencja. Delegaci zgodzili się przysłać z każdego miasta po kilka statków. Miały się pojawić w Strzałowie, gdzie organizowała się flota wojenna. Wulflem liczył, że zdoła ich zebrać około sześćdziesięciu.

– Roztoka i Wismar wycofały swoje poparcie – odparł Falkenhayn. – Twierdzą, że to wasza prywatna wojna, panie, i nie chcą się do tego mieszać. Ponoć chcecie się mścić za porwanie Kurta Büllenwavera, który przyobiecał wam swoją córkę.



Strzałów

– Głupcy! – warknął burmistrz Strzałowa. – Książę Warcisław traktował Büllenwavera z najwyższym szacunkiem, niemal jak gościa, a nie więźnia. Nawet okup za niego był jeno symboliczny.

43 Kaletka – torba na klucze, pieczęcie itp.

44 Nogawice – rodzaj sukiennych pończoch, przywiązanych do spodniej jopuli. Noszone w XIV wieku z gacnikiem, następnie zaszyte z tyłu w rodzaj nogawicospodni z klinem w kroku.

Nie, panie Falkenhayn, nie o moją prywatę się tu rozchodzi, a o przyszłość Hanzy. Jeśli teraz nie powstrzymamy piratów, niedługo rozplenią się po wodach niczym zaraza i żaden statek pływający po Morzu Wschodnim nie będzie bezpieczny. A to oznacza drastyczny spadek zysków, a w konsekwencji upadek handlu. Czy oni tego nie widzą?!

Rudolf westchnął ciężko.

– Większość delegatów popiera wasz punkt widzenia, panie, jednakże musicie pamiętać, że Roztoka i Wismar są położone na obszarze Meklemburgii, a wy wypowiedacie wojnę jej szlachcie...

– To żadna szlachta, jeno zwykli zbóje! Atakują statki handlowe, gdy tylko jakieś zobaczą na swoich wodach.

– Tych płynących pod proporcem Roztoki i Wismaru nie napadają...

– Teraz rozumiem – prychnął wściekle Bertram. – Rajcy obawiają się gniewu panów meklemburskich.

– Po prostu nie chcą mieszać się w ten konflikt. Mają zbyt wiele do stracenia.

– Zapomnieli już, co podpisywali ich dziadowie. – Wulflem przymknął oczy i zaczął recytować: – „Niechaj wie obecne pokolenie, a przypomni sobie i potomności, żeśmy z kochanymi przyjaciółmi naszymi z Hamburga tego rodzaju układ zawarli: gdyby przypadkiem zbóje albo inni źli ludzie podnieśli się przeciwko naszym albo ich mieszczanom od owego miejsca, gdzie rzeka nazywana Trave wpada do morza koło Hamburga, a stąd przez całą Łabę aż do morza, i naszych albo ich mieszczan wrogo napadali, to wszystkie koszta i wydatki związane z niszczeniem i tępieniem tych zbójów zarówno my razem z nimi, jak i oni razem z nami powinniśmy równo ponosić”⁴⁵.

45 Jedno z zobowiązań dokumentu podpisanego w 1241 roku w gmachu ratusza w Lubece. Dokument ten uważa się za fundament funkcjonowania Hanzy.

Falkenhayn uśmiechnął się kpiąco.

– To jeno papier, a życie wygląda zupełnie inaczej.

– Postąpili jak zwykli tchórze.

– Nie – odparł patrycjusz. – Postąpili roztropnie, a wszak roztropność to największa z kupieckich cnót. Nie możecie ich za to winić.

Zasepiony burmistrz przeniósł spojrzenie na roztaczający się za oknem krajobraz. Ponownie zlustrował kogi, na których powiewały różnokolorowe chorągwie miast hanzeatyckich, a następnie jego wzrok spoczął na przylegającej do portu łasztowni, gdzie mieściła się stocznia.

Na brabankach⁴⁶ stały dwa statki z Bremy i Goslaru. Pierwszemu wiatr uszkodził maszt, a drugi podczas podchodzenia do kei w Strzałowie rozbił burtę. Robotnicy od kilku dni naprawiali obie kogi, posługując się wieloma narzędziami skutniczymi, nawet tak nowoczesnymi jak cieślce, ośniki i sznury miernicze. Nadzorował ich główny cieśla, który decydował także, jakiego drewna powinni użyć. Osobiście wybierał je ze składu, gdzie znajdował się przesuszony materiał, leżakując i nabierając właściwości odpowiednich do użycia przy naprawach statków. Jeśli było trzeba, główny cieśla jeździł też do lasu w poszukiwaniu najlepszego drewna. Wedle jego zapewnień prace remontowe nad obiema kogami miały potrwać jeszcze góra dwa dni.

Obok brabanków znajdowała się komora stoczniowa z pochylnią skierowaną wprost do wody. Właśnie powstawał tam nowy statek. Budowa kogi trwała od trzech do czterech miesięcy. Mistrz kierujący pracą najpierw rysował prosty szkic, chociaż Bertram znał takich, którzy wszystkie plany mieli w głowie, bo, jak twierdzili, tylko w niej są bezpieczne. Rozwiązania konstrukcyjne poszczególnych szkół skutniczych przekazywano jak sekretną

⁴⁶ Brabank – miejsce, gdzie statki wciągano na brzeg, aby je wyremontować.

wiedzę i z ojca na syna pilnie strzeżono tajemnicy zawodowej.

Statki budowano na płaskiej stępce – masywniejszej i grubszej od pozostałych desek dennych. Stewy, zazwyczaj proste, mniej lub bardziej wychylone, nadawały statkom charakterystyczny kształt kogi. Poszycie kadłuba układano na styk szerokimi i grubymi pasami. Szwy wzdłużne i poprzeczne uszczelniano mchem, sierścią albo targanem⁴⁷. Wiązania poprzeczne tworzył dennik, a przedłużające go na burtę wręgi były spajane przez długie złącza przybijane drewnianymi kołkami. W określonych partiach statku mocowano belki poprzeczne, których końce przechodzące przez poszycie wystawały na zewnątrz. Do nich przybijano masywne kolanka, których pionowe ramiona wzmacniały górę kadłuba. Wewnętrzne wzmocnienia pełniły następka i wzdłużniki. Na śródokręciu belki wzdłużne stanowiły rodzaj jarzma dla masztu.

To był sam szkielet, ale już niedługo miały zacząć się prace nad przybijaniem pokładu i osadzeniem masztu w gnieździe wydrążonym w następce. Usztywnią go liny – wanty biegnące od topu ku burtom, sztag⁴⁸ idący do dziobu oraz baksztag⁴⁹ biegnący do rufy. Na samym końcu na rei zostanie zamontowany żagiel z płótna z konopi, a później gotowa koga zostanie zwodowana.

Bertrama dumą napawało to, że w ostatnim roku to w jego mieście – spośród wszystkich portów Hanzy – wybudowano najwięcej statków. Nic dziwnego, zważywszy ogrom operacji, którą zaplanował. Jedną trzecią zgromadzonej floty stanowiły okręty z powiewającą na burcie czerwoną chorągwią z białą strzałą i krzyżem

47 Targan – odpowiednio nasmołowane pakuły, zazwyczaj służące do zatykania szczelin w kadłubach statków.

48 Sztagi – liny stabilizujące maszt w płaszczyźnie symetrii żaglowca. Biegną od salingów masztów do pokładów.

49 Baksztagi – liny stabilizujące maszt, biegnące od jego górnej części do krawędzi burty. Czasami biegną w linii want.

– herbem Strzałowa. To one miały zadać decydujący cios morskemu piractwu.

– Kiedy wyruszą, panie? – spytał Falkenhayn.

– Za pięć, góra sześć dni – odparł Wulfem. – Musimy poczekać na sprzyjające wiatry.

– Gdzie zamierzacie się udać?

– Na wschód.

Hanzeatycki dostojnik skrzywił usta w lekkim uśmiechu.

– Widzę, że najpierw chcecie rozprawić się z książętami pomorskimi. Warcisław jednak założył wam za skórę, panie...

– Tu nie chodzi o moją prywatę – zaprzeczył burmistrz ponownie.

– Książę słupski blokuje drogi i szlaki morskie wiodące do Prus. Liczę na to, że zakon krzyżacki przyłączy się do mojej krucjaty. Dlatego taki, a nie inny wybór kierunku pierwszej wyprawy.

– Rozsądne.

– Jeśli pozyskamy Krzyżaków dla naszej sprawy, rychło zaprowadzimy porządek na morzu. Najpierw książęta pomorscy, potem jutlandzcy i holsztyńscy hrabiowie, aż wreszcie przyjdzie czas na Meklemburczyków. Odetniemy Hydrze wszystkie łby.

– O ile dobrze pamiętam, w miejscu odciętej Hydrze głowy wyrastały dwie nowe.

Bertram mocno zacisnął pięść.

– Jolaos przypalał odcięte miejsca ogniem, żeby temu zapobiec. Jeśli będzie trzeba, też użyję ognia, żeby wypalić tę zarazę.

Rudolf przez dłuższą chwilę milczał, a zmrużywszy oczy, bardzo uważnie przyglądał się burmistrzowi. Wreszcie pokiwał głową.

– Macie, panie, pełne poparcie rady hanzeatyckiej – rzekł i ruszył w stronę drzwi. – Życzę pomyślnych łowów.

Anklam

Sierpień 1389 roku

Dzień targowy przyciągnął do Anklam wielu ludzi z najodleglejszych osad położonych nad rzeką Panee. Innym powodem tak licznego przybycia była wieść, że do nabrzeża portowego przybiła hanzeatycka flota. Wszyscy chcieli zobaczyć statki, które, po zaopatrzeniu się w żywność i wodę, miały ruszyć na Morze Wschodnie, żeby rozprawić się z piratami. Cieszyło to mieszkańców Anklam, bowiem miasto położone w sąsiedztwie Pomorza niejednokrotnie padało ofiarą ataków przybywających stamtąd morskich rabusiów. W osobie Bertrama Wulflema widziano wybawcę.



Anklam

Burmistrz Strzałowa, odziany w prosty skórzany kaftan nabijany ćwiekami, pasujący bardziej do zwykłego żołnierza, niż do hanzeatyckiego dostojnika, stał na kasztelu okrętu flagowego „Burszyn” i przyglądał się tłumowi zdążającemu na rynek. Do

miasta zjeżdżali kuglarze i śpiewacy, bawiący ludzi sztuczkami oraz pieśniami. A w południe miała się odbyć kaźń skazańców – widowisko, które zawsze przyciągało gromady tłuszczy. A prostaków nic tak nie cieszyło jak oglądanie krwawych przedstawień.

Wulflem skrzywił usta w pogardliwym grymasie. Jako burmistrz niejednokrotnie bez cienia litości skazywał ludzi na śmierć. Nigdy jednak nie odczuwał z tego powodu radości, traktując to jako swój obowiązek. Brzydziły go publiczne egzekucje, brzydziła go radość tłumu. W Strzałowie skazańców zazwyczaj wyprowadzano poza miasto, gdzie, zgodnie z tradycją, wieszano między niebem i ziemią. Czasami jednak trzeba było dla przykładu i odstraszania urządzić publiczną kaźń, ale nawet wówczas Bertram zawsze znajdował jakiś powód, żeby w niej nie uczestniczyć.

– Panie? – Patrycjusz drgnął, słysząc mocny, tubalny głos, który przywodził na myśl głębinę oceanu.

Odwrócił się i ujrzał poorane bliznami oblicze kapitana Simona van Utrechta. Ciemnowłosy mężczyzna był z pochodzenia Holendrem i chyba najlepszym żeglarzem, jakiego burmistrz znał. Wulflem pomyślał, że jeśli dobrych marynarzy nazywa się wilkami morskimi, to van Utrechta niewątpliwie należałoby określić basiorem. Trudno było znaleźć na całym bałtyckim wybrzeżu człowieka, który nie słyszałby jego imienia.

Krażyły o nim rozmaite legendy. A to, że dopłynął na skraj oceanu, splunął w otchłań i zawrócił. A to, że u wybrzeży Norwegii jego statek został pochłonięty przez Maelstrom, a wewnątrz tego potężnego wiru wodnego kapitan stoczył bój z krakenem⁵⁰, stąd

50 Krakeny – stwory morskie z opowieści żeglarzy skandynawskich, a potem zachodnioeuropejskich. Wedle tych przekazów kraken był brany za wyspę. Kiedy marynarze wychodzili na ten „łąd”, budzili potwora, który zanurzał się, wciągając pod wodę załogę wraz z okrętem. Inne opowieści opisywały krakeny jako

blizny na jego twarzy. Powiadano również, że upodobały go sobie syreny, z którymi regularnie spółkuje, dlatego zawsze będzie otaczany ich opieką. Podobno każda wyprawa, w której uczestniczył, kończyła się sukcesem.

Burmistrz Strzałowa liczył, że ta eskapada okaże się zwycięska, ale nie kierował się przesadami, mianując Simona van Utrechta dowódcą największej z eskadr, na które dzieliła się flota. Widział w nim przede wszystkim dobrego żeglarza i żołnierza, który ponadto cieszył się szacunkiem marynarzy. A utrzymać w ryzach niemal tysiąc zbrojnych nie było łatwo. Wystarczyło wszakże jedno spojrzenie bladozielonych oczu Holendra, żeby najbardziej hardy żołdak pokornie spuszczał głowę.

– Słucham, kapitanie? – Wulflem starał się nie patrzeć na brzydką bliznę, ciągnącą się od oka przez cały lewy policzek mężczyzny.

– Uzupełniliśmy zapasy wody i prowiantu. Możemy ruszać choćby natychmiast. Jeśli powieje zachodni wiatr, rychło miniemy Rugię i wypłyniemy na otwarte wody.

– Bardzo dobrze. – Bertram z zadowoleniem pokiwał głową. – Jednakże musimy jeszcze poczekać.

Z nadzieją skierował spojrzenie na wejście do portu, jakby spodziewał się tam coś zobaczyć.

– Gdyby mieli przybyć, już by tu byli – sucho stwierdził Simon.

– Zöllner von Rotenstein obiecał przysłać tuzin okrętów...

– Pokładasz zbytnią wiarę w słowie danym przez krzyżackiego mistrza. Wszyscy rycerze zakonni mają zmijowe języki. Z jednej strony wyznają miłosiernego Jezusa Chrystusa, a z drugiej okrutnie pustoszą Żmudź i Litwę. Głoszą, że król Władysław Jagiełło to schizmatyk, a wszyscy Polacy są poganami wyznającymi plugawe

olbrzymie głowonogi niszczące mackami statki i polykające ludzi. Prawdopodobnie źródłem przekazów były spotkania żeglarzy z kałamarnicami olbrzymimi.

bóstwa. A tymczasem oni od wieków są pobożnymi chrześcijanami.

Wulfem roześmiał się wesoło.

– A skąd u ciebie, kapitanie, taka wiedza w tym względzie?

To, co burmistrz Strzałowa ujrzał w oczach Holendra, natychmiast zgasiło uśmiech na jego ustach. W bladej otchłani można było dostrzec wrota piekieł. Przerażony postąpił krok w tył i oparł się plecami o reling.

– Przed dwoma laty brałem udział w jednej z krzyżackich rejs – rzekł Simon pośennie. – Do tamtej chwili wydawało mi się, że przeżyłem już w życiu wszystko i żadne okrucieństwo mi niestraszne. Myliłem się. Czegóż takiego jak na Żmudzi nigdy nie widziałem. Ludzie paleni żywcem w swoich chatach, zbiorowe gwałty na niewiastach, dzieci okaleczane dla zabawy, główki niemowląt roztrzaskiwane o drzewa...

Nieustraszonemu wilkowi morskemu załamał się głos. Musiał wziąć głęboki oddech.

– I czynili to rycerze z krzyżem na płaszczach, symbolem wiary, którą i ja wyznaję. Zatem rozumiecie, panie, dlaczego nie wierzę w ani jedno ich słowo i niechętnie ich wypatruję.

– To nasi sojusznicy.

Van Utrecht prychnął.

– Wierz mi, panie, lepiej nie stawać z nimi ramię w ramię, nawet przeciw diabłu.

– Nie mamy wyjścia...

Wulfem chciał dodać coś jeszcze, ale nagła wrzawa przyciągnęła jego uwagę. Ku uciesze gawiedzi ulicą prowadzono skazańców. Droga z ratusza na rynek, gdzie miała odbyć się kaźń, wiodła wzdłuż nabrzeża, dzięki czemu Bertram mógł oglądać przemarsz zakutych w łańcuchy, brudnych i obszarpanych ludzi. Dreptali gęsiego, przygaszeni i pogodzeni z tym, co ich czeka. Niektórzy wywracali się na bruk, a wówczas byli kopani i lżeni. Zgromadzony wokół tłum

obrzucał nieszczęśników nie tylko wyzwiskami, lecz także zgniłymi owocami, a nawet kamieniami.

Skazanym jeszcze w lochach zakładano białe koszule zakupione przez miasto, o ile sami nie mieli takowych w dobrym stanie. A o to było niezwykle trudno, bo po torturach zostawały na więźniach same szmaty. Wprawdzie przewód śledczy trwał zaledwie kilka godzin, wystarczało to jednak, żeby przyznali się do wszelakich zbrodni lub wyzionęli ducha. Złoczyńców rozciągano na ławie, przypiekano pochodniami, polewano ich ciała wrzącym sadłem, do gardła wlewano ocet lub gorący olej. Do zadawania bólu służyły różnego rodzaju kleszcze, obcęgi, obręcze i łańcuchy. Nieszczęśników zakuwano w dyby i chłostano. Po takich mękach pozostawały z nich jedynie ludzkie strzępy, gdy więc szli na egzekucję, byli kalekami o pogruchotanych kościach oraz pozrywanych ścięgnach i mięśniach. Nic dziwnego, że większość skazańców z utęsknieniem wypatrywała śmierci.

Niektórzy umierali szybko, kładąc głowę pod katowski miecz lub dyndając na szubienicy. Mniej szczęścia mieli ci, których skazano na łamanie kołem. Bertram skrzywił się na myśl o katuszach czekających nieszczęśników i już chciał odwrócić wzrok, gdy jego spojrzenie przykuł jeden ze skazańców. Rudowłosy olbrzym szedł na końcu pochodu dumnie wyprostowany, z błyskiem w oku i uśmiechnięty, jakby podążał na spotkanie z dziewczką, a nie kostuchą. Pomimo że krępowały go łańcuchy, a twarz miał opuchniętą i zakrwawioną, bił od niego niemal majestat. Żaden z mieszczan nie odważył się rzucić w niego czymkolwiek, a gdy przechodził obok, milkły wszelkie okrzyki. Nawet żołnierze pilnujący skazańców spoglądali na niego z mieszaniną lęku i szacunku.

– Klaus Störtebeker – ze wyszeptał zdumieniem Wulflem.

– Mówiłeś coś, panie? – Van Utrecht nadstawił ucha.

– Nic – odparł kupiec, śledząc wzrokiem pochód, który po chwili

skręcił w uliczkę prowadzącą prosto na rynek.

Bertrama zasmucił los potężnego wilka morskiego, który najwyraźniej nie potrafił trzymać się z dala od kłopotów. Tacy jak on prędzej czy później kończyli zasztyletowani w ciemnej portowej uliczce albo kołyszając się na szubienicy czy kładąc głowę na katowskim pniu. Najwidoczniej właśnie dzisiaj nadszedł czas Klausa. Patrycjusz westchnął ciężko. Wiedział, że nic nie może dla niego zrobić.

– O czym rozmawialiśmy? – zagadnął kapitana, próbując odgonić ponure myśli.

– O Krzyżakach.

Burmistrz Strzałowa pokiwał głową.

– Zakon to potęga. I handlowa, i wojskowa. Nikt jeszcze nie złamał jego wielkiej armii. A Hanza prędzej czy później będzie potrzebowała silnego sprzymierzeńca w walce o panowanie na Morzu Wschodnim.

– I sądzisz, panie, że Krzyżacy będą odpowiednim sojusznikiem? – W głosie kapitana brzmiała złośliwość. – Miałem okazję dobrze ich poznać, więc wiem, że żadni z nich żeglarze. Boją się wody. Wystaw sobie, że kąpiel traktują jako formę pokuty i biorą ją tylko trzy razy w roku: przed Bożym Narodzeniem, Wielkanocą i Dniem Zesłania Ducha Świętego.

Wulflem rzucił kapitanowi niechętnie spojrzenie. Sam również rzadko brał kąpiel, ale wiedział, że obyczaj w tym względzie mocno się różni w zależności od miejsca. W Rzeszy ludzie zazwyczaj opłukiwali wodą tylko twarz i ręce, rzadko dawali do prania swoją odzież, natomiast mieszkańcy Wschodu niemalże codziennie urządzali porządne mycie. W Krakowie, w którym Bertram czasami gościł, łaźnie można było znaleźć na co drugiej ulicy, a biedota raz w tygodniu miała fundowaną darmową kąpiel. Już wyobrażał sobie protesty, gdyby podobne porządki próbował zaprowadzić w

Strzałowie.

– Nawet jeśli dzięki bogactwu zgromadzonemu w malborskim skarbcu wystawią okręty, to na morzu nie będzie z nich pożytku – kontynuował Holender. – Jednakże wątpię, żeby to uczynili.

– Wielki mistrz Zöllner von Rotenstein wydaje się rozumieć, że przyszłość to morskie szlaki.

– To krótkowzroczny dureń – prychnął van Utrecht. – Nie widzi dalej niż czubek własnego nosa. Chciwe spojrzenie kieruje w stronę ziem Polski i Litwy, nie zaś ku morzu.

Wulflem się zafrasował. Wiele było prawdy w tym, co mówił kapitan. Musiał przyznać, że pokładał zbyt duże nadzieje w Krzyżakach, którzy jak na razie tylko mamili go obietnicami. Po raz kolejny spojrzął w stronę wejścia do portu z nadzieją, że zaraz ujrzy kogi z białymi żaglami i wymalowanymi na nich czarnymi krzyżami. Lecz rzeką od strony zalewu płynął tylko jakiś kupiecki holk⁵¹ pod proporcem Lubeki.

– Czas pokaże, co z tego wyniknie – rzekł i ciężko westchnął.

Simon zrozumiał, że to koniec rozmowy, uklonił się i ruszył do swoich zajęć. Bertram ponownie oparł się o reling i zaczął zastanawiać, co zrobi, jeśli krzyżackie okręty nie przybędą. Siedemnaście statków, którymi dysponował, wystarczyłoby do napędzenia stracha niewielkim flotom pomorskich książąt, ale było ich stanowczo za mało, aby rozprawić się z piractwem na całym Bałtyku.

Jego rozmyślania przerwały okrzyki dochodzące od strony miasta. Na rynku rozpoczęły się egzekucje. Wulflem zmarszczył brwi, gdyż przypomniał sobie o rudowłosym olbrzymie. Nie był człowiekiem

51 Holk – ulepszona wersja kogi, która pojawiła się w latach 80. XIV wieku. Holki miały większy kadłub, stałe kasztele, zmodyfikowane urządzenia sterownicze i innowacje w takielunku. Początkowo były jednomasztowe, potem dwu- i trzymasztowe.

sentymentalnym i chociaż niekiedy potrafił okazać współczucie, to los innych ludzi niewiele go obchodził. Tym razem, co dziwne, było inaczej. Poczł coś na kształt wyrzutów sumienia. Przecież ten człowiek uratował mu życie. Nie mógł tego tak zostawić.



Holk

Zszedł ze statku i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę rynku. Gdy dotarł na plac, wynoszono już pierwsze zwłoki, a ceklarze⁵² prowadzili pod szubienicę kolejnego skazańca. Był to chłopak najwyżej piętnastoletni, o płowych włosach i dużych niebieskich oczach, którymi z przerażeniem spoglądał na oprawców. Drżał niczym osika. Kat już czekał, odziany w jaskrawy strój i z czerwonym kapturem narzuconym na głowę, żeby nie było widać jego twarzy.

Stojący na trybunie urzędnik odczytał wyrok, z którego wynikało, że młodzieniec dopuścił się pobicia i rabunku na jednym z tutejszych patrycjuszy. Za ten czyn czekała go śmierć przez powieszenie. Chłopak, usłyszawszy werdykt, padł na kolana, płacząc i błagając zmiłowania. Ale nikt nie miał dla niego litości. Przy zachęcających okrzykach tłumu ceklarze zaciągnęli nieszczęśnika na miejsce straceń. Szubienicę stanowiły dwa kamienne słupy połączone poprzeczną belką. Pod nią znajdowała się czworokątna studnia z zapadnią. Kat zarzucił młodzieńcowi pętlę na szyję, a jeden z ceklarzy uruchomił zapadnię. Skazaniec poleciał w dół, sznur się napiął i rozległo się głucho trzaśnięcie pękającego kręgosłupa. Zgromadzeni jęknęli ze zgrozą. „W obliczu śmierci trwoga ogarnia każdego, nawet tę żądną krwi tłuszczę” – z niechęcią pomyślał Wulflem, lecz zaraz usłyszał, jak ludzie wiwatują i głośno się śmieją, wskazując bezwładnie dyndające ciało. To było dla niego jeszcze bardziej odrażające.

Ceklarze odcięli linę i bez żadnego szacunku rzucili zwłoki na ziemię, przygotowując szubienicę dla następnego skazańca. Nieraz bywało, że ciała groźnych przestępców ćwiartowano, a głowę wbijano potem na pal dla postrachu. Widocznie jednak w Anklam

52 Ceklarz – pacholek miejski, którego zadaniem było pilnowanie porządku, wylapywanie włóczęgów i żebraków, stawianie szubienic, wymierzanie kary chłosty oraz pomaganie katu podczas publicznych kaźni.

trzeba było popełnić większą zbrodnię niż napaść na patrycjusza, żeby zasłużyć sobie na takie specjalne traktowanie. Zwłoki młodzieńca natychmiast zabrał grabarz, który miał mu wyprawić pogrzeb na koszt miasta.

Bertramowi udało się przecisnąć przez tłum i stał teraz w pierwszym rzędzie gapiów, skąd miał lepszy widok na cały plac. Przed nim znajdowali się już tylko strażnicy miejscy oddzielający ludzi od miejsca egzekucji. Od czasu do czasu szturchali drewnianymi trzonami halabard rezolutnych mieszczan, którzy wyrwali się, jakby sami chcieli wymierzyć sprawiedliwość.

Dopiero teraz burmistrz mógł dobrze przyjrzeć się miejscu kaźni. Okazało się, że oprócz szubienicy były tu również dyby, a w nich zakuci nieszczęśnicy. Dostrzegł też pręgierz, gdzie właśnie wymierzano chłostę młodej kobiecie, oraz katowski pieniek z wbitym weń toporem, a obok koszyk, w którym leżało już kilka głów.

Wulfem zobaczył na drugim końcu placu zbitych w kupę skazańców. Skuci łańcuchami, z opuszczonymi głowami i ze zgastymi oczami czekali na swoją kolej. Tylko Störtebeker nadal stał dumnie wyprostowany, jakby wyzywał samą śmierć. Burmistrz Strzałowa poczuł mimowolny podziw dla tego człowieka. Pomyślał, że przydałby mu się taki człowiek na pokładzie „Bursztynu”.

– Klaus Störtebeker! – wywołał urzędnik.

Ceklarze rozkuli jeńca, ale zostawili mu pęta na rękach, po czym podprowadzili go pod samą trybunę. Oskarżyciel obrzucił olbrzyma pogardliwym spojrzeniem, w którym trudno było szukać miłosierdzia.

– Nasze prawo powiada, że złodziej ma być obwieszon. Zdrajca, rozbójnik łupieżca w koło wplecion, a gwałtownik panien ma być ścięty. Klausie Störtebeker, wdarłeś się do domu rajcy miejskiego, człowieka szanowanego nie tylko w Anklam, lecz także w sąsiednich miastach, i zhańbiłeś jego żonę. Za to, że ją siłą posiadłeś, położysz

głowę na katowskim pniu...

– To nie był żaden gwałt!

Spojrzenia wszystkich zawisły na młodej kobiecie ubranej w zieloną, adamaszkową suknię podkreślającą jej zgrabną figurę. Wzorem mężatek skrywała włosy pod płóciennym czepkiem, ale niesforne złociste kosmyki wymykały się spod niego, nadając jej uwodzicielski wygląd. Miała ładną, delikatną twarz, lecz zmarszczone czoło nadawało jej groźny wygląd.

– Sama mu się oddałam – zawołała. – Nawet długo nie musiał prosić.

Najpierw zapanowała cisza, potem rozległy się pojedyncze śmiechy i zaraz ogólna wesołość udzieliła się wszystkim. Ludzie żartowali i pokazywali obsceniczne gesty, zupełnie nie przejmując się tym, że rynek pokrywają kałuże krwi, a skazańcy w ponurym milczeniu czekają na stracenie.

– To ja kazałam mu przyjść pod nieobecność mojego męża i robiliśmy to w małżeńskim łóżu – kobieta mówiła dalej. – Brał mnie na wszystkie możliwe sposoby, a ja wiłam się z rozkoszy...

– Zamilcz! – Z trybuny podniósł się blady, siwowłosy mężczyzna, wściekle zaciskając pięści. Wulflem domyślił się, że to zapewne mąż, któremu przyprawiała rogi.

– Nie będę milczeć! – Tupnęła nogą. – Klaus nie zrobił niczego złego! Potrzebowałam prawdziwego mężczyzny, a nie starca, który niedomaga w łóżnicy. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie zawistna służąca, która też miała chrapkę na Klause! Podśluchiwała pod drzwiami, a potem doniosła na nas!

Siwowłosy z powrotem opadł na siedzisko. Ponizony i zawstydzony, ukrył twarz w dłoniach. Bertram zrozumiał, co zaszło. Zdradzony mąż nie mógł udawać, że nic się nie stało. Tego typu wieści bardzo szybko rozchodzą się po mieście, więc nieszczęśnik musiał ratować swój honor. Straciłby szacunek w oczach ludzi,

gdyby dowiedzieli się, że jego żona oddała się temu barbarzyńcy z własnej woli. Postanowił zatem przedstawić zdarzenie jako gwałt.

Urzędnik chrząknął znacząco, uniósł dłoń, żeby uspokoić tłum, i rzekł:

– Klaus Störtebeker potwierdził swoją winę, podejmując próbę ucieczki, gdy straż przybyła go aresztować.

– A co miałem czynić? – zakrzyknął rudowłosy. – Chcieli mnie pojmać siłą, a ja nie wiedziałem za co!

– Zamilcz! – krzyknął wściekły urzędnik. Jeden ze strażników zdzielił Klause drzewcem halabardy w brzuch, i to tak mocno, że olbrzym zgiał się wpół. Zadowolony patrycjusz kontynuował odczytywanie wyroku: – Zdemolował wówczas pół gospody, w której się zatrzymał i pobił do nieprzytomności dwóch drabantów. Gdyby był bez skazy, poszedłby złożyć zeznania, jak na uczciwego człowieka przystało.

Wulfem skrzywił się, przypominając sobie, jak wydobywa się zeznania z więźniów. W lochach nawet niewinni przyznawali się do zbrodni, których dokonanie nie przyszłoby im do głowy. Jednakże prawo było nieubłagane, a każdą próbę ucieczki uznawano za niezbity dowód winy.

Urzędnik skinął na ceklarzy. Pomimo że rudowłosy miał związane ręce, musiało go trzymać pięciu ludzi, bowiem szarpał się, kopał, rozdawał ciosy barkiem. Wreszcie udało im się zaciągnąć go pod katowski pień. Tutaj rzucono mu pod nogi wiązkę słomy i zmuszono, żeby na niej ukląkł. Gdyby był szlachcicem, podłożono by mu pod kolana sukno.

Kat sprawdził ostrość topora, pokiwał z uznaniem głową i spojrział na skazańca.

– Pragniesz coś rzec przed śmiercią?

Störtebeker przestał się szarpać i hardo spojrział w stronę trybuny. Jego oczy przybrały barwę morza podczas silnego sztormu i

wydawały się piekielnymi otchłaniami, które zaraz porwą wszystko w zaświaty.

– Przyjdę po was – rzekł strasznym głosem, wpatrując się w patrycjuszy, którzy odwracali wzrok. – Wrócę z tamtego świata, dopadnę każdego, kto fałszywie świadczył w mojej sprawie, i zabiję. A potem spalę wasze domy i wyrznię w pień rodzinę. Tak mi dopomóż Bóg.

Zgromadzeni na trybunach rajcy miejscy pobledli, nawet rozweselony tłum zamilkł, jakby przepowiednia skazańca położyła się cieniem na całym mieście. Wulflem poczuł, jak przechodzą go ciarki.

– A teraz, kacie, czyń swoją powinność – rzekł Störtebeker i dobrowolnie położył głowę na pniu.

Człowiek w czerwonym kapturze uniósł topór i w chwili, gdy miał go opuścić, Bertram usłyszał własny głos:

– Stój!

Oprawca się zawahał. Wszyscy spojrzeli w zdziwieniu na Wulflema.

– Pragnę zabrać głos w sprawie Störtebekera – rzekł i postąpił krok do przodu. Zatrzymał go strażnik, groźnie unosząc halabardę.

– Kim jesteś, człowieku? – zapytał rozdrażniony urzędnik.

Dopiero teraz Bertram zdał sobie sprawę, że ubrany jest w prosty skórzany kaftan i nie wygląda na hanzeatyckiego patrycjusza.

– Jam jest Bertram Wulflem, burmistrz Strzałowa – odparł. – Znacie mnie, bowiem spotkaliśmy się w miejskim ratuszu.

Pytający zmrużył oczy, przez chwilę mu się przyglądał, a potem pokiwał głową i pozwolił go przepuścić.

– Mówcie, panie, czego chcecie?

Wulflem, zanim odpowiedział, odetchnął głęboko, pytając samego siebie, dlaczego się wtrącił. Powinien odwrócić się na pięcie, wsiąść na statek i zapomnieć o losie rudowłosego olbrzyma.

– Nie mogę stać beczynn timer i patrzeć, gdy na moich oczach gwałt zadaje się sprawiedliwości – rzekł głośno i dobitnie. – I to w mieście należącym do Hanzy, która jest znana z wydawania słusznych wyroków w majestacie prawa. Czy możemy karać człowieka za to, że dał się uwieść niewieścimer wdziękom? Jeśli tak, głowę na pniu powinni tu położyć niemal wszyscy mężczyźni.

Rozległy się gromkie śmiechy.

– To był gwałt! – oburzył się patrycjusz odczytujący wyrok.

– Gwałt? – zdziwił się Bertram. – Przecież niewiasta zeznała, że oddała się temu mężczyźni z własnej i nieprzymuszonej woli.

– Niewiasty są odmienne w słowach, a świadectwa różne wydają.

Wulflem zaklął pod nosem, przeklinając prawo, które zabraniało świadczyć Żydom, złoczyńcom, pijakom, komediantom i kobietom.

– Zatem niewinny człowiek śmierć poniesie, bowiem wy nie przyjmiecie zeznań od tej niewiasty – rzekł kupiec, wskazując kochankę Störtebekera. – Tylko dlatego, by zachować pozór jej wierności i żeby jej mąż nadal mógł chodzić z podniesioną głową, pozwolicie na zabójstwo w majestacie prawa?

Burmistrz Strzałowa powiódł spojrzeniem po siedzących na trybunach patrycjuszach. Odwracali spojrzenia i opuszczali głowy. Każdy z nich miał coś na sumieniu. Oszukiwali klientów w kupieckich transakcjach, unikali płacenia podatków, część z nich nawet zatrudniała bandytów, którzy napadali na siedziby konkurentów, ale żaden jeszcze nie ubrudził sobie rąk krwią niewinnego. Tylko zdradzony mąż, czerwony na twarzy, spoglądał gniewnie na Wulflema.

– Czy naprawdę do tego dopuścicie? – Bertram kuł żelazo póki gorące. – Do jawnej niesprawiedliwości? Śmierć tego człowieka wasze sumienia obciąży, a niektóre grzechy nigdy nie zostają przebaczone. Dacie satysfakcję dumie zdradzonego męża, nawet jeśli czeka was za to wieczne potępienie? Zastanówcie się, czy

warto?

Rajcy zaczęli szeptać między sobą, a z ich marsowych min wynikało, że przemowa burmistrza Strzałowa zrobiła na nich wrażenie. Wreszcie jeden podszedł do prowadzącego egzekucję urzędnika i zaczął tłumaczyć mu coś na ucho.

W tym czasie spragniony wrażeń tłum zaczął się już niecierpliwić. Wznoszono okrzyki, domagając się kolejnej kaźni, niektórzy przykładali dłonie do ust i głośno buczeli, by dać wyraz swemu niezadowoleniu. Nawet kat, znudzony przeciągającą się dysputą, obojętnie spoglądał w niebo.

Wreszcie urzędnik pokiwał głową, chrząknął i przemówił:

– Podtrzymujemy zarzut wobec Klausa Störtebekera. – Spojrzał gniewnie na klęczącego rudzielca, który zbladł, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, co go czeka. Tymczasem rajca mówił dalej: – Jednakże w obliczu tego, że oskarżenie było jeno na poszlakach budowane i nie wszyscy sędziowie są zgodni co do winy oskarżonego, jesteśmy skłonni odstąpić od wykonania wyroku, powołując się na pradawne prawo. Jeśli skazaniec przysięgnie na święte relikwie, że jest niewinny, a na dodatek znajdzie się człek szlachetnie urodzony, który za niego poręczy, narażając tym samym na szwank swój honor, jeśli Störtebeker popełnił zarzucany mu czyn, to skazaniec wolny odejdzie. Czy jest ktoś taki?

Urzędnik spojrzał wyzywająco na Bertrama, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. Wulfem musiał w myślach pogratulować rajcom Anklam przebiegłości. W ten sposób zrzucali ze swoich barków odpowiedzialność za los skazańca, a zrzucali ją na niego. Jeśli zgodzi się poręczyć za niemal nieznanego sobie człowieka, umyją ręce. Jeśli nie, bez skrupułów rozkażą wykonać wyrok.

Zapadła głęboka cisza. Ludzie zaczęli się rozglądać, ciekawi, czy ktoś zdecyduje się wstawić za nic nieznaczącym rudzielcem skazanym za gwałt. Burmistrz westchnął ciężko.

– Uczynię to! – rzekł głośno. – Poręczę za niego.

Urzędnik pokiwał głową, zerwał z szyi ozdobny pektorał, a następnie zszedł z trybuny i najpierw podszedł do skazańca, by przyjąć jego przysięgę, potem do Bertrama. Wreszcie, gdy formalnościom stało się zadość, rozkazał ceklarzom rozciąć więzy Störtebekera.

– Jesteś wolny – oznajmił. – Możesz udać się, dokąd chcesz.

Tłum zabuczał niezadowolony. Tylko niewiasta, która rzekomo miała zostać zgwałcona, klaskała w dłonie z radości. Klaus nawet nie spojrział w jej kierunku. Rozcierając nadgarstki, podszedł do Wulflema.

– Czemu to uczyniłeś? – zapytał.

– Winny byłem ci życie. A ja nigdy nie rzucam słów na wiatr.

Rudzielec przez dobrą chwilę uważnie mu się przyglądał. Nagle w niebieskich oczach błysnęły iskry.

– Teraz pamiętam! – Pstryknął palcami. – To było w Gdańsku.

– Masz dobrą pamięć.

Olbrzym wzruszył ramionami.

– Oczekujesz podziękowań? – spytał podejrzliwie. – Nie doczekasz się. Prędzej czy później i tak katowski pień mi pisany. Tacy jak ja nie dożywają starości.

– Niewątpliwie – roześmiał się Bertram. – Przydałby mi się ktoś taki jak ty w morskiej wyprawie, którą planuję.

Störtebeker wznosił lekko brew.

– Morskiej wyprawie?

– Można dobrze zarobić.

Ocalony mężczyzna wyszczerzył zęby.

– Już mi się podoba!

Tłum znowu ryknął rozradowany, bo na miejsce kaźni prowadzono kolejnego skazańca.

– Chodźmy stąd – rzekł Wulflem. – W porcie stoją moje okręty.

Gdy przedzierali się przez tłuszcę, Klaus Störtebeker obejrzał się na siedzących na trybunie rajców, zmrużył gniewnie oczy i coś wyszeptał. Bertram nie potrafił czytać z ruchu warg, ale był przekonany, że to przekleństwo.

Morze Bałtyckie przy wybrzeżu Pomorza Zachodniego

Wrzesień 1389 roku

Bez wątpienia „Bursztyn” był najszybszym statkiem spośród zebranych przez burmistrza Strzałowa kog pokoju. Pruł fale niczym dobrze naostrzony nóż, gładko przechodzący przez kromkę chleba. Szybko wysforował się do przodu, pozostawiając w tyle całą flotę, która obecnie składała się z dwudziestu trzech okrętów. Co prawda Krzyżacy nie przysłali do Anklam ani jednego, czym Wulfem był wielce zawiedziony, ale udało mu się zdobyć kilka jednostek na pierwszym napotkanym wrogu. Taka liczba wystarczyła, żeby w ciągu następnego miesiąca zrobić porządek z pirackimi flotami większości ksiąząt pomorskich. Pozostał tylko jeden – Warcisław.

Książę słupski za każdym razem wymykał się z zastawianych na niego pułapek, jakby niezwykle przeczucia podpowiadały mu, kiedy nie wychodzić w morze. Flota Hanzy w żaden sposób nie mogła go dopaść.

Do dnia dzisiejszego.

Dwa holki płynące na wschód wzdłuż wybrzeża wydawały się łatwym łupem. Obciążone towarem, poruszały się wolno, leniwie wręcz, grzechem zatem byłoby z tego nie skorzystać.

Trzy okręty Gryfity rozpostarły żagle i ruszyły. Ale kiedy już miało dojść do abordażu, holki raptownie zmieniły kurs na północny.

Warcisław, który oczyma wyobraźni widział już bogactwa znajdujące się w ich ładowniach, rozkazał je ścigać. Nic nie wzbudziło jego podejrzeń, więc dopiero gdy spostrzegł na widnokręgu idącą pełnym wiatrem flotę hanzeatycką, zrozumiał, że wpadł w pułapkę. Rozkazał wykonać zwrot i uciekać. Ale było już za późno.

Störtebeker, ukryty za krenelażem dziobowego kasztelu „Bursztynu”, ścisnął rękojeść miecza i cieszył się na nadchodzącą bitwę. Inni przed walką odczuwali strach, lęk przed śmiercią lub okaleczeniem, a on jedynie podniecenie równe temu, gdy miał w łóżu nową dziewczkę. Poprawił na głowie szłom zdobyty na pewnym pomorskim piracie. Miał nadzieję, że dzisiaj zyska porządną kolczugę, bo jego kaftan, choć obszyty grubą skórą, w dodatku nabity ćwiekami, nie chronił przed porządnym ciosem miecza. Na szczęście Klaus był wytrawnym szermierzem i nie tak łatwo było go trafić. Walki mieczem uczył go sam Johannes Liechtenauer⁵³.

W ciągu ostatniego miesiąca walk Störtebeker zyskał podziw załogi i Wulflema. Potwierdził swoją sławę znakomitego żołnierza i żeglarza. Często też stawał za ruplem. Podczas bitew rwał się do boju, jako pierwszy wskakiwał na pokłady wrogich jednostek i rozpoczynał rzeź swoim bastardem. W końcu został mianowany dowódcą grupy abordażowej i szybko zaczął cieszyć się szacunkiem podkomendnych, gdyż nigdy nie opuszczał towarzyszy w walce i zawsze postępował sprawiedliwie podczas podziału łupów.

Uśmiechnął się, widząc jak „Bursztyn” z każdą chwilą zbliża się do rufy pierwszego z pirackich statków, na którym dumnie powiewała flaga: czerwony gryf na białym polu. Dostrzegął już przerażone twarze marynarzy. Oglądali się z niepokojem do tyłu, a potem

53 Johannes Liechtenauer – niemiecki mistrz miecza żyjący w XIV wieku. Jego życie owiane jest tajemnicą. Uporządkował i udoskonalił spójny system walki mieczem, który nazwał Kunst des Fechtens.

przenosili wzrok na własny żagiel, jakby chcieli w niego dmuchnąć. Piraci jeszcze liczyli na to, że zdążą dopłynąć do portu i ukryć się za murami Słupska. Ale z każdą chwilą ich nadzieja gasła. Trzy kogi obsadzone zbrojnymi nijak nie mogły stawić czoła hanzeatyckiej flocie wojennej złożonej z niemal dwóch tuzinów okrętów.

Polecały pierwsze kamienie z ustawionej na dziobie katapulty, ale plusnęły w wodę daleko od gryfickiego żaglowca. Piraci odpowiedzieli ostrzałem z kusz, a jeden z bełtów wbił się w krenelaż tuż przy głowie Störtebekera. Rudowłosy zaklął wściekle i posłał w stronę uciekających kilka obelg.

Wreszcie kolejny głąz wystrzelony z „Bursztynu” trafił w cel, roztrzaskał rufę i uszkodził płetwę sterową. W powietrze wzbil się triumfalny okrzyk hanzeatyckich zbrojnych, gdy wrogi statek wpadł w dryf. Jednak ludzie księcia Warcisława nie mieli zamiaru poddawać się bez walki. Obsadzili stanowiska bojowe. Pomiędzy zębami krenelaży błyskały ostrza halabard, a na marsie dwaj łucznicy szykowali się do ostrzału. Lada chwila miało dojść do abordażu, więc serce Klausa zaczęło bić szybciej. Mocno ścisnął rękojeść miecza, przepelniony radością, że oto zaraz powietrze wypełni się krzykami umierających i zapachem krwi. To były chwile, w których czuł, że naprawdę żyje.

Sternik skierował „Bursztyn” w stronę uszkodzonej kogi, żeby dobić do niej burta w burtę.

– Płyn dalej! – rozkazał Bertram. – Inni się nimi zajmą.

Zebrani na pokładzie zbrojni zaczęli kląć, żli, że łatwy łup trafi w ręce. Tylko Störtebeker milczał, dobrze rozumiejąc decyzję Wulflema. Postąpiłby tak samo, gdyby dowodził flotą. „Bursztyn” był najbliższej pozostałych statków gryfickiego księcia, więc nie było sensu wdawać się w walkę z dryfującą kogą. Należało dopędzić te uciekające.

Klaus się obejrzał. Cztery statki hanzeatyckie dobiły do

uszkodzonej kogi. Załoga dzielnie walczyła, ale nie mogła stawić czoła tak miażdżącej przewadze wroga. Nie minęły dwie zdrowaśki, gdy pozostała przy życiu grupa zbrojnych się poddała.

Tymczasem „Bursztyn” doganiał kolejny statek. Gryfickie kogi po wykonaniu zwrotu dopiero nabierały prędkości i nie były w stanie umknąć rozpędzonym prześladowcom. Ponownie wystrzelono pociski z katapult, a łucznicy wypuścili grad strzał, ale tym razem bez skutku. Störtebeker pokręcił głową, widząc taką nieporadność. To niedobrze świadczyło o wyszkoleniu załogi Bertrama, a przecież na flagowym okręcie służyli ponoć najlepsi z tych, których zebrał burmistrz Strzałowa.

Zanim na „Bursztynie” ponownie załadowano katapulty, uciekinierzy zaostrzyli na wiatr z nadzieją, że halsując⁵⁴ unikną ostrzału. Mieli rację, gdyż obsługa machin musiała na nowo namierzyć cel i zmienić naciąg lin. Łucznicy wypuścili strzały, ale żadna nie trafiła.

Nagle od zawietrznej gryfickich żaglowców pojawiło się siedem statków prowadzonych przez Simona van Utrechta. Jego eskadra od samego początku płynęła innym kursem niż reszta floty i miała za zadanie odciąć uciekinierów od portu. Taktyka się opłaciła i teraz dwie pirackie kogi znalazły się w potrzasku.

Najpierw wroga dopadła sznika⁵⁵, wprawdzie mniejsza od kog, ale

54 Halsowanie – metoda poruszania się żaglowca w kierunku, z którego wieje wiatr. Manewr ten stosuje się, kiedy nie ma możliwości żeglowania wprost na wiatr. Polega na płynięciu zakosami (raz lewym, raz prawym halsem) i wykonywaniu wielokrotnych zwrotów.

55 Sznika – nieduży, smukły żaglowo-wiosłowy statek podobny do skandynawskiego sneka, a służący zwykle do żeglugi kabotażowej lub rybołówstwa. Przeciętny tonaż wynosił 50–80 ton, załoga nie przekraczała dziesięciu osób. Szniki budowano i używano głównie na Bałtyku i we wschodniej części Morza Północnego od XIV do XVI wieku. Miały jeden maszt z prostokątnym żaglem rejowym, nie miały kaszteli i nie były uzbrajane w broń

dzięki temu zwrotniejsza. Statki zwały się burtami i żołnierze hanzeatyccy, uzbrojeni w osadzone na długich drzewcach noże abordażowe, wdarli się na pokład gryfickiego statku i rozpoczęli rzeź.

Ludzie Warcisława nie spodziewali się prawdziwej bitwy. Wyłynęli w morze na polowanie na kupieckie holki, których załogi zazwyczaj nie stawiały oporu i poddawały się bez walki. A teraz musieli stawić czoła zahartowanym w boju żołnierzom, którym niestety nie mogli sprostać. Zbrojni van Utrechta zakluwali wrogów niczym bezbronne bydło. Po chwili na pokładzie leżały tylko trupy piratów.

„Bursztyn” tymczasem doścignął ostatnią kogę. Zrównał się z nią od zawietrznej, a tym samym odbierał jej wiatr. Biały żagiel z wymalowanym olbrzymim czerwonym gryfem wpadł w łopot i statek niemal całkowicie się zatrzymał.

Okręty ledwie zdążyły zderzyć się burtami, a Störtebeker już był na pokładzie wrogiej jednostki. Zamaszystym cięciem miecza pozbawił głowy pierwszego przeciwnika, który nawet nie zdążył unieść broni, po czym wbił sztych w brzuch szarżującego na niego pirata z toporem. W samą porę wyciągnął klingę, żeby przyjąć na zastawę cios tasaka. Przed kolejnym uderzeniem wykonał taneczny unik i ciął napastnika przez biodro.

Zabił trzech ludzi w mgnieniu oka i to zrobiło wrażenie na wrogach. Nikt nie miał odwagi zmierzyć się z rudowłosym olbrzymem, który szalał jak niedźwiedź otoczony przez psy. Przerażeni piraci dali krok w tył.

– Na niego, głupcy! – krzyknął postawny mężczyzna stojący na kasztelu rufowym. Odziany był bogato, więc Störtebeker domyślił się, że to jakiś możnowładca. Oczy Klausa zabłyśły, kiedy dostrzegł,

ciężką. W czasie wojny wykorzystywano je do służby rozpoznawczej i pomocniczej (były szybsze od kog i holców).

że dowódca piratów nosi dobrej jakości kolczugę.

Zaraz ruszył ku niemu, tnąc i rąbiąc wszystkich, którzy stanęli mu na drodze. Za plecami słyszał szcęk oręża – znak, że pozostali hanzeaci wdarli się na pokład pirackiej kogi i rozpoczęła się bitwa. W kilku krokach dopadł schodków i zaczął wspinać się na kasztel.

Teraz dzieliło go od zdobyczy tylko trzech roślących mężczyzn w szpiczastych hełmach i jakach z wizerunkiem czerwonego gryfa. Zapewne była to straż przyboczna możnego, bo wyglądali na takich, którzy znają wojenny fach. Pierwszy doskoczył do Klausa, gdy ten był jeszcze na schodach, i uderzył toporem. Olbrzym w ostatniej chwili uchylił się, a żeleźce rozłupało drewnianą poręcz. Poleciały drzazgi, przecięły policzek rudowłosego i pozostawiły krwawe ślady. Nawet tego nie poczuł i natychmiast wyprowadził pchnięcie, wbijając sztych miecza w brzuch przeciwnika. Pirat zwałił się ze schodów.

Störtebeker zwinnie przeskoczył nad nim i już stał na kasztelu, szykując się do walki z kolejnymi piratami. Wysunął lewą nogę lekko do przodu, uniósł miecz tak, aby rękojeść spoczywała na wysokości głowy, a sztych był wycelowany w najbliższego wroga. Dzięki temu mógł w każdej chwili wykonać pchnięcie, cięcie na skos lub wyprowadzić zasłonę. W takiej pozycji zastygł w oczekiwaniu na ruch przeciwników.

– Co to za błazen? – roześmiał się potężny brodacz dzierżący dwuręczny nadziak. Klaus wiedział, że ta broń w rękach sprawnego wojownika jest śmiertelnie groźna. Z jednej jej strony znajdowała się stalowa głowica, mogąca zmiażdżyć czerep, z drugiej ostry dziób, zdolny przebić najlepszy pancerz. I chociaż zapach przelanej krwi przyprawiał Störtebekera o bitewny szal, zdołał zachować ostrożność.

Brodacz mocniej chwycił drewniane stylisko i ruszył w stronę rudowłosego. Klaus kątem oka spostrzegł, że drugi zbrojny,

mężczyzna o szczerzym obliczu, uzbrojony w tarczę i miecz, usiłuje go obejść, postąpił więc krok w stronę brodacza, a następnie błyskawicznie zmienił kierunek i niczym jastrzęb runął na szczerowatego. Ten, chociaż zaskoczony nagłym manewrem, zdołał zasłonić się tarczą. Olbrzym nie miał jednak czasu, żeby ponowić uderzenie, bo już musiał bronić się przed brodaczem.

Pierwszy cios nadzieaka zdołał sparować, przed drugim uchylił się i tylko usłyszał świst głowicy, ale trzeci dosięgnął celu. Stalowy dziób rozdarł kaftan na ramieniu i rozorał skórę. Klaus poczuł ostry ból, a potem ciepło krwi sączącej się z rany. Nie przypuszczał, że brodacz będzie aż tak szybki. Ale to go jeszcze bardziej rozwścieczyło.

Odkoczył, zmienił postawę – teraz prawa noga była wykroczna. Zamarkował uderzenie mieczem, ale zamiast tego kopnął przeciwnika w krocze. Pomorzanin zwinął się z bólu i opuścił nadzieak. Störtebeker wyprowadził błyskawiczne cięcie. Brodacz chwycił się za krwawiące gardło i padł na pokład. Jeszcze rzeźił, ale życie już z niego ulatywało.

Rudowłosy nie miał jednak czasu na podziwianie własnego dzieła, bo już musiał odierać ataki szczerowatego. Rozległ się szcęk oręża, klinga uderzała o klingę, sypały się iskry. Niewątpliwie Störtebeker miał do czynienia z wytrawnym szermierzem. Próbował różnego rodzaju sztychów i cięć, ale przeciwnik wszystko blokował tarczą lub mieczem. Sam musiał cały czas stosować uniki, przyjmować ciosy na zastawę i pilnować, żeby nie poślizgnąć się na mokrym pokładzie.

Równocześnie dostrzegł przerażonego możnowładcę, który cofnął się na sam koniec kasztelu rufowego i oparł plecami o krenelaż. Nie miał gdzie dalej uciekać. Za nim była już tylko morska toń. Ciężko przelknął ślinę. Klaus się uśmiechnął. Nie pozwoli mu długo czekać.

W kolejne uderzenie włożył całą swoją siłę. Ostrze miecza rozbiło tarczę przeciwnika na pół. Na czole szczerowatego pojawiła się

głęboka bruzda, ale duch bojowy w nim nie wygasł. Odrzucił roztrzaskane resztki drewna i, chociaż jego oręż był krótszy, śmiało ruszył do natarcia.

Z brzeszczotów ponownie posypały się iskry, mężczyźni uderzali, odskakiwali i atakowali. Trudno było nadążyć za wymianą ciosów, bo obaj walczący znali się na rzeczy. Wiele razy Störtebeker był bliski śmierci, gdy sztych miecza przeciwnika mijał go zaledwie o włos. Kilkakrotnie w ostatniej chwili udawało mu się zablokować cięcie, żeby zaraz odpowiedzieć nagłym atakiem. Jednak żaden nie przyniósł skutku.

Tymczasem na pirackiej kodze bitwa zbliżała się ku końcowi. Zbrojni z „Bursztynu”, wsparci przez żołnierzy z innych hanzeatyckich statków, rozprawiali się z ostatnimi piratami. Jeszcze tylko kilku ludzi Warcisława broniło się zacięcie przy nadbudówce, z marsa nadal ktoś ostrzeliwał się z łuku, ale nie ulegało wątpliwości, że lada chwila będzie po wszystkim. Bertram Wulfem miał znowu zatriumfować.

Szczurowaty kątem oka dostrzegł, że sprawy przybrały zły obrót, ale nie ostudziło to jego zapału. Zaatakował wściekle – raz, drugi, trzeci. Klaus przyjął wszystkie ciosy na zastawę miecza, ale w żaden sposób nie mógł skontrolować. Gdy wreszcie mu się to udało, przeciwnik zwinnie odskoczył i klinga cięła powietrze.

Störtebeker ciężko dyszał, ta walka kosztowała go stanowczo zbyt wiele wysiłku. Jego bastard był cięższy od miecza szczurowatego i to powodowało, że w każdy cios musiał wkładać więcej siły niż przeciwnik. Wiedział, że teraz wróg będzie zyskiwał przewagę. Długo tak nie wytrzyma, więc musi zaryzykować.

Gdy doszło do kolejnego zwarcia, Klaus nagle wypuścił broń, jedną ręką złapał za nadgarstek przeciwnika, drugą za jego łokieć, a następnie gwałtownie wykręcił. Szczurowaty zawył z bólu i padł na kolana. Störtebeker błyskawicznie odebrał mu miecz i wbił głęboko

w gardło Pomorzanina.

Olbrzym westchnął ciężko, otarł pot z czoła i sięgnął po swoją broń. Dopiero teraz spojrzął na możnowładcę. Mężczyzna wyprostował się dumnie, wyciągnął z pochwy miecz i pełnym dostojeństwa głosem rzekł:

– Ze mną nie pójdzie ci tak łatwo.

– Przekonajmy się – odparł rudowłosy.

Mocniej ujął bastarda i ruszył w stronę możnego. Ten zbladł jeszcze bardziej, ale duma nie pozwalała mu na okazanie słabości. Odgarnął poły drogiego płaszcza i przybrał postawę bojową.

Klaus zadał pierwszy cios jakby od niechcienia, uderzając od dołu na skos, ale przeciwnik ledwie zdołał się przed nim uchylić. Natychmiast poprawił, tnąc od góry i możnowładca musiał zasłonić się mieczem. Uderzenie jednak było tak silne, że aż nogi ugięły się pod Pomorzaninem. Warknął wściekle i wyprowadził szybkie pchnięcie, jednak Störtebeker zbił je bez najmniejszego problemu.

Walka trwała cios za cios, bo chociaż Klaus był o wiele lepszym szermierzem, to przeciwnik nie był zmęczony. Żaden nie dopuszczał do siebie możliwości porażki. Wreszcie, gdy doszło do zwarcia, rudowłosy złapał rękojeść miecza przeciwnika i wykręcił ją na zewnątrz, uderzając głowicą własnej broni w skroń możnowładcy. Ten zatoczył się i, oszołomiony, usiadł na pokładzie niczym małe dziecko po pierwszej próbie chodzenia. Z rany na głowie ciekła mu krew, wzrok miał zamglony. Olbrzym uśmiechnął się i uniósł ostrze, żeby go dobić.

– Stój! – dobiegł go krzyk z za pleców.

Odwrócił się, zły, że ktoś śmie mu przeszkadzać. Ujrzał Bertrama, który właśnie wdrapał się na kasztel. Walki już dobiegły końca. Koga została opanowana.

– Poniechaj go, Störtebeker – rzekł rozkazująco.

Jednakże Klaus tylko gniewnie zmrużył oczy.

– Dlaczego?

– To ksiązę Warcisław. – Wulflem wskazał na próbującego dojść do siebie mężczyznę. – Bardziej przyda się nam żywy niżli martwy.

Störtebeker skrzywił się, ale opuścił miecz.

– Chcę kolczugę – rzekł ponuro, obawiając się, że chociaż się napocił, nie zdobędzie żadnych łupów.

Burmistrz roześmiał się szczerze.

– W nagrodę za dzielną postawę otrzymasz ode mnie najlepszej jakości kolczugę – obiecał. – Jednakże nie tę, bowiem nie godzi się tak dostojnego gościa odzierać z rynsztunku.

Klaus pokiwał głową. To mu odpowiadało.

– Co z nim zrobicie, panie?

– Jeszcze nie zdecydowałem – odparł Bertram i spojrzał uważnie na księcia. – Mojego druha Büllenwavera ucieszy wieść, że teraz Warcisław znalazł się w naszych rękach. Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. Może potrzymamy go trochę w loszku i zażądamy okupu? Na pewno też chętnie Krzyżacy się z nim rozmówią za to, że na życzenie Jagielly wprowadził blokadę dróg z Rzeszy na ziemie zakonu. Kto wie, może jeśli dostarczymy go do Malborka, wielki mistrz łaskawszym okiem spojrzy na naszą sprawę i wspomże w walce z piratami?

Rudowłósy milczał. Nie znał się na polityce i niewiele go ona obchodziła. Chciał tylko swoją kolczugę.

– Dziwnie czasem się w życiu układa – mówił dalej Wulflem. – Sam ksiązę słupski, ojciec króla Norwegii kłęczy oto teraz przed zwykłym kupcem. I na co komu tytuły, szlchetne urodzenie i znamienity rodowód?

– Krew u każdego jest jednako czerwona.

– Dobrze powiedziane, Störtebeker.

– Najważniejsza jest siła oręża.

– Nie. – Burmistrz Strzałowa pokręcił głową. – Najważniejsze jest

złoto. Za nie możesz kupić każdego i stworzyć potężną armię. Ludzi nie kupisz słowami ani czynami. Liczy się tylko złoto.

Klaus, obserwując jak zbrojni krępują więzami Warcisława, który obity i ledwie trzymający się na nogach w niczym nie przypominał dumnego księcia, a raczej zwykłego rzezimieszka złapanego na gorącym uczynku, zastanawiał się nad tym, co powiedział Wulflem. Musiał przyznać, że było w tym sporo racji. W obecnych czasach światem nie rządzą wojownicy ani królowie posiadający rozległe dziedziny i dysponujący wielkimi armiami, ale ci, którzy mieli złoto. Störtebeker postanowił dobrze zapamiętać usłyszaną dzisiaj lekcję. Czuł, że kiedyś mu się przyda.

Westchnął ciężko i szedł z kasztelu. Dzisiaj czekało go jeszcze sporo pracy, nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek. Trzeba było sprawdzić, co z jego ludźmi, ilu zostało rannych lub zabitych, a potem podzielić łupy.



Rozdział 3

Roskilde

Październik 1389 roku

Królowa Małgorzata z wściekłością cisnęła pergamin na podłogę, a potem usiadła na tronie – tym samym, który przed laty zajmował jej ojciec, Waldemar Atterdag⁵⁶. To właśnie on, po latach chaosu i bezkrólewia, usunął rządzących krajem Holsztyńczyków i odnowił potęgę Królestwa Danii.

Monarchini westchnęła ciężko, a na jej wysokim czole pojawiła się głęboka bruzda. Nieświadomie sięgnęła dłonią do korony nałożonej na białą chustę, przykrywającą posiwiałe już włosy, jakby chciała ją ściągnąć i tym samym odsunąć od siebie przygniatający ciężar władzy. W ostatniej chwili powstrzymała rękę i położyła dłonie na misternie rzeźbionych poręczach siedziska. Błada i skulona, nie wyglądała jak królowa Danii i Norwegii oraz regentka Szwecji, ale jak stara, zmęczona życiem kobieta.

Podniosła wzrok na otaczających ją doradców, urzędników, dworzan, jakby szukała u nich pomocy, ale to oni wpatrywali się w nią w oczekiwaniu na decyzję. Nikt ze zgromadzonych w sali

⁵⁶ Waldemar IV Atterdag (1320–1375) – król Danii w latach 1340–1375 zwany Odnowicielem lub Dojutrkciem (jego ulubione powiedzenie brzmiało: „jutro będzie nowy dzień”). Na początku panowania władał północną Jutlandią, ale stopniowo zjednoczył całą Danię, zajął też Gotlandię. Wszedł jednak w konflikt z Hanzą, który zakończył się jego porażką i podpisaniem niekorzystnego dla Danii traktatu.

audiencyjnej nie wątpił w jej siłę. Nie na darmo mówiono o niej, że jest twarda niczym stal i zimna jak lód. O prawdziwości tego drugiego stwierdzenia miał się ponoć przekonać nieżyjący już mąż władczyni Haakon⁵⁷, który niezbyt chętnie dzielił z nią łożę. Nic zatem dziwnego, że mieli tylko jedno dziecko, zmarłego przed dwoma laty syna. Jedynym, co mąż na trwałe jej pozostawił, była Norwegia.

Małgorzata nie była piękna. Usta i nos wąskie, krzaczaste brwi oraz ostre rysy nadawały jej twarzy wyraz męskiej surowości. Ale wyniosłe spojrzenie bladoniebieskich oczu sprawiało, że wyglądała na prawdziwą monarchinię. Miała na sobie aksamitny czerwony płaszcz spięty na piersiach zaponami⁵⁸. Wzdłuż jego brzegów biegła haftowana perłami i klejnotami borta⁵⁹, a na dole znajdowała się gruba warstwa gęstych frędzli, chroniąca płaszcz przed zniszczeniem. Wyhaftowano na nim błękitne lwy w koronie – rodowy herb królowej. Pod płaszczem nosiła kloszowaną suknię z białego adamaszku bez żadnych ozdób.

Monarchini dokonała już wiele w swoim życiu, choć to były dopiero początki jej samodzielnego panowania. Gdy przed czternastoma laty zmarł jej ojciec, król Waldemar, właśnie ona okazała się jego jedynym żyjącym dzieckiem. Ale że w Danii kobieta nie mogła zasiadać na tronie, władcą obwołano jej syna – Olafa⁶⁰, a ona została regentką. Jednak dwa lata temu król zmarł w wieku zaledwie siedemnastu lat, więc sama ogłosiła się panią dwóch królestw.

– Co oni sobie myślą?! – warknęła, patrząc na zgnieciony i leżący

57 Haakon VI Magnusson – król Norwegii 1343–1380, król Szwecji 1362–1364. Pochodził z dynastii Folkungów.

58 Zapony – ozdobna klamra służąca do zapięcia ubioru.

59 Borta – lamówka służąca do obszywania skrajów tkaniny.

60 Olaf Haakonsson (1370–1387) – król Danii i Norwegii.

na posadzce pergamin.

Nikt nie miał odwagi spojrzeć na rozgniewaną monarchinię. Wszyscy odwracali wzrok jakby w obawie, że jej wściekłość zostanie wyładowana na nich. Tylko stary, zgarbiony mężczyzna, podpierający się ozdobną laską i odziany w czerni, przyglądał się królowej z wielką troską. Gdyby mógł, objąłby ją i mocno przytulił do serca, ale znajdowali się w sali audiencyjnej, a nie w prywatnych komnatach. Henning Podebusk był najbardziej wpływowym możnowładcą w Danii i traktował Małgorzatę jak córkę. To on pomógł jej zdobyć regencję i od tamtej pory pozostawał przy niej jako seneszał⁶¹, doradca, a przede wszystkim najbliższy przyjaciel. Wiedział, że władczyni nie jest tak silna, za jaką chce uchodzić. Nieraz był powiernikiem jej smutków i rozterek.

Niedawno stanęła po stronie szlachty szwedzkiej w konflikcie z jej królem Albrechtem Meklemburskim, który obsadzał swoimi pobratymcami z Rzeszy najwyższe urzędy i dawał im w zarząd ziemie i zamki. Gdy jednak spróbował podważyć testament najbogatszego w Szwecji możnowładcy, który przeznaczył swój olbrzymi majątek na wykup z rąk wierzycieli z Rzeszy wszystkich zastawionych przez króla dóbr, szlachta szwedzka zwróciła się do Małgorzaty o pomoc. Ta nie wahała się ani chwili i wysłała buntownikom swoje wojska. W bitwie pod Falköping Duńczycy pokonali zaciężną armię Albrechta, a jego samego wzięli do niewoli. Prowincja za prowincją, miasto za miastem opowiadały się za Małgorzatą i nie trwało długo, a cała Szwecja znalazła się pod jej panowaniem – tak przynajmniej monarchini sądziła do dziś. Rządząc zaś trzema królestwami, mogła wreszcie doprowadzić do tego, o czym zawsze marzyła. Jej celem, po zjednoczeniu

61 Seneszał – urzędnik zastępujący króla (w sprawach cywilnych, sądowniczych i wojskowych) podczas jego nieobecności. Na co dzień pełnił rolę przełożonego dworu i urzędników.

Skandynawii, było uczynienie z niej potęgi mogącej w polityce nadbałtyckiej przeciwstawić się wpływom Hanzy, zakonu krzyżackiego, a także Polski. Wydawało się, że już nic nie stoi na przeszkodzie, żeby połączyć skandynawskie królestwa unią, ale właśnie teraz okazało się, że nie wszystko przebiega zgodnie z planem.

– Co się stało, wasza wysokość? – Podebusk odważył się zapytać.

Długo milczała, potem odprawiła cały dwór, każąc zostać tylko seneszałowi. Westchnęła ciężko i rzekła:

– Właśnie się dowiedziałam, że nie wszystkie szwedzkie miasta złożyły nam należny hołd! Sztokholm nie zamierza się poddać. Rada miejska pisze nam w liście, że będą walczyć do ostatniej kropli krwi.

– Zatem miasto gotuje się do obrony – spokojnie odparł starzec, gładząc długą, białą brodę. – Trudno się dziwić. Większość mieszczan Sztokholmu to Niemcy wierni Albrechtowi. Nie są radzi naszym rządóm.

– Zmiażdżymy ich jak robactwo – odparła Małgorzata i dla podkreślenia własnych słów uderzyła dłonią w poręcz siedziska. – Rychło zdobędziemy miasto.

Henning pokręcił głową.

– Nie będzie to takie proste.

– Czemu?

– Patrycjat sztokholmski zwróci się o pomoc do Hanzy, a wówczas będziemy mieli do czynienia z całą potęgą morską miast kupieckich Rzeszy.

– Nie odważą się!

– Może tak, a może nie. – Wzruszył ramionami. – Racście zwrócić uwagę, wasza wysokość, że Hanza nie będzie czekać z założonymi rękoma, gdy zagrożona jest jej dominacja na morskich szlakach. Połączone królestwa skandynawskie, pod waszymi, moja królowo, rządami, to dla nich powód do niepokoju. Zdają sobie sprawę, że

narodziła się nowa potęga. Dla panów hanzeatyckich zachowanie wpływów w Sztokholmie to ostatnia szansa na utrzymanie hegemonii w północnej części wód Morza Wschodniego. Uwierzcie mi, wasza wysokość, oni na pewno będą o to walczyć.

– Hanza to nie żołnierze, jeno kupcy – prychnęła. – Zależy im przede wszystkim na handlu. Wątpię, żeby do celów wojennych oddali swoje kogi i holki, które, wypełnione ładunkami, cały czas krążą po morzu. Straciliby zarobek, a to dla każdego hanzeaty świętość!

Zaśmiała się, lecz Podebusk pozostał ponury.

– Nie lekceważcie ich, wasza wysokość – rzekł. – Zapomnieliście już, jak wasz ojciec z nimi wojował?

Małgorzata raptownie spoważniała.

„Wojna śledziowa” – pomyślała.

Liczyła wówczas nie więcej niż kilkanaście wiosen i w głowie jej były romanse rycerskie oraz opowieści wędrownych pieśniarzy odwiedzających duński dwór, a nie wielka polityka. Waldemar Atterdag, wsławiony zwycięstwami na Jutlandii i w Szwecji, postanowił zdobyć łowiska śledzia, które leżały u brzegów Skanii, Falstirii i Gotlandii. Ale one należały do Hanzy. Pierwszym celem króla było hanzeatyckie Visby na Gotlandii, uważane za klucz do panowania na Bałtyku.

Zdobycie miasta wcale nie było łatwe. Rozpoczęło się długotrwałe oblężenie. Straty duńskie z dnia na dzień rosły, a śmierć w walkach poniosło wielu znamienitych rycerzy. Podczas szturmów Duńczycy wdzierali się na mury, ale zaraz byli odpierani przez dzielnych obrońców. Wreszcie najeźdźcom udało się wejść do miasta, ale obficie płynąca ulicami Visby krew prawie dwóch tysięcy wyrżniętych obrońców nie ucieszyła serc zdobywców, którzy stracili zbyt wielu towarzyszy. Wkrótce cała wyspa została zdobyta i wydawało się, że nie ma siły mogącej przeciwstawić się

Waldemarowi.

Lecz wtedy Hanza ruszyła na wojnę. Kupieckie statki wyposażono w wysokie krenelaże i obsadzono zbrojnymi. Ściągnięto zastępy najemników, posiłki przysłali też Szwedzi i Norwegowie, którym nie w smak było, że Waldemar urósł w siłę. Do sojuszu przyłączyły się również Holsztyn i Meklemburgia. Pomimo zgromadzenia wielkich sił koalicja nie mogła sobie poradzić z Duńczykami, którzy odnosili kolejne zwycięstwa.

Małgorzata pamiętała ojca z tamtego okresu. Jasnowłosy brodac, trochę szorstki i nieokrzesany, ale zawsze serdeczny dla córek. Był taki dumny i pewny siebie. Niczym lew przewodził wojskom. Często szedł do boju ramię w ramię ze swoimi rycerzami. Cechowała go niezwykła pogoda ducha, a zwykł mawiać, że jutro będzie nowy dzień. Do czasu, aż szczęście się od niego odwróciło i został pobity. To była dla niego największa życiowa klęska.

Został zmuszony do podpisania haniebnego dla Danii traktatu pokojowego, w myśl którego musiał uznać przywileje Hanzы i oddać w jej ręce kilka miejsc handlowych oraz ważne strategicznie wybrzeża Skanii. Teraz duńscy rybacy mogli łowić śledzie na tych wodach tylko raz w tygodniu – w pozostałe sześć dni robili to hanzeaci.

Wówczas ojciec zupełnie zgasł. Błąkał się po rezydencji królewskiej ponury i osowiały. Z pewnego siebie mężczyzny stał się cieniem człowieka. W końcu pozostała po nim tylko legenda wielkiego wojownika. Z jego twarzy uśmiech zniknął na zawsze. Małgorzata rzadko go wtedy widywała, bowiem była już żoną Haakona norweskiego i mieszkała w jego kraju, ale kiedy odwiedzała ojca, zawsze dostrzegwała przytłaczający smutek na jego twarzy. Załamany klęskami i poniżeniem, niedługo potem umarł.

W oczach królowej zapłonął ogień.

– Sztokholm musi być nasz – postanowiła. – Zbierz flotę.

– To może trochę potrwać – rzekł doradca, marszcząc brwi. Nie podobała mu się taka pochopność. – I czeka nas długie oblężenie.

– Nie szkodzi – odparła. – Kiedy tylko okręty będą gotowe, niechaj ruszają.

Westchnął ciężko.

– To wasza ostateczna decyzja?

Małgorzata obdarzyła seneszała twardym spojrzeniem.

– Nie podoba ci się to, co postanowiliśmy?

– Nie, wasza miłość – odparł szczerze. Był za stary, żeby nie mówić, co myśli. – Uważam, że należy działać z większą rozwagą i poczekać.

– Czekać? Na co?

– Albrecht Meklemburski znajduje się w naszych rękach i właśnie tą kartą powinniśmy umiejętnie zagrać. Pochodzący z Rzeszy mieszczańscy sztokholmcy prędzej czy później zapomną o swoim królu i nie będą chcieli za niego umierać.

– Nic nie rozumiesz – rzekła władczyni, podnosząc się z tronu. Podeszła do okna i spojrzała na katedrę, w której spoczywał jej syn. – Dopóki nie mamy w rękach Sztokholmu, dopóty nie mamy Szwecji, a mrzonką pozostaje zjednoczenie trzech królestw i utworzenie unii. Panowie hanzeatyccy rychło zaczną knuć i znajdą sposób, żeby ponownie skłócić nas ze Szwedami i Norwegami. Nie możemy czekać. Musimy działać!

Seneszał ukłonił się, dając tym do zrozumienia, że temat jest zamknięty, nie wychodził jednak z sali. Królowa odwróciła się od okna i spojrzała na niego pytająco.

– Jeszcze jedna sprawa, wasza królewska mość.

– Mów.

– Chodzi o ojca Eryka...

Uniosła w zdziwieniu brew.

– Warcisława?

– Tak – potwierdził. – Nie jest tajemnicą, że książe słupski od lat

trudni się pirackim procederem.

– To prawda. – Skrzywiła się. – Co z nim?

– Dwie niedziele temu został pochwycony przez Bertrama Wulflema, dowódcę hanzeatyckiej floty wyekspediowanej do zwalczania piractwa.

Królowa zakłęła wcale nie po królewsku.

Po śmierci syna nie miała zbyt wiele czasu na żałobę, co więcej, szybko musiała znaleźć następcę tronu. Jej wybór padł na Eryka – wnuka jej siostry, a syna księcia słupskiego. Adoptowała go i w tym roku koronowała na króla Norwegii. A teraz jego niespełna rozumu ojciec dał się złapać jakiemuś patrycjuszowi! I to w przededniu rozprawy z Hanżą...

– To sprawdzone wieści? – zapytała z nadzieją, że to tylko plotki rozsiewane przez wrogów. Wiedziała, że rozpuszczanie pogłosek było tak samo silną bronią jak oręż.

– Niestety – smutno odparł seneszał. – Wiem to od naszych zaufanych ludzi.

– Jakiego okupu żąda? – mówiąc to, westchnęła ciężko. Zdawała sobie sprawę, że skarbiec świeci pustkami, a trzeba będzie jeszcze zmobilizować wojsko i flotę na wyprawę na Sztokholm.

– On nie chce okupu.

– Co?!

– Z tego, co mi doniesiono, Wulflem prowadzi rozmowy z zakonem krzyżackim. Wielki mistrz bardzo chętnie widziałby Warcisława w Malborku, bynajmniej nie jako gościa.

Zdenerwowana królowa zaczęła krążyć po komnacie.

– Nie możemy do tego dopuścić! – mówiła. – Ojciec króla Norwegii i przyszłego władcy całej Skandynawii nie może zgnić w krzyżackim lochu. To podważy pozycję Eryka.

Henning milczał, mrużąc oczy i spoglądając gdzieś w przestrzeń. W zamyśleniu gładził brodę. Małgorzata zastygła w oczekiwaniu.

Wiedziała, że gdy doradca ma taką minę, nie należy mu przeszkadzać – nieraz się o tym przekonała. Podebusk nie był już może skorym do wojaczki rycerzem, ale nadal miał bystry umysł. Była pewna, że w jego głowie właśnie rodzi się plan.

– Mam pewien pomysł na uwolnienie księcia – rzekł wreszcie. – I jeśli się powiedzie, z duńskiego skarbcza nie zniknie ani jedna grzywna. A co ważniejsze, nikt nie powiąże tego z waszą wysokością.

Oczy królowej rozbłyły.

– Mów!

Morze Bałtyckie przy wybrzeżu Meklemburgii

Październik 1389 roku

Klaus Störtebeker był wielce uradowany. A nawet szczęśliwy, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Przez całe życie niezbyt mu się wiodło, dzisiaj jednak dzierzył rumpel najwspanialszego okrętu, jaki kiedykolwiek widział. W ostatnim czasie osiągnął wiele i dlatego wolał nie nazywać tego szczęściem, aby nie zapeszać.

Meklemburski holk „Morski Tygrys” był większy od najpotężniejszej kogi, a jednocześnie smuklejszy dzięki wbudowanym w kadłub kasztelom. Co najważniejsze jednak, miał dwa maszty. To wszystko powodowało, że był szybszy i zwrotniejszy od każdej innej jednostki w hanzeatyckiej flocie.

Za zasługi w walkach z piratami Klaus otrzymał obiecaną kolczugę – która spoczywała teraz, wraz z resztą jego dobytku, w ładowni – oraz przeniesienie na wybrany statek w roli sternika. A jako że Störtebeker znał się świetnie zarówno na kobietach, jak i

żaglowcach, nie wahał się ani przez chwilę. Wybrał „Morskiego Tygrysa” – jednostkę zdobytą w ostatniej bitwie. Po pokonaniu trudniących się rozbójniczym procederem książąt pomorskich przysłała kolej na Meklemburczyków. Flota Bertrama Wulflema zawróciła na zachód i nękała teraz piratów w służbie księcia Albrechta.

Klaus odbił lekko sterem i pozwolił, żeby wiatr chwycił większą powierzchnię żagli. W tym samym momencie Gödeke Michels wydał marynarzom rozkaz połuznienia szotów⁶². Michels był żaglomistrzem, a od pewnego czasu najlepszym kompanem Störtebekera. Wolne chwile spędzali razem, grając w kości, pijąc na umór i przechwalając się kobietami, które mieli, bitwami, w jakich uczestniczyli, oraz rejsami odbytymi w najdalsze zakątki świata. Wydawać by się mogło, że takie rozmowy szybko powinny im się znudzić, ale działało się wręcz przeciwnie – każda kolejna opowieść rozpałała ich głowy, przez co snuli wspólne plany na przyszłość. Postanowili bowiem trzymać się razem nawet po zejściu na ląd, gdy zakończy się wojna z piratami.

A nie zanosilo się na jej szybki finał. Niewielkie floty pirackie Meklemburczyków nadal grasowały po Bałtyku i trzeba było czasu, żeby je wszystkie pokonać. To Klausowi zupełnie nie przeszkadzało, co więcej, był z tego zadowolony, gdyż dłuższa kampania gwarantowała większe łupy. Już teraz uzbierał niezłą sumkę z samego żołdu, a przecież w porcie mógł jeszcze spieniężyć zdobyczne przedmioty, których trochę się nagromadziło. Wystarczy na wino i dziewczki przez co najmniej pół roku.

Uśmiechnął się szeroko i wystawił na wiatr spaloną słońcem twarz. Przymknął powieki, wciągając w płuca rześkie, morskie powietrze i

62 Szoty – liny służące do ustawiania rogu szotowego żagla w pozycji najkorzystniejszej względem kierunku wiatru. Lina biegnie od żagla w dół pokładu aż do rufy.

ciesząc się piękną pogodą. W tej chwili przepełniało go uczucie porównywalne z rozkoszą, jakiej zaznał kiedyś z żoną piekarza z Bremy. Przewyższała w sztuce miłości wszystkie ladacznice, które Klaus poznał w całym życiu. A poznał ich niemało. Potem okazało się, że piekarzową radowała się połowa mężczyzn w mieście.

– Co gębę wykrzywasz? – zapytał Gödeke, który właśnie stanął obok. – Jeszcze który z marynarzy pomyśli, że się do niego szczerzysz, i zechce zostać twoją dziewczką na dzisiejszą noc.

Rudowłosy otworzył oczy i przyjrzał się kompanowi. Żaglomistrz był nieco starszy od niego, liczył około trzydziestu wiosen – Michels sam jednak nie wiedział, ile dokładnie ma lat, bo rodziców prawie nie pamiętał, a i potem nie miał kogo o to zapytać. Wychował się na ulicy w Hamburgu – wśród złodziei, drobnych rzezimieszków i dziewczek wszetecznych. Poznał cały brud tego świata i ciemną stronę życia w hanzeatyckim mieście.

Włosy miał jasne, już nieco przeredzone, usta wąskie, a oczy bystre. I chociaż dużo opowiadał o swojej przeszłości, nigdy nie wspominał, czy ma rodzinę, żonę, dzieci, czy ma do czego wracać. Ale Klausea to nie obchodziło. Dla takich jak oni to okręt był domem, a załoga rodziną.

– Nasza flota ostatnimi czasy się powiększyła – rzekł Störtebeker, wskazując płynące przed nimi jednostki. – Gdy wypływaliśmy z Anklam, było zaledwie siedemnaście statków, teraz trudno je zliczyć.

Żaglomistrz ogarnął spojrzeniem hanzeatyckie kogi, zdobyte na Meklemburczykach holki, zabrane pomorskim piratom niewielkie szniki oraz wydarte pewnemu holsztyńskiemu hrabiemu dwa krajery⁶³.

63 Krajery – jednostka podobna do szniki (i z niej się wywodząca) pod względem konstrukcyjnym, ale mająca nieco bardziej pękaty kadłub. Krajery upowszechniły się w XV wieku.

– Będą ze trzy tuziny – ocenił.

– Przynajmniej. A to nie koniec. Można się spodziewać, że rychło zdobędziemy więcej.

Gödeke pokiwał głową.

Przez chwilę mężczyźni milczeli, spoglądając na okręty, na wydęte przez wiatr żagle i łopoczące kolorowe proporce. Najwięcej statków płynęło w barwach Strzałowa i Lubeki. To drugie miasto miało w herbie czarnego dwugłowego orła na złotym tle. Liczne były się też jednostki z chorągwiami czerwonymi, na których widniały klucze – te kogi pochodziły z Bremy.

– Co się stanie z tymi statkami, gdy już pokonamy wszystkich piratów? – zagadnął Klaus.

Żaglomistrz wzruszył ramionami.

– Te należące do kupców wrócą do swoich portów. Tam zdejmą z nich krenelaże, wyciągną na ląd maszyny miotające. A kogi znów będą wozić towary. Te zdobyczne zaś Wulflem rozdzieli pomiędzy sojuszników. Uwierz mi, nikt na tej wyprawie nie straci.

– Wyobrazasz sobie, co można uczynić, z taką flotą? – zagadnął rudzielec.

Gödeke spojrzał na niego podejrzliwie.

– O czym ty prawisz?

– Nie ma takiej siły na Bałtyku, która mogłaby ją pokonać.

– Sądziś, że burmistrz zatrzyma statki? – spytał zdumiony Michels.

– Ja bym tak uczynił.

– Co ci się w tym durnym łbie roi? – Gödeke roześmiał się i poklepał Klause po plecach. – Gdyby Wulflem to zrobił, rychło miałyby na głowie nie tylko panów hanzeatyckich, lecz także Duńczyków i Krzyżaków. Zaraz by wyrzucili floty, żeby go poskromić.

– Jakoś królowa Małgorzata ani wielki mistrz zakonu nie rwali się

do walki z piratami.

– A czemuż mieliby to robić? – prychnął żaglomistrz. – Zbójeckie bandy liczą góra trzy, cztery okręty i nie są dla nich żadnym zagrożeniem. Dlatego im folgują.

– To dlaczego Wulflem ich ściga?

– Bo widzisz, z Hanzą rzecz wygląda zupełnie inaczej – rzekł Michels. – Kupcy z Rzeszy opanowali główne szlaki morskie i pływają z towarami w te i nazad...

Störtebeker pokiwał głową. Pływał na statkach hanzeatyckich i wiedział, że docierają z Nowogrodu do Brugii, a z Gdańska aż po dalekie wybrzeża norweskie. Przewoziły głównie śledzie, beczkowaną sól i piwo.

– W Hanzie każdy patrycjusz jest panem samego siebie – mówił dalej Gödeke. – Nie kłaniają się królom ani książętom. Z jednej strony to dobrze, bo nie muszą słuchać niczyich rozkazów, nie muszą świadczyć suwerenowi powinności. Ale z drugiej są pozostawieni sami sobie. Patrycjusz z własnej sakwy kupuje statek, wyposaża go i rekrutuje załogę. Następnie wysyła w rejs.

Zamilkł na chwilę, uważnie wpatrując się w pracę żagla. Klaus nie przerywał, bo chciał się dowiedzieć, do czego przyjaciel dąży.

– Hanzeatyckie statki zazwyczaj pływają pojedynczo, wypełnione po brzegi ładowni dobrem, na które nawet święty by się skusił – i dlatego są łatwym łupem dla pirackich band. Natomiast Duńczycy, Krzyżacy, Norwegowie czy Szwedzi wychodzą w morze przede wszystkim po to, żeby toczyć wojny, a jeśli chcą handlować, to zazwyczaj pływają w konwojach. Ale uwierz mi, ładownie ich statków nawet w połowie nie są tak pełne jak ładownie kog Hanzę. Zatem lepiej polować na pojedynczego tłustego świniaka niżli na całą watahę wilków.

Rudowłosy spostrzegł, że wiatr nieco zmienił kierunek i się zaostrzył. Wtedy wypowiedział od dawna skrywane myśli:

– A gdybyśmy to my zdobyli taką flotę?

Żaglomistrz zmrugał oczy i przez chwilę uważnie przyglądał się młodszemu kompanowi.

– Klaus? – ściszył głos do szeptu. – Nie myślisz chyba o buncie?

Störtebeker nie odpowiedział. Spoglądał przed siebie, delikatnie poruszając rumpem raz w jedną, raz w drugą stronę. Wydawał się skupiony tylko i wyłącznie na tym, żeby holk nie zboczył z obranego kursu.

– Za samo gadanie o tym można zawisnąć na rei – syknął Gödeke i ze strachem spojrział w stronę dziobu, gdzie Simon van Utrecht rozmawiał z szyprem. Po zdobyciu „Morskiego Tygrysa” sławny kapitan wybrał go sobie na okręt dowodzenia. Trudno się było temu dziwić, gdyż meklemburski holk był jedną z najlepszych jednostek we flocie.

Holender, jakby coś przeczuwając, odwrócił się i wbił w nich bladozielone spojrzenie. Michels pośpiesznie opuścił głowę i poczerwieniał jak mnich przyłapany na podglądaniu panien podczas kąpieli. Störtebeker natomiast uśmiechnął się zuchwale.

– Powiadają, iż los każdego z nas zapisany jest w gwiazdach – rzekł. – Jednym przeznaczony jest żywć długi i szczęśliwie. Tacy umrą w łóżu, ze starości, gdy już ich mięśnie zwiotczą, a rozum nie będzie lotny. Innym zaś pisany żywot burzliwy i śmierć nagła, w sile wieku. Trudno zgadnąć, co nas jutro czeka. Może zginiemy rozsieczeni przez Meklemburczyków? Może potopimy się podczas sztormu? A może fortuna po raz kolejny się do nas uśmiechnie? Jednakże prędzej czy później i tak kostucha po nas przyjdzie. – Zmarszczył czoło. – Już raz łeb kładłem na katowski pień i tylko cud sprawił, że go nie straciłem. Czuję jednak, że mój los jest już przypieczętowany, jeno wyrok został odwleczony w czasie. Gdy tylko wypełnię moje przeznaczenie, śmierć się o mnie upomni.

– Prawisz niczym mędrzec – prychnął Michels. – A jesteś jeno

zwykłym ulicznym łotrem, który nigdy żadnych nauk nie pobierał.

W oczach Störtebekera pojawił się dziwny błysk.

– A skąd możesz to wiedzieć?

Gödeke uniósł lekko brew w oczekiwaniu, że przyjaciel zdradzi coś na temat swojej przeszłości. Jednakże Klaus zacisnął mocno usta, wbił spojrzenie w przestrzeń przed dziobem statku i Michels zrozumiał, że niczego się nie dowie. Westchnął ciężko.

– Rzeknij lepiej po żołniersku, w prostych słowach, co knujesz?

Rudowłosy się uśmiechnął. Zerknął w stronę van Utrechta, ale ten stracił już zainteresowanie nimi i teraz tłumaczył coś cieśli, wskazując na bukszpryt⁶⁴ wyrzeźbiony w kształt tygrysa. Żółto-pomarańczowe zwierzę z czarnymi pręgami gotowało się do skoku, szczerząc olbrzymie kły. Störtebeker uważał, że ta ozdoba doskonale oddaje ducha okrętu, ale Holender wołał tam widzieć anioła.

– Dwie niedziele temu ponownie dołączył do nas „Wiatr Północy” – rzekł Klaus.

Gödeke skinął głową. Pamiętał, że podczas starcia z piratami u wybrzeży Pomorza maszt tej kogi uległ poważnemu uszkodzeniu, którego bez pomocy żurawia nie dało się naprawić. Statek musiał wrócić do portu w Strzałowie.

– No i co z tego?

– Gadałem z kilkoma marynarzami

– Hmmm?

– Prawili ciekawe rzeczy.

– Co na ten przykład?

– Ponoć w miastach hanzeatyckich co i rusz wybuchają powstania biedoty. Wojsko nie nadąza z ich tłumieniem. Gdy w jednym miejscu zrobią porządek, rozruchy zaraz zaczynają się w innym.

⁶⁴ Bukszpryt (inaczej: dziobak) – drzewce wystające z dziobu żaglowca. Jego zadaniem jest zwiększenie powierzchni ożaglowania jednostki lub przesunięcie środka ożaglowania, co zwiększa jej stateczność kursową.

Michels wzruszył ramionami.

– Prosty lud zawsze narzekał na niesprawiedliwość i się buntował. Ale obaczysz, powarczą niczym dzikie psy, a potem podkulą ogon pod siebie i dalej będą wiernie służyć. Ustalonego porządku nie można zmienić. Od zawsze byli panowie obrastający w tłuszcz i głodujące pospólstwo.

– Racja – rzekł Störtebeker. – W miastach lud się wykrzyczy, utoczy trochę krwi, a potem wejdzie wojsko i stłumi powstanie. Inaczej sprawa ma się jednak na morzu...

– Na morzu?

– Marynarze z „Wiatru Północy” opowiadali, że wiele hanzeatyckich statków nie dociera do celu. Na pokładach dochodzi do buntów i ciury przejmują okręty. Żeglują potem po morzu, wiodąc rozbójniczy żywot.

Gödeke zarechotał.

– Zatem piractwem trudnią się już nie tylko możni panowie, lecz także zwykłe pospólstwo? Czyli jak rozprawimy się z Meklemburczykami, czeka nas nowe zadanie. Coś mi się widzi, że szybko do portu nie wrócimy.

Klaus się nie roześmiał. Spoglądał przed siebie, nie spuszczać oczu z bukszprytu wyznaczającego kurs okrętu.

– A gdybyśmy uczynili to samo?

– Zamilknij, głupcze – syknął żaglomistrz. – Takim gadaniem zgubisz nas obu!

Kilku marynarzy zerknęło w ich stronę, słysząc podniesiony głos Michelsa, ale stali zbyt daleko, żeby zrozumieć, czego dotyczy rozmowa.

Störtebeker spojrział na towarzysza, a jego błękitne oczy zapłonęły dziwnym blaskiem.

– Gdybyśmy przejęli „Morskiego Tygrysa”, nikt by nas nie dogonił. Nie ma we flocie szybszego okrętu.

– Prędej czy później Wulfem nas dopadnie i zmiąwszy jak robactwo.

– Mam plan!

– Mrzonki! – fuknął starszy z marynarzy. – To się nigdy nie uda.

Olbrzym wzruszył ramionami. Obaj zamilkli, skupieni na sterowaniu okrętem. Flota płynęła w ciasnym szyku i trzeba było uważać, żeby nie zbliżyć się za bardzo do innego statku. Gödeke zszedł z kasztelu, żeby wydać rozkaz wybrania szotów, ale po chwili wrócił.

– I radzę ci, zapomnij o tym – rzekł. – Planując bunt, zgubisz nie tylko siebie, lecz także tych, którzy pójdą za tobą.

Klaus spojrział na przyjaciela.

– Nie przyłączysz się do mnie?

– Nie – warknął Michels. – Za żadne skarby tego świata.

– Jesteś pewien? – Störtebeker uśmiechnął się tajemniczo. – Marynarze z „Wiatru Północy” zdradzili mi coś jeszcze.

Gödeke zmrużył oczy i uważnie spojrział na sternika.

– Mów!

– Pamiętasz tego księcia, którego pojмалиśmy?

– Warcisława. – Żaglomistrz skinął głową. – Wulfem chce go oddać Krzyżakom.

– Uhm.

– Co z nim?

– Wyznaczono pokaźną nagrodę za jego uwolnienie.

Michels parsknął śmiechem.

– Warcisław jest przetrzymywany na „Bursztynie”. Jak masz zamiar go uwolnić? Myślisz, że bez przeszkód wejdiesz na pokład najlepiej strzeżonego okrętu we flocie, zabierzesz księcia i spokojnie odpłyniesz?

– Nie inaczej – odparł rudowłosy, szeroko się uśmiechając. – Mam pewien plan.

Morze Bałtyckie, okolice Wismaru

Październik 1389 roku

Hanzeatycka flota stanęła w dryfie u wybrzeży Meklemburgii. Okręty zrzuciły żagle i, uwiązane na kotwicach, leniwie kołysały się na falach Bałtyku, jednak szyprowie nie pozwolili załogom na odpoczynek. Zagonili ludzi do mycia pokładów, napraw ciesielskich, cerowania żagli, mocowanie zerwanych przez wiatr want, wymiany olinowania. To był również czas na sprawdzenie stanu broni, dorobienie strzał i bełtów oraz przegląd machin miotających.

Pracujący w pocie czoła marynarze tęsknie zerkali w stronę horyzontu, na którym majaczyła wyspa Poel. W to słoneczne jesienne popołudnie widoczność była znakomita i kto miał dobry wzrok, mógł wypatrzeć wśród porastających wyspę drzew stojące gdzieś chaty. Od ponad trzech miesięcy zbrojni nie schodzili na ląd, więc oddaliby połowę żołdu za możliwość urznięcia się w karczmie, a drugą połowę za chętną dziewczkę, która umiliłaby im noc. Ci bardziej spragnieni widoku kobiety wdrapywali się na marsy z nadzieją, że jakąś ujrzą, aby chociaż oczy nacieszyć, ale nawet z góry nie sposób było dostrzec ludzkich sylwetek.

Za to doskonale widoczne były fortyfikacje ciągnące się wzdłuż całego wybrzeża. Wyspa miała spore znaczenie strategiczne, broniła wejścia do zatoki, nad którą leżał Wismar, nic dziwnego zatem, że uczyniono z niej silnie bronioną twierdzę. Wrogowie niejednokrotnie próbowali zdobyć Poel, ale – jak dotychczas – bez powodzenia. Silnie obsadzone bastiony, strażnice i szańce odstraszały napastników.

Simon van Utrecht stał na dziobie „Morskiego Tygrysa”, i z

podziwem spoglądał na umocnienia, zastanawiając się, jak je pokonać i zająć wyspę. Wówczas Zatoka Wismarska stanęłaby przed nimi otworem. Nie wątpił, że prędzej czy później znajdzie sposób. Uważał, że nie ma twierdzy nie do zdobycia – a potrzebny jest jedynie dobry fortel. Do tego trzeba mieć głowę na karku, a holenderski kapitan bez wątpienia ją miał. Był pewien, że wzięcie Poel zajęłoby mu nie dłużej niż tydzień. Pytanie brzmiało tylko, czy Wulflem się na to poważy.

Rajcy miejsy Wismaru nie dość, że odmówili udziału w wyprawie przeciw piratom, to jeszcze wspomagali meklemburskich rozbójników, udostępniając ich statkom port, zaopatrując w żywność i pozwalając na rekrutację załóg wśród mieszkańców miasta. Jednocześnie cały czas deklarowali lojalność wobec Hanzы, czym próbowali schwytać dwie sroki za ogon.

Simonowi nie podobało się takie postępowanie. Służył pod proporcami wielu królów i ksiąząt. Jeśli najmował się na wojnę lub podejmował wykonania zadania albo misji, pozostawał wierny tym, którym przysięgał. Oczywiście, do czasu wypełnienia zobowiązań. Potem zdarzało się, że walczył przeciwko dawnym sojusznikom lub stawał po stronie dawnych wrogów. Jednakże nigdy nie szanował tych, którzy działali na dwa fronty w oczekiwaniu skąd zawieje wiatr.

Kapitan wierzył, że będzie miał okazję się z nimi porachować. Wszystko zależało od decyzji Wulflema.

Flota hanzeatycka od tygodnia ściagała dziewięć statków meklemburskich piratów. Niestety, udało się im umknąć i znaleźć schronienie w Wismarze. Burmistrz Strzałowa rozkazał hanzeatyckim okrętom stanąć w dryfie i teraz zastanawiał się, co dalej. Atak na miasto mógł mieć poważne konsekwencje, bowiem należało ono do Hanzы, ale van Utrecht uważał, że nie należy na to baczyć i przykładnie ukarać zdrajców.

Zaraz miało się okazać, co Wulflem zdecydował, gdyż wezwał na okręt flagowy wszystkich dowódców eskadr.

„Morski Tygrys” podpłynął na wiosłach do „Bursztynu” i stanął z nim burta w burtę.

– Störtebeker! – zawołał Holender, a rudowłosy zaraz się pojawił. – Do mojego powrotu przejmujesz dowodzenie.

– Tak jest, kapitanie – rozpromienił się Klaus.

– Na twoim miejscu tak bym się nie cieszył – warknął van Utrecht.

– Gdy tylko wrócę, sprawdzę, czy wszystkie prace zostały należycie wykonane. A jeśli coś będzie nie tak, ty za to odpowiesz.

Na ustach olbrzyna pojawił się wściekły grymas, ale Holender już tego nie zauważył. Wdrapał się na reling i zwinnie przeskoczył na pokład „Bursztynu”.

Gdy wszedł do pomieszczenia znajdującego się pod kasztelem rufowym, pozostali czterej dowódcy eskadr już tam byli. Zgromadzeni wokół masywnego stołu pochylali się nad mapami, próbując coś z nich zrozumieć. Utrecht uśmiechnął się pod nosem, bowiem miny mieli nietęgę. Wcale się temu nie dziwił, bo szyprowie hanzeatyckich statków pływali zazwyczaj wzdłuż wybrzeży, bojąc się od nich oddalić. Niektórzy byli nawet święcie przekonani, że na pełnym morzu czekają na nich potwory z piekła rodem, olbrzymie wiry wodne i krawędź końca świata. Niewiele wiedzieli o posługiwaniu się mapami czy nawigacji według położenia gwiazd lub słońca. Pod tym względem Holender przewyższał ich o głowę. Dziękował w duchu Bogu za swoje żeglarskie doświadczenie.

– Dobrze, że już wszyscy jesteście – rzekł Bertram, który właśnie wszedł do pomieszczenia. Nosił się niczym szlachcic. Miał na sobie obcisły, krótki kaftan, spięty na biodrach pasem z metalowych ogniw, a na nogach sukienne nogawice. Czarna barwa stroju i wysoko podniesiona głowa dodawały mu dostojeństwa. Simon van

Utrecht pomyślał złośliwie, że Wulfem tak obrósł w piórka, iż niedługo każe sobie wyhaftować herb na jace i tytułować się księciem.

Z drugiej strony trudno było się dziwić, że burmistrza rozpierała duma. Flota, którą dowodził, w ciągu zaledwie trzech miesięcy zdołała rozprawić się z morskimi rozbójnikami z Pomorza, holsztyńskimi piratami, a teraz zwyciężała Meklemburczyków. Po powrocie do Strzałowa czekała go sława i wdzięczność kupców. Mógł liczyć na stałe miejsce w hanzeatyckiej radzie. Van Utrecht miał nadzieję, że burmistrz będzie pamiętał, że to dzięki niemu osiągnął te wszystkie zwycięstwa. O ile bowiem Wulfem podejmował decyzje polityczne, to właśnie Holender ustalał taktykę każdej z bitew i dowodził flotą.

– Kiedy ruszamy na Wismar? – zapytał Holender, któremu spieszo było do rozprawy z Meklemburczykami.

Patrycjusz skrzywił się i Simon zrozumiał, że coś jest nie tak.

– Sytuacja uległa zmianie – rzekł burmistrz, a w jego oczach można było dostrzec wściekłość. – Pewnie niektórzy z was zauważyli, że dzisiaj nad ranem dołączył do nas statek. Jego załoga przywiozła niezwykle wieści.

Holender przypomniał sobie niewielki krajer z brunatnoczerwonym żaglem, który przybył z zachodu wraz z poranną bryzą, kiedy słońce wylaniało się dopiero znad widnokregu i wisiało na niebie jak szkarłatna kula ognia. Van Utrecht widział go, bo wyszedł akurat na pokład za potrzebą, ale nie zdziwił się za bardzo, bowiem od czasu do czasu podpływały do nich hanzeatyckie okręty, żeby pohandlować lub wymienić się najnowszymi wieściami.

– Zapewne kolejni kupcy z niesprawdzonymi pogłoskami. – Skrzywił się, czym pogłębił szpetną bliznę na twarzy. – Wielu już takich było. Nie można dawać wiary w to, co mówią.

– Tym razem jest inaczej – powiedział Bertram. – To był kurier z

Lubeki. Odnalazł nas na polecenie rady hanzeatyckiej.

Simon uniósł lekko brew w oczekiwaniu na wyjaśnienia.

– W ostatnich miesiącach szlachta szwedzka, niezadowolona z nieudolnych rządów Albrechta, zawezwała na pomoc Duńczyków. Królowa Małgorzata, oczywiście, skorzystała z okazji. Ta zimna suka pragnie władzy we wszystkich trzech królestwach skandynawskich i chce obsadzić na tronie młodego Eryka, syna księcia Warcisława.

– Tego, którego trzymamy jako jeńca? – zdumiał się jeden z dowódców.

– Tak – przytaknął Wulfem, lekko się uśmiechając. Wzięcie do niewoli Warcisława dało mu osobistą satysfakcję, kto wie, czy nie większą niż pokonanie wszystkich pirackich flot. – Zdaje się, że ominie go koronacja syna.

Zebrani mężczyźni zarechotali. Pierwszy spowaźniał burmistrz Strzałowa.

– Wojska duńskie zajęły prawie całą Szwecję – rzekł. – Aż wreszcie zadały druzgocącą klęskę stronnikom Albrechta, a sam książę dostał się do niewoli i teraz jest więźniem Małgorzaty.

– To znakomita wiadomość. – Klasnął w dłonie dowódca eskadry prawego skrzydła floty. – Tym łatwiej teraz pokonamy Meklemburczyków.

– Niestety, wszystko się skomplikowało – ciężko westchnął Wulfem. – Wierny Albrechtowi pozostał Sztokholm i tam mieszczenie stawili Duńczykom opór. Wojska Małgorzaty oblegają miasto, a jej flota postawiła blokadę, żeby nie dotarły do niego żadne statki z zaopatrzeniem.

– A co to ma z nami wspólnego? – spytał Holender.

– Sztokholm zwrócił się z prośbą o pomoc do Hanzy, a rada na nią przystała. To czyni nas sojusznikami Meklemburczyków.

Oburzeni dowódcy zaczęli mówić jeden przez drugiego. Zadawali pytania, wysuwali pretensje i klęli nie gorzej niż ich podwładni.

Trudno było im się dziwić. Ścigali meklemburskie statki przez tydzień, żeby teraz, gdy już mieli piratów w garści, po prostu ich wypuścić.

Bertram uniósł ręce w uspokajającym geście i, gdy mężczyźni już zamilkli, kontynuował:

– Pytacie mnie: dlaczego? Mogę wam odpowiedzieć, ale sami powinniście się tego domyślić. Panowie z rady uznali, że gdy Duńczycy zawładną Szwecją, urosną w siłę i tylko patrzeć, jak zaczną stanowić zagrożenie dla morskiej potęgi Hanzy. I chociaż Meklemburczycy są krnąbrni, a książę Albrecht to głupiec, przecież są mieszkańcami Rzeszy, jak i my.

Mężczyźni pokiwali głowami. I chociaż tak bardzo pragnęli dać nauczkę Meklemburczykom, dobrze rozumieli, że obecnie Dania stanowi większe zagrożenie.

– Co teraz będzie?

Wulfem z żalem spojrział na leżące na stole mapy z zaznaczoną wyspą Poel, Zatoką Wismarską i wejściem do portu. Wiedział, że van Utrecht znalazłby sposób na pokonanie umocnień na wyspie, a potem zdobycie miasta.

– Wszystkie jednostki mają rozkaz powrócić do swoich macierzystych portów – odparł. – A następnie przygotować się do wojny.

Podniósł wzrok na Holendra.

– Mam nadzieję, że będę mógł na ciebie liczyć, kapitanie?

Simon van Utrecht zmarszczył czoło. Duńczycy dysponowali silną flotą wojenną, regularną armią, doświadczonymi żołnierzami. Nie będzie łatwo ich pokonać. Z drugiej strony Hanza miała złoto, za które mogła kupić statki i je wyekwipować. Stać ją było również na płacenie żołdu doświadczonym najemnikom. Jednak co innego rozprawa z niezorganizowanymi morskimi rozbójnikami, którzy potrafili tylko łupić bezbronnych kupców, a co innego wojna z

jednym z najsilniejszych państw Europy. I dlatego Holender wahał się, czy pozostać na służbie u Wulflema.

Umowa, którą zawarł z burmistrzem Strzałowa, dotyczyła tylko wyprawy przeciw piratom. Teraz, gdy dobiegła końca, mógł odebrać zapłatę, zabrać łupy i odejść. To, co zarobił, powinno mu starczyć na przynajmniej rok godziwego życia, a potem mógł wstąpić na służbę u kogoś innego. Tak dobrzy dowódcy jak on zawsze byli poszukiwani.

Już miał dać odpowiedź, gdy z pokładu dobiegły krzyki, tupot nóg i szczęk oręża.



Störtebeker uśmiechnął się, gdy zobaczył jak van Utrecht znika w pomieszczeniu rufowym „Bursztynu”. Właśnie na to czekał od kilku dni. Teraz wreszcie mógł zrealizować plan, który narodził się w jego głowie jakiś czas temu. Odczekał jeszcze chwilę, chcąc się upewnić, że Holender nie zawróci, a potem doskoczył do Michelsa, który był zajęty ściąganiem żagli.

– Teraz albo nigdy!

Zaskoczony żaglomistrz spojrział na Klause, nie bardzo wiedząc, o co kompanowi chodzi. Rudowłosy westchnął i wzniósł oczy ku niebu.

– Mój plan – powiedział. – Zapomniałeś już?

– Oszalałeś?! – warknął Gödeke. – Znajdujemy się pośrodku hanzeatyckiej floty, otoczeni przez uzbrojone po zęby statki. Wnet nas dopadną.

– Uda się – rzekł Störtebeker. – Wszystko jest już przygotowane, a załoga gotowa.

Żaglomistrz rozejrzał się i dopiero teraz zauważył, że marynarze „Morskiego Tygrysa” są dziwnie pobudzeni. Zazwyczaj tak opieszali i leniwi, że trzeba było krzykami zaganiać ich do roboty, teraz

wydawali się ochoczo wykonywać swoje obowiązki. W ich oczach tlił się ten blask, niezwykły ogień, który Michels niejednokrotnie widział tuż przed bitwą lub burdą w portowej tawernie. Prawdziwy wojownik nosi w sobie żądzę krwi, która – gdy tylko zapłonie – czyni go zwierzęciem. Wówczas w zapomnienie odchodzą zakazy religijne i prawne, strach przed potępieniem i śmiercią, liczy się tylko pragnienie mordy. A wtedy żadna siła nie jest w stanie powstrzymać człowieka wojny przed dokonaniem wielkich – i szalonych – czynów.

Gödeke spostrzegł, że marynarze skrywają za pazuchami noże, kordy i tasaki. Byli przygotowani do walki. Niektórzy zerkali na okręt flagowy, oceniając liczebność znajdujących się na nim zbrojnych oraz ich rynsztunek. Porównanie nie wypadło źle, bowiem „Bursztyn” był prawie tej samej wielkości co „Morski Tygrys” i miał na pokładzie niemalże tyle samo ludzi. Michels zrozumiał, że nie ma odwrotu i za chwilę rozpęta się piekło.

– To będzie masakra – wyszeptał poblądły.

– Nie – stanowczo rzekł Störtebeker. – Albowiem zrobisz wszystko, żeby tak się nie stało.

Gödeke podejrzliwie zmrużył oczy.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Jak szybko możesz postawić żagle?

– A zostawisz mi moich pomocników?

– Każdy zbrojny w tej walce będzie na wagę złota – odparł Klaus i na chwilę się zadumał. – Ale zgoda.

– To w niecałe trzy zdrowaśki.

– Wspaniale – ucieszył się rudzielec. – Bądźcie gotowi. Gdy ostatni z marynarzy wróci na pokład „Morskiego Tygrysa”, natychmiast odpływamy.

– Tylko dokąd? – spytał Gödeke. Zdał sobie sprawę, że od tej chwili jego życie zupełnie się zmieni i już nie będzie odwrotu.

– Najpierw z wiatrem – odparł Klaus. – A potem... Gdzie oczy poniosą.

Störtebeker odwrócił się i ruszył w stronę załogi, która czekała na odpowiednie dyspozycje. Żaglomistrz westchnął ciężko i przywołał swoich pomocników. Jednym z nich był jasnowłosy młodzieniec o wielkich, błękitnych oczach, który służył na morzu dopiero od trzech miesięcy, ale był na tyle bystry, że szybko nauczył się rozróżniać topenanty⁶⁵ od brasów, a szoty od bulinów⁶⁶. Ponadto, wspinał się na reje jak małpa, a gdy żagiel zaczepiał się o liny, potrafił go natychmiast odplątać. Taki człowiek na pokładzie to skarb.

Pozostałych dwóch pomocników było wytrawnymi morskimi wilkami, którzy pływali na statkach Hanzy już dobrych kilka lat i znali rzemiosło żeglarskie jak własne kieszenie. Nie okazali zdziwienia, gdy Michels powiedział im, jaki jest plan, czyli wcześniej musieli o nim wiedzieć. Gödeke z przykrością stwierdził, że chyba był jedyną osobą na okręcie, która nie znała zamiarów Störtebekera, choć przecież był jego najwierniejszym kompanem. Może Klaus był pewny, że nie będzie go musiał długo przekonywać?

Chwilę po tym, jak żaglomistrz wydał dyspozycje swoim pomocnikom i zajął miejsce przy maszcie, ściskając w spoconych dłoniach szoty i szepcząc modlitwy, wszystko się rozpoczęło.

Störtebeker, odziany w koczugę, którą otrzymał za zasługi w walce z piracką flotą księcia Warcysława, wzniósł miecz. Klinga bastarda załśniła w słońcu. Na ten znak marynarze z „Morskiego Tygrysa” rzucili wszystko, wyciągnęli broń i ruszyli do natarcia. Rudowłosy jako pierwszy wskoczył na pokład „Bursztynu” i ciął mieczem wachtowego. Mężczyzna nawet nie zdążył krzyknąć, padł

65 Topenant – lina podtrzymująca wolny koniec poziomych drzewc rei.

66 Bulina – lina pomocnicza, służąca do dodatkowego napinania żagli w sytuacjach, gdy podstawowe liny napinające żagle pracują pod wyraźnie innym kątem, niż powinny.

z rozplatanym gardłem.

Zaskoczenie stanowiło największą siłę buntowników.

Zanim zbrojni na „Bursztynie” zorientowali się, co się dzieje, minęła dobra chwila. Nie mieściło im się w głowach, że ze stojącego burtę w burtę sojusznicznego okrętu może nadejść atak. Nie rozumieli, dlaczego ludzie, którzy byli ich ziomkami, pochodzili z tych samych miast i jeszcze niedawno walczyli z nimi ramię w ramię, teraz spadli na nich jak horda barbarzyńców. Nie minęły dwie zdrowaśki, gdy połowa załogi okrętu flagowego leżała martwa na pokładzie. Ci, którzy przeżyli pierwszy szturm, zbici w niewielkie grupki bronili się nieporadnie, przyciśnięci do relingów i kaszteli.

Wachtowi ze statków stojących najbliżej „Bursztynu” spostrzegli zamieszanie i zaraz pobiegli po szyprów. Klaus wiedział, że czas mu się kończy.

– Do ładowni! – krzyczał do swoich ludzi. – Zabierzcie księcia Warcisława na „Morskiego Tygrysa”!

Kilku mężczyzn pobiegło na śródokręcie, gdzie znajdowały się luki towarowe, i wdarło się do ładowni, Störtebeker zaś ruszył w stronę burtowej nadbudówki. W samą porę, bo już drzwi się otwierały, a w otworze pojawiło się poorane bliznami oblicze van Utrechta. Kapitan szeroko otworzył oczy, zaskoczony tym, co dzieje się na pokładzie. Ujrzawszy rudowłosego, sięgnął do pasa po miecz. Klaus nie czekał. Błyskawicznie doskoczył do drzwi i zatrzasnął je kopniakiem tuż przed nosem Holendra, a następnie przywarł do nich, przytrzymując barkiem. Po drugiej stronie van Utrecht uderzał w drzwi, próbując je otworzyć.

– Dajcie tu coś! – zawołał rudowłosy. Marynarze natychmiast przytaszczyli stojącą na pokładzie skrzynię okrętowego cieśli i zabarykadowali wejście. Dopiero teraz Klaus mógł otrzeć pot z czoła i spokojnie się rozejrzeć.

„Bursztyn” został prawie całkowicie opanowany. Co prawda, na

kasztelu dziobowym trwały jeszcze walki, a na marsie siedział łucznik, ale to nie miało znaczenia, bowiem Warcisław był już prowadzony na „Morskiego Tygrysa”.

Książę słupski wyglądał mizernie. Niewola mu nie służyła. W niczym nie przypominał dumnego, pewnego siebie możnowładcy, królewskiego ojca, człowieka, o którego pomoc zabiegał zarówno mistrz krzyżacki, jak i władca Polski. Niezwykle zmienił się przez miesiąc. Nie różnił się od skazańców z miejskich lochów. Policzki miał zapadłe, oczy zgasłe, a dostatnie niegdyś szaty brudne i postrzępione. Próbował się wyrwać, przekonany, że z jednej niewoli trafił do drugiej, zapewne jeszcze gorszej, ale marynarze mocno go trzymali.

– Wycofujemy się! – rozkazał Störtebeker i zaraz pognał na „Morskiego Tygrysa”. Zwinnie przeskoczył z jednego relingu na drugi i już po chwili stał przy kluzie kotwicznej. Chwycił za kabestan⁶⁷, napiął muskuły i sam bez niczyjej pomocy zaczął nim kręcić handszpakami⁶⁸, wybierając kotwicę. Odwrócił się do Michelsa, chcąc krzyknąć, żeby wciągał żagle, ale reje z zamocowanymi na nich białymi płótnami już szły w górę.

„Morski Tygrys” zaczął powoli odbijać od „Bursztynu”, a buntownicy, którzy zamarudzili na obcym pokładzie, musieli skakać. Dla dwóch z nich odległość okazała się zbyt duża i chlusnęli do wody. Błagali, żeby ich ratować, ale meklemburski holk już nabierał prędkości i zaczął się oddalać. Marynarz stojący przy sterze zerknął na Klausa w nadziei, że ten nakaze zwrot, aby wyłowić

67 Kabestan – urządzenie o podobnym zastosowaniu co winda lub wyciągarka z bębniem usytuowanym na osi pionowej. Służy do wciągania lub wybierania lin, łańcuchów kotwicznych, cum. Pozwala uzyskać redukcję siły od kilku do kilkunastu razy w zależności od konstrukcji i rozmiarów.

68 Handszpaki – drewniane uchwyty w górnej części bębna kabestanu, służące do wprawiania go w ruch.

towarzyszy, lecz rudowłosy pokręcił głową. Dla nich nie było już ratunku.

– Płyn na wschód! – krzyknął Störtebeker, wiedział, że wiatr wiejący na skos od rufy nada okrętowi największą prędkość.

Marynarz skinął głową i odbił lekko sterem, by obrać odpowiedni kurs. Skrzywił się, widząc przed dziobem dwie tarasujące im drogę kogi na kotwicy. Jednakże nie pierwszy raz stał za rumplem „Morskiego Tygrysa”, wiedział więc, co ten holk potrafi. Zaczął manewrować, żeby przejść między statkami.

Tymczasem na „Bursztynie” oficerowie wreszcie zdołali wydostać się z rufówki. Wypadli na pokład, potykając się jeden o drugiego i klnąc na czym świat stoi. Wygrażali pięściami w stronę „Morskiego Tygrysa” i, przekrzykując się, wzywali swoje jednostki do pościgu za buntownikami.

Czerwony ze złości Bertram Wulfem podbiegł do burty i wrzasnął na całe gardło:

– Störtebeker! Ty psi synu! Zawracaj natychmiast!

Jednak meklemburski holk oddalał się coraz szybciej i nic nie wskazywało na to, żeby miał wykonać zwrot. Widząc to, Wulfem zacisnął pięść i uderzył wściekle w reling.

– Obedrę cię ze skóry! – zawołał. – A potem oddam katu, żeby odrąbał ci ten durny łeb! Ty niewdzięczny bękarcie! Dałem ci szansę, jakiej nigdy byś nie otrzymał w swoim parszywym życiu! A ty tak odpłacasz mi za dobroć?!

– Nic ci nie jestem winien! – odkrzyknął Klaus, a jego tubalny głos docierał nie tylko do uszu Bertrama, ale słyhać go było na każdym z okrętów floty. – Niegdyś ja uratowałem życie tobie, a potem ty mnie. Długi zostały splecione.

– Głupcze! – wściekał się burmistrz Strzałowa. – Gdyby nie ja, zgniłbyś w parszywym lochu albo zostałbyś usieczony w ulicznej bójce. W najlepszym razie harowałbyś jako zwykły marynarz na

kupieckiej kodze i zarabiał nie więcej niżli portowy robotnik. Twoja fortuna przy mojej wyrosła. Jeszcze nie jest za późno. Wracaj, a w niepamięć puszczę twoją zuchwałość!

Klaus pokręcił głową.

– Dokonało się – rzekł. – Już nic nie może zostać cofnięte.

– Zaklinam cię, zawróć!

– Bywaj!

Wulflem zaklął siarczyście, następnie podniósł dłonie do ust, ułożył je w trąbkę, żeby było lepiej słycać, i krzyknął:

– To nie koniec, Störtebeker! Będę cię ścigać na morzu i na lądzie! Żadna przystań nie będzie dla ciebie bezpieczna, nigdzie nie znajdziesz schronienia i nikt nie udzieli ci azylu! Prędzej czy później dopadnę cię, a wówczas pożałujesz, że się urodziłeś! Poczujesz mój gniew na własnej skórze...

Klaus niewiele sobie robił z gróźb patrycjusza, spływały po nim jak mydliny – a wiedział, co to mydliny, bo raz w życiu, po długim rejsie, odwiedził łaźnię. Bynajmniej nie dlatego, żeby splukać z siebie smród i bród dwumiesięcznej podróży, ale dla znakomitego trunku, jadła i dziewczek, jakie tam oferowali. Po wszystkim stwierdził, że woli dobrą gospodę, gdzie wszystko było o wiele tańsze i nie marnowało się wody, która powinna służyć do picia, gdy braknie wina, nigdy zaś do kąpieli.

Störtebeker spostrzegł Simona van Utrechta. Stojący obok Wulflema kapitan był spokojny i milczący jak zawsze. Twarz, niczym wyrzeźbiona w kamieniu, nie wyrażała żadnych emocji i mogłoby się wydawać, że Holendra niewiele obchodzi, że buntownicy właśnie porwali najlepszy statek w całej flocie, w dodatku okręt, którym on sam dowodził. Tylko usta miał mocno zaciśnięte, a w zimnym spojrzeniu bladozielonych oczu czaiła się obietnica śmierci. Każdego innego człowieka przyprawiłoby to o niespokojny sen do końca jego dni, ale rudowłosy ulepiony był z

innej gliny. Skrzywił się tylko i zapominając o swoich byłych zwierzchnikach, przeniósł wzrok na dwa statki, które znalazły się przed dziobem „Morskiego Tygrysa”.

Na szczęście marynarz zastępujący Störtebekera przy sterze był wytrawnym żeglarzem. Delikatnie przyciągnął ku sobie rumpel, ostrząc na wiatr i cały czas uważając, żeby żagle nie wpadły w łopot. Holk lekko zmienił kurs i pomknął w lukę między hanzeatyckimi kogami.

– Zatarasujecie mu drogę! – krzyczał Wulflem z pokładu „Bursztynu”, gdyż widział, że jest szansa dopaść buntowników.

Szyprowie gorączkowo wydawali rozkazy i na statkach zaczęto wciągać żagle. Podniesiono kotwice, zatrzeszczały kabestany, naprężyły się liny i po chwili dwie kogi drgnęły. Wreszcie ruszyły ociężale, niczym krowy zganiane z pastwiska w leniwy letni dzień. Luka z każdą chwilą stawała się coraz węższa. Widząc to, marynarze z „Morskiego Tygrysa” zaczęli z powątpiewaniem kręcić głowami, inni modlili się, ale byli i tacy, którzy okrzykami poganiali własny okręt, by płynął szybciej, jakby był posłusznym zwierzęciem, a nie drewnianym tworem ludzkich rąk.

Michels przymknął powieki. Nie chciał patrzeć na to, co się zaraz stanie. Oczyma wyobraźni widział uderzające o siebie okręty, potworny huk strzaskanych desek, łamiących się masztów, gruchot rozpadających się kaszteli. W tym wszystkim miażdżone ciała marynarzy, jęki i krzyki umierających.

Jedynie Klaus zachował zimną krew. Stał na śródokręciu i spokojnie spoglądał przed siebie. W jego błękitnych oczach nie było zwątpienia, a jedynie pewność, że los i tym razem okaże się łaskawy. Szczęście nigdy dotąd go nie opuszczało, więc czemu teraz miało być inaczej? Nie uważał się za kogoś wyjątkowego, nigdy też nie modlił się do Boga ani żadnych świętych bądź aniołów. Wiedział jednak, że jeśli opatrność ma względem niego jakieś plany, to i tym

razem pozwoli mu cało wyjść z opresji.

Nie pomylił się. „Morski Tygrys” minął bukszpryt hanzeatyckiego okrętu o przysłowiowy włos, a drugi ze statków na wyciągnięcie ręki. Niestety, wychylony na zawietrzną żagiel zahaczył o olinowanie jednej z kog, a brasy obu jednostek się splątały. To wyhamowało „Morskiego Tygrysa”.

Störtebeker obejrzał się i zaklął wściekle, gdyż flota Wulflema była już gotowa do pościgu. Większość okrętów błyskawicznie postawiła żagle, zbrojni zakładali pancerze, rychtowali broń, z ładowni wyciągnięto katapulty, a łucznicy szykowali się do wypuszczenia pierwszych strzał. Klaus wiedział, że lada chwila rozpęta się piekło.

Rozejrzał się, szukając jakiegoś sposobu na wyjście z opresji, chociaż zdawał sobie sprawę, że będzie potrzebował cudu. Ujrzał wbite w siebie ponure spojrzenia załogi. Ci ludzie mu zaufali, uwierzyli w zapewnienia, że się uda, że będą wolni i bogaci. Teraz zaś zginą rozrąbani przez byłych towarzyszy.

Jasnowłosy młodzieniec, pomocnik Michelsa, którego Gödeke tak bardzo cenił, z niezwykłą lekkością wdrapał się na maszt, następnie stanął na chybotliwej rei. Rozłożył szeroko ręce, aby utrzymać równowagę, i zaczął powoli iść w stronę splątanych brasów. Nie było to łatwe, bowiem statki cały czas unosiły się i opadały na falach. Uważał przy każdym kroku, żeby się nie poślizgnąć. Upadek z tej wysokości na pokład w najlepszym wypadku skończyłby się pogruchotaniem kości.

Na „Morskim Tygrysie” wszyscy wstrzymali oddechy, wpatrzeni w młodego śmiałka. A on był już w połowie rei. Nagle nastąpiło to, czego Störtebeker najbardziej się obawiał. Łucznicy i kusznicy z hanzeatyckich statków rozpoczęli ostrzał. Każdy z marynarzy krył się, za czym mógł. Dwóch ludzi padło, jeden z przeszytym gardłem, drugi ze strzałą w plecach.

Stojący na rei chłopak najpierw zawahał się, gdy bełty zaczęły

śmigać obok jego głowy, ale zacisnęła mocniej usta i ruszył dalej. Bardzo ostrożnie, świadom, że lada chwila któryś z pocisków może w niego trafić.

Wreszcie dotarł do splątanych lin, wyciągnął zza pazuchy nóż i odciął brasy hanzeatyckiej kogi. „Morski Tygrys”, niczym uwolnione z klatki dzikie zwierzę, od razu skoczył do przodu. Na okręcie rozległy się triumfalne okrzyki i wiwaty na cześć młodego bohatera. Twarz chłopaka rozjaśnił szeroki uśmiech. Żeglarz wyprężył się dumnie, zadowolony, że zdobył uznanie wśród żeglarskiej braci.

I w tej właśnie chwili strzała trafiła go prosto w serce. Uśmiech zgasł na jego ustach. Młodzieniec zachwiał się i spojrzał zdziwiony na sterczącą z piersi lotkę. Stojący na dole marynarze zamilkli, z gardła Gödekego dobył się jęk żalu.

Chłopak wyszeptał coś, co mogło być zarówno przekleństwem, jak i prośbą do Boga o otwarcie bram niebios, a następnie runął w dół. Głuchy trzask towarzyszył uderzeniu ciała o drewniany pokład. Większość żeglarzy odwróciła wzrok, nie mogąc patrzeć na skręcone w nienaturalnej pozycji zwłoki młodzieńca, roztrzaskany czerep i wypływający z niego mózg.

„Morski Tygrys”, idąc z wiatrem, nabierał coraz większej prędkości i zostawił w tyle flotę Wulflema. Żaden z hanzeatyckich statków nie miał szans dogonić meklemburskiego holka, który mknął ku wolności. Klaus Störtebeker i jego towarzysze wstąpili na drogę, z której nie było odwrotu.



Rozdział 4

Morze Bałtyckie w pobliżu Borholmu

Listopad 1389 roku

„Święty Patryk” nie wyglądał okazale. Ot, zwykły statek handlowy, jakich mnóstwo można było spotkać na Morzu Bałtyckim. Niczym niewyróżniająca się mała koga. Jednak dla Piotra Wichmana, którego matka pochodziła z Irlandii, był jak ziemia przodków. Piotr głęboko wciągał w nozdrza zapach przesiąkniętego wilgocią pokładowego drewna, kojarzący mu się z wonią lasów Zielonej Wyspy, których nigdy nie widział, ale znał z opowieści rodzicielki. Jego matka w wieku siedemnastu lat wyszła za mąż za kupca z Hamburga i resztę życia spędziła w tym mieście.

Wichman z podziwem spoglądał na bukszpryt wyrzeźbiony w figurę świętego męża z siwą brodą, będącego patronem okrętu, a także Irlandii. Cieszył oko widokiem szarpanego przez wiatr białego żagla z wymalowaną zieloną koniczyną. Według legendy, święty Patryk, nawracając Irlandczyków, pokazywał poganom roślinę z trzema liśćmi, tłumacząc na jej przykładzie istotę Trójcy Świętej.

Piotr nie był człowiekiem pobożnym, można nawet śmiało powiedzieć, że żadna z dróg, które w życiu wybierał, nie prowadziła do Boga. Szydził z duchowieństwa, dogmatów wiary, chrześcijańskich zasad i kultu świętych. Jednakże sentyment, jaki odczuwał do matczynej ojczyzny, spowodował, że wybierając statek, zdecydował się na „Świętego Patryka”.

Gdy wsiadał na jego pokład w Hamburgu, przeczuwał, że koga mu

się spodoba, ale nie przypuszczał, że pokocha ją po zaledwie dwóch dniach podróży. Przymknął powieki i wsłuchał się w skrzywienie want, łopot żagla targanego szkwałem, zgrzyt potężnego rumpla, gdy sternik ostrzył na wiatr. Wichman wyczuwał każdy przechył kogi, najmniejszą zmianę kursu, naprężenie kadłuba – właśnie tak, wyczuwał jej ruchy niczym ruchy kochanki po spędzeniu upojnej nocy. Wiedział, jak należy z nią postępować, jak pieścić, żeby doprowadzić do rozkoszy, i jak traktować, żeby była z nim na dobre i złe. Uśmiechnął się do swoich myśli.

– Zapowiada się spokojna podróż.

Piotr drgnął, słysząc basowy głos tuż przy swoim uchu. Otworzył oczy i ujrzał niskiego, rudowłosego mężczyznę, będącego szyprem „Świętego Patryka”. Irlandczyk z dziada pradziada z radością przyjął na pokład „krajana” i nie obchodziło go to, że noga Wichmana nigdy nie stanęła na Zielonej Wyspie, bowiem po barczystej sylwetce, bystrych zielonych oczach, jasnej cerze i piegach na twarzy rozpoznał rodaka. Nigdy nie brał pasażerów, ale tym razem zrobił wyjątek dla młodzieńca, którego już po kilku dniach podróży traktował jak syna.

O Piotrze wiedział tylko tyle, że jest sługą bogatego kupca, który wysłał go do Nowogrodu w poszukiwaniu nowych okazji handlowych. Instynkt wilka morskiego podpowiadał mu jednak, że młodzieniec się marnuje i powinien zostać żeglarzem. Serce szypra radowało się, gdy widział, jak czule chłopak spogląda na statek, z jakim zainteresowaniem przygląda się pracy załogi i wypytuje niemal o wszystko. Starszemu Irlandczykowi zdawało się, że odkrył bratnią duszę.

– Spokojna podróż, powiadacie – rzekł Wichman. – Po czym to wnosicie?

– Mam takie przeczucie. A ono nigdy mnie nie zawodzi.

Piotr uśmiechnął się samymi kącikami ust i przez chwilę

przyglądał się szyprowi. Potem przeniósł spojrzenie na mijany właśnie ład.

– Piękna wyspa – rzekł, zachwycając się złocistą plażą, którą pokrywał czysty, żółty piasek. Dostojnie spacerowały po nim rybitwy, które donikąd się nie spieszyły. W górze szybowały mewy, a co jakiś czas nagle obniżały lot, by zanurkować w wodzie po rybę. Za plażą piętrzyły się skały porośnięte fioletowym kobiercem wrzosu. Po zachodniej stronie widniał las, zza którego wyglądały kamienne budowle. Zdawały się opuszczone, a wyspa – niezamieszкана, rządzona jedynie przez naturę.

– Bornholm.

– Do kogo należy?

– Trudno rzec. – Szyper wzruszył ramionami. – Bornholm jest lennem arcybiskupa Lundu, ale królowie Danii cały czas roszczą sobie do niego prawo. Raz za razem na wodach wokół Bornholmu toczą się bitwy morskie. Konflikt trwa już niemal od wieku i nie wygląda na to, żeby rychło się skończył.

Piotr pokiwał głową.

– A to nie jedyna wojna na Bałtyku – ciągnął Irlandczyk. – Hanza wysłała na morze flotę okrętów wojennych, których zadaniem jest rozprawa z rozbójnikami morskimi. Dowodzi nią niejaki Bertram Wulflem, burmistrz Strzałowa. Niedawno, gdy przepływałem u wybrzeży Meklemburgii, miałem okazję go poznać. Ugościł mnie kolacją i opowiedział, jak poskromił Warcisława. Ponoć księżę słupski na kolanach o zmiłowanie prosił. Burmistrz Strzałowa się nad nim ulitował i wolnym puścił, bowiem dobrego serca jest to człek i na krzywdę ludzką wrażliwy.

– Wolnym puścił? – zdziwił się Piotr.

– Tak twierdzi.

– Prędzej przestraszył się królowej Małgorzaty, która opiekę sprawuje nad synem księcia i gotowa pójść Warcisławowi z

odsieczą. – Skrzywił się Wichman, nie wierząc w szczerą intencję hanzeatyckiego patrycjusza.

– A tego to nie wiem – odparł Irlandczyk z rozbijającą szczerością. – Ja jeno zwykły marynarz jestem i nijak mi zrozumieć sprawy możliwych tego świata. Jednakże Wulfem na okrutnika nie wyglądał. Poczciwą miał gębę...

Młodzieniec roześmiał się głośno. Mewa, która przysiadła na relingu, zerwała się spłoszona, okrążyła statek i odleciała w stronę lądu – na Bornholmie znajdzie miejsce, gdzie będzie mogła w ciszy i spokoju odpocząć. Marynarze szorujący pokład spojrzeli na Piotra spode łba, zazdrośni, że urządza sobie wesołą pogawędkę z szyprem, gdy oni ciężko harują.

– Oceniacie człowieka po gębie? – spytał rozbawiony.

– Po gębie i po oczach.

– Po oczach?

– Powiadają, że one są zwierciadłem duszy – poważnie rzekł szyper. – Można w nich dostrzec, czy człowiek nosi w sobie dobro czy zło. A czasem nawet, co komu pisane.

– A co w takim razie widzicie w moich?

Dowódca statku zmarszczył czoło i wbił spojrzenie w zielone tęczówki pasażera. Piotr wytrzymał spojrzenie dość długo, ale po chwili zaczął niespokojnie skubać nitki rękawa jedwabnej jopuli.

– No i co? – ponaglił wilka morskiego.

– Dużo jest w tobie zarówno dobra, jak i zła – odparł szyper z kamienną twarzą. – Jednakże trudno rzec, co w końcu przeważy.

Wichman westchnął ciężko i przeniósł spojrzenie na Bornholm, który coraz bardziej się oddalał. Może stary Irlandczyk miał rację? Prawdopodobnie będzie musiał niedługo wybierać między tym, co dobre, a tym, co złe. Jednak teraz nie chciał tego roztrząsać.

– Dokąd popłynęła flota Wulfema? – spytał.

– Wszystkie statki wróciły do własnych portów.

– Dlaczego?

– Szykuje się walna rozprawa z Danią.

– Z Danią?

– Szwedzka szlachta, niezadowolona z rządów Albrechta Meklemburczyka, zwróciła się o pomoc do królowej Małgorzaty. Ta odpowiedziała na wezwanie i wojska duńskie zajęły już niemal całą Szwecję.

Oprócz Sztokholmu, który zawzięcie się broni i wypatruje pomocy ze strony Hanzy. Pierwsze konwoje do oblężonego miasta już ponoć ruszyły.

Piotr wznosił lekko brew.

– Sporo wiecie jak na zwykłego szypra.

W odpowiedzi wilk morski wzruszył ramionami.

– „Święty Patryk” pływa po całym Morzu Wschodnim i zawija do wielu portów, a ja nadstawiam uszu i słucham, co ludzie gadają. Zazwyczaj są to bajdy – które można dzieciom opowiadać, żeby szybciej zasnęły – albo domysły marynarzy, przechwałki zubożałych szlachciców czy narzekania kupców. Jednakże swoje w życiu przeżyłem i wiem, że w każdej plotce znaleźć można ziarno prawdy. Będzie wojna jak nic. Mam takie przeczucie, a jak wspomniałem, ono nigdy mnie nie zawodzi.

Młodzieniec spojrział na niego z ukosa.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Szyper roześmiał się i poufale poklepał Piotra po ramieniu.

– Jestem Irlandczykiem! A każdy Irlandczyk urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Bóg umiłował sobie nasz lud.

– To dobrze rokuje nam obu – rzekł rozbawiony Wichman.

– Uwierz mi, chłopcze, opatrność nade mną czuwa. Wychodziłem bez szwanku z najgorszych sztormów, morskich bitew i hultajskich burd. Razu pewnego miałem nawet do czynienia z gladiusem.

– A cóż to takiego?

– Olbrzymia ryba o cielsku dziesięciokrotnie większym niż najokazalsza koga i pysku przypominającym miecz.

Piotr zbladł i pokręcił głową z niedowierzaniem, że taki stwór może istnieć. Nic jednak nie rzekł, tylko z ciekawością skupił się na historii starego wilka morskiego.

– Pamiętam to jak dziś, chociaż od tamtego dnia minęło dwadzieścia lat. Byłem wówczas zaledwie pomocnikiem żaglomistrza na statku należącym do bogatego patrycjusza z Wismaru. Człek to był surowy i okrutny. Nieraz bywało, że marynarze otrzymywali bity za wydumane przewiny tylko dlatego, że ten był w złym humorze. A gdy ktoś mu podpadł, lądował za burtą lub powieszony na rei.

Wichman zmarszczył czoło.

– To był początek września, czas, kiedy lato już odchodzi, ale słońce jeszcze otula ciepłymi promieniami. Płynęliśmy do Åbo⁶⁹ z ładownią po brzegi wypełnioną towarem, a że w dodatku wiatr nam nie sprzyjał, koga wlokła się niemilosiernie. Właściciel statku chodził wściekły po pokładzie, miotając przekleństwa i szukając pretekstu, żeby się na kimś wyżyć. Schodziliśmy mu z drogi, żeby się nie narażać, ale i tak znalazł sobie kozła ofiarnego, młodego majtka, chłopaka liczącego nie więcej niż dwanaście wiosen. Za źle wymyty pokład kazał go wciągnąć na reję, nogami do góry, i trzymać tak do wieczora.

Na twarzy Piotra pojawił się gniewny grymas, mocno zacisnął pięść. Nie uszło to uwadze szypra. Domyślił się, że młodzieniec sam musiał doświadczył bestialstwa hanzeatyckich panów.

– Taka jest kolej rzeczy – rzekł łagodnie. – Jedni urodzili się po to, żeby rządzić, inni, by służyć.

– I cierpieć?

– Nic na to poradzić nie można. – Starszy żeglarz wzruszył

⁶⁹ Åbo – obecnie Turku w południowo-zachodniej Finlandii.

ramionami. – Tak zawsze było, jest i będzie. Bóg ustanowił porządek, którego łamać nie wolno.

Młodzieniec parsknął wściekle.

– Człek rodzi się wolny, a potem dopiero jest zakuwany w kajdany lub sam się w nie zakuwa. Nadejdzie dzień, gdy wszyscy ludzie będą wobec siebie równi, nie będzie panów ani sług. Każdy sam będzie mógł decydować o własnym losie.

– Młody jesteś i pusto masz w głowie – obruszył się Irlandczyk. – Nawet w niebiosach każdy anioł ma przynależne mu miejsce.

– Zatem niechaj Bóg rządzi aniołami, karze ich, chłosta, zakuwa w dyby i posyła do lochów, ile wola zapragnie, a nas, ludzi, zostawi w spokoju.

– Powinniśmy przyjmować los z pokorą, żeby zasłużyć na nagrodę na tamtym świecie.

– A co, jeśli po śmierci czeka nas jeno pustka? Może nie ma żadnego nieba ani piekła? Życie wieczne zaś jest wymysłem, żeby nas maluczkich kler i możni panowie w ryzach trzymali?

– Błuźniesz!

– Czy gdyby istniał miłościwy Bóg, pozwoliłby, żeby tyle nieprawości panowie hanzeatyccy czynili?

– To taka próba, która ma pokazać, kto sobie zasłużył na zbawienie, a kto na wieczne potępienie.

– Bzdura – fuknął zezłoszczony Wichman i odwrócił się ostentacyjnie.

Złociste plaże Bornholmu zdążyły zniknąć za horyzontem. Wiatr się zmienił, sternik odbił rumplem i teraz „Święty Patryk” zwiększył prędkość, prując fale i rozpryskując morską wodę. Kilka kropel opryskało twarz młodzieńca, co ukoło jego wściekłość.

– Raccie mi wybaczyć – rzekł do Irlandczyka. – Czasami mnie ponosi.

Szyper spojrział na niego uważnie.

– Dużo wycierpiałeś, co?

Młodzieniec tylko skinął głową, przypominając sobie wszystkie upokorzenia, jakich doznał od panów Hanzy. Jego ojciec zainwestował sporą sumę w, wydawało się, pewny interes, ale został oszukany przez wspólników – patrycjuszy hanzeatyckich, którzy do dnia dzisiejszego cieszyli się olbrzymim szacunkiem w Wismarze. Na domiar złego na drobnych kupców, takich jak ojciec Piotra, nakładano największe podatki, a nie mieli przy tym prawa uczestniczyć w decydowaniu o losach miasta, bowiem całość rządów spoczywała w rękach patrycjuszy. Nie mogąc dojść sprawiedliwości w sądach, rodzina Wichmanów musiała przeprowadzić się do podłej dzielnicy. Ubożeli z dnia na dzień. Potem zaczęli przymierać głodem i żywić się czym popadnie. Nic więc dziwnego, że rodzice zachorowali.

Gdy zmarli, trawieni przez „święty ogień”⁷⁰, a on ledwie uszedł z życiem, miał tyle lat, ile majątek z opowieści szypra. Przygarnęła go daleka rodzina ojca, ale szybko okazało się, że to nie miłosierdzie kazało im wypełnić chrześcijański obowiązek, a pragnienie posiadania darmowego sługi. Traktowany był niczym niewolnik, a czasami nawet gorzej od psa.

Codziennie szydono z niego i bito. Okrutne kary pozbawiły chłopca pewności siebie, za to pozwoliły mu pielęgnować nienawiść. Pewnej nocy, gdy był już młodzieńcem, całe domostwo spłonęło wraz z wujostwem, a z pożaru uratował się tylko Piotr. I chociaż nie miał dachu nad głową, wreszcie był wolny.

⁷⁰ Chodzi o zatrucie sporyszem, które w jednej ze swych postaci prowadziło do mrowienia i „palenia” (objawy niedokrwienia) w palcach rąk i nóg, które stopniowo siniały i obumierały (w tym stadium choroby objawy mogły przypominać trąd). W średniowieczu tę postać choroby nazywano „świętym ogniem” lub „ogniem św. Antoniego” – a dziś gangreną (zgorzelą) sporyszową (Ergotismus gangrenosus).

– No to co z tym gladiusem? – zapytał, by odsunąć od siebie ponure myśli.

Szyper zmrużył oczy i chwilę mu się przyglądał. Zrozumiał, że Wichman nie chce mówić o swojej przeszłości, więc przeniósł spojrzenie na morskie fale i kontynuował opowieść:

– Gdy marynarze pochwycili nieszczęsnego chłopca i przygotowywali się do wciągnięcia go na reję, z marsa dobiegło wołanie wachtowego. Krzyczał, że przed dziobem statku widzi wyspę. Zdziwiliśmy się, bo Gotlandię dawno minęliśmy i do samego Åbo nie powinno być żadnego lądu.

Irlandczyk pogładził brodę.

– Wszyscy pobieглиśmy na przedni kasztel i ujrzeliśmy dziwną brunatną wysepkę. Próżno było szukać na niej drzew, krzewów i kwiatów. Wydawała się jakaś taka śliska i groźna, co napełniało nas niepokojem. I słusznie! Nagle ruszyła prosto na nas, jakby chciała staranować statek. Sternik natychmiast odbił, zmieniając kurs, ale to nic nie dało. Podążała za nami.

Wilk morski zamilkł na chwilę, a w jego oczach można było dostrzec strach, jakby wydarzenia sprzed dwóch dekad cały czas go przerażały.

– Ujrzeliśmy, jak z wody wynurza się monstrualny stwór podobny zarówno do ryby, jak i do gada. Cielsko miał ohydne, pokryte łuskami i wodorostami. Oczy straszliwe niczym sam diabeł, a pysk kształtem przypominał miecz. Zanim się spostrzegliśmy, uderzył w kogę i zrobił w burcie olbrzymią dziurę. Zaczęliśmy nabierać wody. A potwór zawrócił i przygotowywał się do kolejnego ataku. Niektórzy marynarze zaczęli wrzeszczeć i kulić się za krenelażami, jakby to miało uratować ich od śmierci. Inni klękali na pokładzie i modlili się o ocalenie. Tylko nieliczni zachowali zimną krew. Ja, nie chwalać się, byłem wśród nich.

– I co żeście uczynili? – zapytał Piotr z wypiekami na twarzy,

bowiem historia całkowicie go pochłonęła. Od małego fascynowały go takie opowieści. Miał nadzieję, że kiedyś będzie mu dane przeżyć spotkanie z morskim potworem.

– Wraz z naszym szyprem i jeszcze sześcioma marynarzami o lwich sercach stanęliśmy na relingu w oczekiwaniu na bestię. Zbliżała się wolno, jakby napawając się naszym nieszczęściem. Jednakże, gdy dzieliło ją od kogi zaledwie dziesięć kroków, nagle przyspieszyła. Nie zwlekaliśmy i obrzuciliśmy potwora harpunami. Większość odbiła się od pancernego cielska, ale jeden trafił w oko bestii. Stwór ryknął wściekle, ukazując rząd zębów ostrych niczym sztylety i gardziel głęboką jak studnia na placu w Hamburgu. A potem zanurzył się w morskich głębinach. Przez jakiś czas czekaliśmy z włóczniami w rękach, czy ponownie się wynurzy, żeby dokonać okrutnej pomsty, ale widocznie rana była na tyle poważna, że wołał nie wchodzić nam więcej w drogę.

Młodzieniec radośnie klasnął w dłonie.

– Toście pogonili piekielnika – rzekł z uznaniem, nawet przez chwilę nie wątpiąc w prawdziwość opowieści. – A co ze statkiem? Nie zatonął?

– Nasz cieśla załatał dziurę na tyle, że mogliśmy dotrzeć do Åbo.

– To cud, że cało uszliście z takiej przygody.

Szyper wyszczerzył się w uśmiechu.

– Mówiłem ci, chłopcze, że opatrność czuwa nade mną i nie może stać mi się nic złego. Innym razem, a wtedy dowodziłem już „Świętym Patrykiem”, płynęliśmy do Sztokholmu i wówczas...

Nie dokończył zdania, bowiem uwagę obydwu mężczyzn przykuły hałasy dobiegające z dziobu.

Rozgniewany szyper spojrzał w tamtą stronę i ujrzał dwóch szamoczących się ludzi. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na typową bójkę, jakie często wybuchały na pokładach statków, po których marynarze dostawali karne wachty lub dwa tuziny batów na

gołe plecy. Zazwyczaj bijatyki kończyły się złamanymi nosami i siniakami.

Ale zdarzało się, że ktoś ginął zadźgany nożem lub zarąbany tasakiem. Wówczas zabójcę natychmiast, bez sądu, wyrzucano za burtę. Dlatego niepisaną zasadą wśród morskiej braci było nieużywanie broni podczas pokładowych przepychanek. Zazwyczaj kończyło się na mordobiciu, wysłuchaniu reprimendy od szypira i pokornym przyjęciu kary. A po zejściu na ląd zwaśnieni wspólnie szli się upić do tawerny. Nikt długo nie chował urazy.

Tym razem jednak było inaczej. Irlandczyk z przerażeniem ujrzał błysk stali, a po chwili jeden z walczących wydał z siebie okrzyk pełen bólu i runął z rozrąbanym czerepem.

– Co u diabła?!

Wszystko wydarzyło się w okamgnieniu, a zanim szyper się spostrzegł, na pokładzie rozgorzała regularna bitwa. Kilku marynarzy odzianych było w kolczugi, w rękach zaś dzierżyli tasaki i kordy, a to oznaczało, że wcześniej musieli się przygotować. Pozostali, zaskoczeni tak nagłym atakiem, bronili się nieporadnie tym, co mieli pod ręką. W ruch poszły drewniane pałki, knagi⁷¹ i deski. I chociaż napastników było dwukrotnie mniej, dzięki zaskoczeniu szybko zdobyli przewagę.

Irlandczyk zaklął szpetnie. Wiedział, co to oznacza.

Na hanzeatyckich statkach coraz częściej dochodziło do buntów. Pokładowe ciury, plebs pochodzący z najpodlejszych miejsc na ziemi, chwytaly za broń, wyrzynały panów, szyprow i tych, którzy byli im przeciwni, a potem, zdobywszy okręt, żeglowały tam, dokąd poniosły oczy. Przemierzali morze, trudniąc się zbójckim procederem. Trwało to miesiąc, może dwa, czasami pół roku, dopóki banici nie natrafili na silniejszych od siebie lub sami nie pozabijali

71 Knaga – okucie występujące na pokładach jednostek pływających, a służące do unieruchomienia lin olinowania ruchomego.

się w walce o łupy.

Jednakże buntury wśród załóg nie wzięły się znikąd, były echem tego, co działo się w miastach Hanzy. Patrycjusze opływali w dostatki, bogacąc się na zamorskim handlu, a biedacy zarabiali nędznie, wykonując najcięższe prace. Pozbawieni zarówno przywilejów, jak i praw, żyli jak niewolnicy. Z jednej strony szlachta traktowała ich jak robactwo, a z drugiej patrycjusze niemiłosiernie wykorzystywali. Skrywany latami gniew musiał wreszcie znaleźć ujście.

Plębs wychodził na ulice miast, rabując, niszcząc i paląc siedziby najmożniejszych kupców. Rozochoceni biedacy wdzierali się do kamienic bogaczy, hańbili ich żony i córki, a patrycjuszy wieszali na drzewach.

Straż miejska nie radziła sobie z zamieszkaniami. Drabanci, przyzwyczajeni do ścigania drobnych złodziejasków i tłumienia pijackich burd, teraz musieli stawić czoło rozszalałemu tłumowi zdesperowanych ludzi. Ich opieszalność wynikała również z tego, że sami często wywodzili się z biedoty i teraz stawali naprzeciw sąsiadów i przyjaciół. Natomiast drobni kupcy, którzy organizowali się w cechy i mogli wystawić własną straż, tylko zacierali ręce, gdy widzieli, jak płoną magazyny ich bogatszych konkurentów. Rozruchy trwały zazwyczaj kilka dni, dopóki gniew pospólstwa się nie wypalił. A potem wybuchały w kolejnym mieście.

– Za mną! – krzyknął szyper i pociągnął Piotra w stronę nadbudówki. Młodzieniec posłusznie podążył za Irlandczykiem.

Starcia trwały już na całym statku i musieli uważać, żeby nie dostać się w wir walki. Buntownicy spychali pozostałych przy życiu marynarzy na kasztel rufowy, gdzie ostatni bastion obrony stanowił sternik. Barczysty mężczyzna, który pływał na morzach już trzydzieści lat i w niejednej bitwie brał udział, machał nad głową potężnym kiścieniem⁷². Dwaj buntownicy, którzy odważyli się

72 Kiścień – rodzaj broni obuchowej zbudowanej z drewnianego dzierzaka i

podejść bliżej, leżeli z roztrzaskanymi czerepami, a ich krew wsiąkała w deski pokładu. Reszta napastników trzymała się na dystans, bojąc zbliżyć się do rozszalałego mężczyzny. Wreszcie jeden z odważniejszych marynarzy ruszył w stronę szypra. Pochylił się, by uniknąć rozpedzonego bijaka, a następnie ciął w nogi olbrzyma. Sternik ryknął z bólu, gdy ostrze przecięło mu więzadła. Padł na kolana. Dopiero wówczas reszta buntowników rzuciła się na rannego i zasiekła go jak bezbronne zwierzę.

Wichman już tego nie zobaczył, bowiem szyper wciągnął go do pomieszczenia, które służyło jako magazyn i miejsce do spania. Na szczęście buntownicy jeszcze tutaj nie dotarli. Stary żeglarz pośpiesznie zatrzaskał drzwi i je zarygłował.

– Co teraz? – spytał pobladły Piotr.

Zafrasowany Irlandczyk podrapał się po głowie. Łudził się, że bunt zostanie stłumiony, a on wraz z młodzieńcem przeczekają go w bezpiecznym miejscu, ale odgłosy z zewnątrz świadczyły o krwawej rzezi. Tupot stóp dochodził również z góry, a to oznaczało, że zdobyto kasztel rufowy. Odgłosy walki powoli cichły, słychać było za to triumfalne okrzyki i pytania o szypra. Niektórzy chcieli go powiesić na rei, inni wrzucić do morza, ale byli i tacy, którzy pragnęli wypatroszyć go jak świnie na środku pokładu. I chociaż dla podwładnych nigdy nie był okrutny, załoga widziała w nim wroga, jednego ze znienawidzonych panów hanzeatyckich.

Ktoś szarpnął drzwi od drugiej strony.

– Tu się schował! Otwieraj, świnio!

Szyper położył palec na ustach, dając Piotrowi znać, żeby milczał. Stary Irlandczyk naiwnie wierzył, że buntownicy sobie odpuszczą, ale jego złudzenia rozwiały uderzenia toporów w drzwi. W przerażeniu zaczął rozglądać się po pomieszczeniu, a jego wzrok

zawieszono na łańcuchu, sznurze lub rzemieniu bijaka, służącego do zadawania ciosów przeciwnikowi.

spoczął na opartej o ścianę kuszy. Dосkoczył do niej i chociaż cały trząsł się ze strachu, sprawnie założył na stopę strzemiączko umieszczone na końcu łoża kuszy, pochylił się, chwycił cięciwę i naciągnął ją, zaczepiając o ruchomą zastawkę. Założył bełt i czekał.

Wreszcie buntownicy zdołali roztrzaskać drzwi i do środka wpadł pierwszy śmiałek. Spozstrzegł szypra i z okrzykiem ruszył prosto na niego. Wilk morski wycelował i nacisnął dźwignię spustową. Bełt wystrzelony z tak bliskiej odległości przebił kolczugę napastnika, przeszedł na wylot przez ciało i poleciał dalej, wbijając się w maszt. Na widok padającego kamrata buntownicy wycofali się i ukryli za ścianą nadbudówki.

Tymczasem Irlandczyk nakładał już następny pocisk i po chwili kusza znowu była gotowa do strzału.

– No chodźcie tutaj, psubraty! – ryknął na całe gardło. – Poczęstuję was kilkoma bełtami i zaraz odechce się wam buntów.

Zza drewnianej ściany dochodziły szepty. Ktoś cicho tłumaczył, że kiedy wejdą do pomieszczenia we trzech lub czterech, szybko obezwładnią starego, który zdąży wystrzelić co najwyżej raz. Jednak żaden z buntowników nie kwapił się do tego pomysłu, woleli pozostać w bezpiecznym schronieniu i poczekać na rozwój wydarzeń.

Piotr wcale im się nie dziwił. Kusza była niezwykle skuteczną bronią, miała straszliwą moc rażenia i nie na darmo została uznana przez papieża za narzędzie niegodne rycerza. Ponoć zakazał jej używania w wojnach przeciwko chrześcijańskim władcom i rycerzom. Wyjątek stanowiły krucjaty, ale tam walczono z Saracenami – wrogami Jezusa Chrystusa. Prawo ustanowione przez papieża nie było jednak przestrzegane i niemal w każdej bitwie lub potyczce używano kusz.

– Na co czekacie, tchórze!? – krzyczał pewny siebie szyper. – Mam do was wyjść i poczęstować bełtem? Zrobię wam dodatkową dziurę

w tyłkach.

Stary żeglarz zaśmiał się opętańczo.

Wichman westchnął ciężko. Podeszedł do Irlandczyka i położył mu dłoń na ramieniu. Ten tylko posłał mu szybkie spojrzenie, nie chcąc spuszczać wzroku z roztrzaskanych drzwi.

– Nie martw się, chłopcze – rzekł uspokajająco. – Wszystko będzie dobrze.

– Wcale się nie martwię – odparł młodzieniec i uśmiechnął się swoim zwyczajem, lekko, samymi kącikami ust. Następnie jednym płynnym ruchem wyciągnął zza paska sztylet i wbił go pod żebra wilka morskiego. Ten jęknął, wypuścił z rąk kuszę i z wyrzutem spojrzał na Piotra. Próbował coś wyszeptać, ale z ust popłynęła mu krew. Padł martwy.

Wichman pochylił się, by sprawdzić, czy stary na pewno nie żyje, wytarł ostrze sztyletu o szatę, a następnie wyszedł na pokład. Dopiero teraz mógł dobrze przyjrzeć się buntownikom. Było ich prawie dwudziestu roślących mężczyzn o twarzach spalonych słońcem, bujnym zaroście, silnych, nawykłych do wyciągania szotów rękach i szorstkich od lin dłoniach, w których teraz dzierżyli oręż. Cofnęli się o krok, spoglądając na młodzieńca spode łba.

– Kiepy⁷³ z was, nie mężowie – fuknął wściekle. – Myślałem już, że zdobycie statku zajmie wam cały dzień.

Połowa wilków morskich opuściła ze wstydem głowy, reszta spoglądała na niego z lękiem.

Piotr Wichman nigdy nie był pomocnikiem kupca, a przestępczym procederem trudnił się niemal od dziecka. Kradł, rabował, zabijał. Jego pierwszymi ofiarami byli wujostwo. Którejś nocy, po razach, jakie otrzymał, zdecydował, że dłużej nie będzie tego znosił. Gdy domownicy położyli się spać, zaryglował wszystkie okna i drzwi,

73 Kiep – dawna nazwa kobiecego narządu płciowego. W ten sposób określano też zniewieściałego mężczyznę.

rozlał oliwę, a następnie podpalił kamienicę. Sąsiedzi biegali z wiadrami pełnymi wody, próbując gasić pożar, a on stał na podwórzu i uśmiechał się z satysfakcją. W jego oczach odbijały się języki ognia. Wówczas wydawało mu się, że wraz z dogasającym pogorzelnikiem dopalił się również jego nienawiść. Nawet nie wiedział, jak bardzo się myli.

Z dnia na dzień gniew w nim narastał. W kolejnych ofiarach widział katującego go wuja i tym bardziej był dla nich okrutny. Nie znał litości, chrześcijańskie miłosierdzie było mu obce jak wybrzeża słonecznej Italii, o których słyszał z ust kupca w portowej tawernie. Tego samego wieczoru zabił go i zdarł z niego bogate odzienie. Wówczas wpadł na pomysł zdobycia statku i zostania piratem.

Długo przyglądał się zakotwiczonym w wismarskim porcie statkom i ostatecznie wybrał „Świętego Patryka”. W tawernie przysiadł się do kilku marynarzy, którzy na nim pływali. Nie musiał zbyt długo namawiać ich do buntu. Ustalili, że wejdzie na pokład jako pasażer i będzie miał baczenie na szypra, a oni zwerbują dla swojej sprawy tylu załogantów, ilu się da. Przy karczemnym stole podzielili również między siebie funkcje, jakie kto zajmie po przejęciu kogi. Jednogłośnie wybrali Wichmana na dowódcę, choć nawet nie wiedzieli, czy kiedykolwiek pływał, ale mimo młodego wieku miał największe z nich doświadczenie jako przestępca. Ustalono, że do buntu dojdzie po minięciu Bornholmu.

I doszło.

– Większość załogi nie chciała się przyłączyć – rzekł przepaszająco jeden z żeglarzy. – Mówili, że szyper jest... – zamilkł i spojrzął w głąb pomieszczenia, gdzie leżał martwy Irlandczyk. – Był dobrym człowiekiem.

Wichman machnął lekceważąco ręką. Najważniejsze, że wszystko się udało i „Święty Patryk” należał do niego. Przymknął powieki, chłonąc orzeźwiający wiatr.

– Dokąd popłyniemy? – zapytał któryś z mężczyzn.

Decyzja zajęła Piotrowi tylko chwilę.

– Na Rugię – odparł. – Wokół niej przebiegają szlaki handlowe, które aż roją się od statków Hanzy. Obłowimy się i będziemy żyć jak królowie.

Odpowiedziały mu radosne okrzyki.

Morze Północne

Październik 1389 roku

Wigbold nie mógł zasnąć i czuł z tego powodu narastającą irytację. Wciśnięty w najdalszy kąć rufówki, przewracał się z boku na bok na sienniku i próbował myśleć tylko o rzeczach przyjemnych. W Anglii to zazwyczaj pomagało, gdy po ciężkim dniu wykładania na Uniwersytecie Oksfordzkim próbował usnąć w dormitorium, pośród dwóch tuzinów chrapiących mnichów. Tym razem jednak sen nie nadchodził. Pewnie dlatego, że Wigbold znajdował się na pełnym morzu.

Naciągnął na głowę derkę, gdyż noce były coraz chłodniejsze, ale żeby nie słyszeć skrzypienia desek i szeptów chodzących po pokładzie wachtowych. Gdy człowiek nie może zasnąć, wszystko go drażni. Zakonnik miał jednak więcej powodów do złości.

Po skończeniu studiów pozostał na franciszkańskiej uczelni, gdzie przez dziesięć lat wykładał nauki przyrodnicze i teologię. Był przecież najzdolniejszym absolwentem, otrzymał nawet pochwałę od samego arcybiskupa Canterbury. Wiódł spokojne życie, oddając się nauce i kontemplacji Boga. Niestety, zdecydowano, że wyruszy do Gdańska, gdzie miał działać w intencji powstania tam klasztoru zakonu franciszkanów. Odpowiednie listy do Rady Miejskiej zostały

już złożone, a papież zapowiedział, że w najbliższych miesiącach udzieli przywileju założenia zgromadzenia w Gdańsku. Wigbold miał przypilnować, żeby wszystko poszło zgodnie z planem, a powrócić do kraju ojców dopiero za kilka lat, gdy skończy się budowa.

Nie podobało mu się to. Nigdy nie wyjechał dalej niż na trzydzieści mil od Oksfordu, a teraz miał płynąć na kraniec świata, do kraju obcego i barbarzyńskiego. Uważał to za wygnanie. Ale jeśli taka była wola jego przełożonych i Boga, mógł tylko pokornie przyjąć swój los.

Westchnął ciężko, gdyż zdał sobie sprawę, że już nie zaśnie. Podniósł się cicho, aby nie obudzić śpiących towarzyszy, i wyszedł na pokład. Chwilę porozmawiał z marynarzami pełniącymi wachtę, którzy chętnie zwierzali mu się z trosk, narzekali na niewdzięczną i ciężką pracę na morzu, opowiadali o żonach, dzieciach, rodzicach pozostawionych na lądzie, których musieli utrzymać. A w dzisiejszych czasach nie było to łatwe. Wigbold zawsze słuchał uważnie, starając się nieść pociechę. Nigdy nie udzielał rad. Dawno już zrozumiał, że każdy człowiek jest kowalem własnego losu i sam musi uporać się ze swoimi problemami. Dla strapionych najważniejsze jest, by ktoś ich po prostu wysłuchał.

Wachtowi wrócili do obowiązków, a Wigbold wdrapał się na kasztel dziobowy, co wywołało lekką zadyszkę, gdyż franciszkanin nie dość, że był mężczyzną tęgim, to jeszcze nienawykłym do wysiłku. Koga o nazwie „Gwiazda Polarna”, należąca do hanzeatyckiego kantoru w Londynie, była całkiem duża i dobrze przygotowana do walki na morzu. Stąd wysokie krenelaże przypominające zamkowe blanki. Mnich otarł pot z czoła i oparł się o reling. Spojrzał na niebo, które na wchodzie przybrało barwę szkarłatu.

Na puciołowatej, jowialnej twarzy zakonnika pojawił się uśmiech. Kontemplował dzieło Boga, rozmyślając, jak doskonale

skonstruowany jest świat. Dzień następował po nocy, światło rozpraszało ciemność i tak samo radość zastępowała smutek. Nadchodzący świt odgonił mroczne myśli Wigbolda. Przyszłość nie malowała się już w tak ciemnych barwach. Mnich poczuł nawet zadowolenie z nowego wyzwania, z tego, że będzie działał dla poszerzenia wpływów zakonu braci mniejszych, że będzie częścią dzieła na chwałę Pana. Nabral przekonania, że wszystko się dobrze ułoży. A przecież jeszcze dwa dni temu myślał, że jego życie dobiegło kresu.

Zmarszczył brwi na wspomnienie sztormu, który rozpętał się tuż po tym, jak statek wyszedł z londyńskiego portu. Gdy tylko angielski brzeg zdążył zniknąć za widnokretem, od południa nadeszła burza. Nastąpiły takie ciemności, że nie sposób było niczego dojrzeć na odległość wyciągniętej ręki i tylko dzięki temu, że błyskawice raz za razem rozświetlały niebo, można było zobaczyć szaleństwo żywiołów.

Wtedy Wigboldowi wydawało się, że oto nadszedł Sąd Ostateczny. Porywisty wiatr szarpał żagiel, powodując niebezpieczny przechył kogi. Potężne fale przelewały się przez pokład, w wyniku czego kilku ludzi znalazło się za burtą i na zawsze przepadła w odmętach Morza Północnego. Pozostali przy życiu marynarze, ponaglani przekleństwami szypra, wdrapywali się na maszt, odplątując targane przez wicherę liny i próbując ściągnąć reję z przymocowanym do niej żaglem. Gdy im się to wreszcie udało, „Gwiazda Polarna” zaczęła dryfować, zdana na łaskę żywiołu.

Jeden z nagłych podmuchów wiatru rzucił mnicha o burtę statku. Wigbold skrzywił się z bólu, gdy uderzył głową o reling. Niezgrabnie się pozbierał, ale wiatr był zbyt silny, żeby mógł ustać na śliskim pokładzie. Padł na kolana i zaczął się żarliwie modlić, jak jeszcze nigdy w życiu. Błagał Boga o litość, nie tylko dla siebie, lecz także dla wszystkich dzielnych marynarzy, którzy, nie zważając na świszczącą

wichurę ani chłoszczą twarze deszcz, wybierali wodę z pokładu. W ruch poszły czerpaki i wiadra.

W świetle błyskawic można było dojrzeć spienione fale, nieubłagane zmierzające w stronę „Gwiazdy Polarnej”. Swoim ogromem przywodziły na myśl wyniosłe szczyty gór. Wigbold oczyma wyobraźni widział już, jak wynurza się z nich obślizgły morski potwór i jednym kłapnięciem pyska pożera kogę, która wydawała się zaledwie łupiną orzecha, a nie sporej wielkości statkiem należącym do najpotężniejszej organizacji handlowej w Europie. Jednak Hanza nie miała żadnej władzy nad sztormem ani potworem. Na wzburzonym morzu królowały siły natury.

Wiatr z każdą chwilą coraz bardziej się wzmacniał, grzmoty wstrząsały światem raz za razem, błyski na niebie oślepiały, a ściany wody przelewały się przez pokład, zabierając kolejnych marynarzy, których krzyki zlewały się w jedno z potężnym rykiem wiatru i trzaskiem łamanych desek. Sternik zapierał się o rumpel, próbując ustawić kogę dziobem do fal, ale ta sztuka mu się nie udawała. Lada chwila statek miał się przewrócić, a wówczas cała załoga byłaby zgubiona. Kruche istoty ludzkie, tak dumne ze swoich osiągnięć, dufnie mniemające, że są władcami świata, toczącymi między sobą wojny o ziemię i morza, nie miały żadnych szans z rozszałym żywiołem.

Wigbold odmówił ostatnią modlitwę, przeżegnał się i wówczas nastąpił cud. Niebo się przejaśniło, deszcz ustał niemal natychmiast, a wiatr ucichł. Nastąpiła cisza, która aż dudniła w uszach. Marynarze spoglądali na siebie niepewnie, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało, jakby obudzili się z sennego koszmaru.

Od sztormu minęły trzy dni, ale podróż wcale nie przebiegała po myśli szypra i załogi. Wiatr ucichł na dobre, żagiel bezradnie zwisał z rei, a koga prawie w ogóle nie posuwała się naprzód. To powodowało, że dowódca statku – ponury, wiecznie niezadowolony

z życia mężczyzna, który tylko batem umiał wymusić posłuszeństwo – całe dnie chodził rozdrażniony, szukając tylko pretekstu, żeby dać upust złości. I zawsze znajdował jakieś zaniedbania, za które okrutnie karał marynarzy. Nie podobało się to Wigboldowi, ale szyper miał na statku władzę niemal boską.

– Wygląda na to, że czeka nas słoneczny dzień – usłyszał za swoimi plecami. Odwrócił się i zobaczył niskiego mężczyznę o bystrych niebieskich oczach. Hans był jednym z dwóch żaglomistrzów i, według franciszkanina, najsympatyczniejszą osobą na pokładzie. Zawsze gotowy do pomocy innym, co było niecodzienne wśród marynarskiej braci, często zagajał rozmowy, a z jego ust nie schodził uśmiech.

– To prawda – powiedział Wigbold. – Niebo jest zupełnie bezchmurne.

– A to oznacza kolejny dzień bez wiatru – rzekł ze smutkiem marynarz, westchnął ciężko i zmienił temat: – Co ojciec robi na pokładzie o tak wczesnej porze?

– Nie mogę spać.

– Przecież nie kołysze i nie buja statkiem – zdziwił się Hans. – Jest jak na lądzie.

– To jednak cały czas morze.

– Nie lubicie morza, ojczy?

– Morze lubię – odparł franciszkanin. – Jeno nie sądzę, żeby jego przemierzanie było dobrym pomysłem.

Żaglomistrz roześmiał się głośno, zaraz jednak zamilkł, by nie obudzić pozostałych członków załogi. To był ich czas na sen, na odpoczynek przed kolejnym ciężkim dniem. Zaraz zostaną postawieni na nogi i zagonieni do prac, których na okręcie nie brakowało. Sztorm mocno nadwyrężył krenelaże, uszkodził windę do ładowni, pozrywał szoty, więc było co naprawiać. Prace trwały od wschodu do zachodu słońca, a czasami nawet przy świetle pochodni.

Szyper nie dawał marynarzom chwili wytchnienia, więc ci śniali się na nogach. Każda chwila snu była dla nich błogosławieństwem.

– Skąd pochodzisz? – zagadnął mnich, przyglądając się Hansowi. Większość marynarzy była Anglikami zwerbowanymi w Londynie tuż przed wypłynięciem, co było zwyczajową praktyką stosowaną przez Hanzę, ale Wigbold wiedział, chociażby po obco brzmiącym imieniu, że żaglomistrz nie pochodził z Wyspy.

– Z Hamburga. Tam się zaciągnąłem.

– Długo pływasz na „Gwieździe Polarnej”?

– Zbyt długo. – Na ustach człowieka morza pojawił się grymas. – Będzie drugi rok.

– Dlaczego nie odejdziesz?

Na czole Hansa pojawił się głęboki mars.

– Nie mam dokąd – odparł.

– Nie masz rodziny?

– Miałem kiedyś żonę i dziecko.

Szybko opuścił głowę, ale Anglik i tak dostrzegł, że oczy wilka morskiego się zaszklily.

– Co się z nimi stało?

Żaglomistrz milczał długo i franciszkanin myślał, że już nic więcej nie powie.

– Żyliśmy w biedzie, czasami przez kilka dni nie było co do garnka włożyć – zaczął wreszcie mówić. – Pracowałem to tu, to tam. Najczęściej w porcie przy wyładunkach statków, ale panowie hanzeatyccy są skąpi i niewiele płacili. Ledwie starczało na kromkę chleba. Sami chadzają w najlepszych szatach, opychają się zamorskimi specjałami, ale nas, małuczkich, traktują gorzej niżli woły, które zaprzęga się do najcięższej roboty.

Wigbold pokiwał głową. Od czasu, gdy wszedł na pokład „Gwiazdy Północy” i zaczął rozmawiać z marynarzami, wiele dowiedział się o życiu w miastach i kantorach Hanzy. Wszystkie historie były do

siebie bardzo podobne. Patrycjusze bogacili się coraz bardziej, a lud biedniał.

– Pewnego dnia, gdy wróciłem do domu, nasza dwuletnia córeczka nie żyła – głos hamburczyka zaczął się łamać. – Żona tłumaczyła, że dziecko umarło we śnie, bo dużo chorowało, ale ja wiary temu nie dałem...

Zamilkł i podniósł głowę, smutno spoglądając na widnokrąg, ale tak naprawdę patrzył w przeszłość.

– Myślę, że żona ją zabiła.

– Córkę?!

– Tak.

Mnich się przeżegnał.

– Nie mieliśmy co jeść i znikąd nie mogliśmy liczyć na pomoc. Lada dzień właściciel domu miał wyrzucić nas na bruk, bo zalegaliśmy z opłatami od trzech miesięcy.

– To nieludzkie.

– W Hamburgu każdy martwi się, jak przeżyć kolejny dzień, i nikt nikomu litości nie okazuje. Kogo obchodzi robotnik z rodziną, jeśli nawet drobni kupcy, którzy nie są zrzeszeni w gildiach, nie mają za co żyć?

– To straszne – wyszeptał Wigbold i pokręcił głową.

Niemal całe życie spędził za bezpiecznymi murami uniwersytetu, gdzie oddawał się nauce, kontemplacji i modlitwie. Rzadko spotykał się z ludźmi i niewiele wiedział o ich codziennych troskach, nie zdawał też sobie sprawy, jak ciężkie życie wiedli.

– Nikt nie mówił, że będzie łatwo. – Hans wzruszył ramionami.

– Bóg wynagrodzi ci wszelkie cierpienia. Na tamtym świecie.

– Wolałbym otrzymać nagrodę już na tym.

– Niezbadane są wyroki boskie, może będzie ci to dane – rzekł Anglik. – Co się stało potem?

– Pochowaliśmy córeczkę przy kościelnym cmentarzu. Bez

księdza, bo nie mieliśmy grosza przy duszy.

– Przynajmniej leży na uświęconej ziemi.

– To prawda – przytaknął żeglarz i westchnął ciężko. – Nie minął tydzień od śmierci córki, jak żona ode mnie odeszła. Piękna niewiasta z niej była i wielu ostrzyło sobie na nią zęby. Pewnego ranka na targu zwrócił na nią uwagę jakiś bogaty patrycjusz. Już do mnie nie wróciła. Tylko sługę przysłali po jej rzeczy.

– To okropne! Musiałeś strasznie to przeżywać.

– Czy ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Była jeszcze młoda, mogła ułożyć sobie życie z kimś, kto zapewni jej byt. Pomyślałem sobie, że przynajmniej nie będzie głodować. A i będzie ją stać na suknie i biżuterię z bursztynu, o czym zawsze marzyła.

Hans uśmiechnął się i Wigbold po raz kolejny zrozumiał, jak mało zna się na ludziach. Ten człowiek, mimo że żona tak mocno go skrzywdziła, nadal dobrze jej życzył. Nie dostrzegł w nim nienawiści ani żądzy zemsty, których można się było spodziewać.

– Nie trwało to długo. – Twarz hamburczyka ponownie spochmurniała. – Po miesiącu patrycjuszowi znudziła się moja żona i wygnał ją z domu. Biedaczka nie miała odwagi do mnie wrócić, wstyd był zbyt silny...

– Co się z nią stało?

– Tej samej nocy się powiesiła.

– Przykro mi.

– A mnie już nic nie trzymało w Hamburgu. Postanowiłem zaciągnąć się na pierwszy statek, jaki odpływał z portu. Tak się złożyło, że była to „Gwiazda Polarna”. Poznałem marynarski fach, a dziś dobrze mi na morzu. Nie mam do czego wracać.

– Nie chciałbyś spróbować raz jeszcze? Założyć rodzinę, mieć dom?

Hans długą chwilę zastanawiał się, jakby ważył to wszystko.

– Nie – odparł wreszcie. – Tu jest mój dom. Na morzu. Moją żoną jest ta koga, braćmi są marynarze, z którymi cierpię niedolę, a

ojcem...

Zawiesił głos i ponuro spojrział w stronę mostka, gdzie zazwyczaj stał dowódca okrętu.

– Szyper? – zdziwił się Wigbold. – Przecież traktuje marynarzy gorzej niż psy!

Żeglarz wzruszył ramionami.

– Każdy ojciec jest surowy. Nawet ten w niebiosach.

– Ale On jest również miłosierny – rzekł franciszkanin.

– To nasz dowódca i musimy być mu posłuszni. Nie w smak wam ta podróż, wielebny, sami mówiliście, że wolelibyście pozostać w Anglii, ale otrzymaliście polecenie od przełożonych. Każdy z nas ma nad sobą panów. Taki jest porządek rzeczy i niczego nie możemy zmienić.

– Nieprawda!

Mężczyźni odwrócili się i ujrzeli młodzieńca o płowej czuprynie i dużych, błękitnych oczach. Miał na imię John. Zaokrętował się w Londynie i ponoć był to jego pierwszy rejs, jednak bardzo szybko dał się poznać jako świetny marynarz. Nawet sternik, stary wilk morski, musiał przyznać, że chłopak ma smykałkę do tej roboty. Potrafił przewidywać zmiany kierunku wiatru na długo przed tym, zanim żagiel wpadał w łopot, co niezmiernie dziwiło wszystkich. Niektórzy twierdzili wprawdzie, że to żaden dar, a młodzian po prostu bacznie obserwuje chmury, ale wszyscy wróżyli mu szybkie dojście do wyższych funkcji pokładowych. I bardzo go lubili. Oprócz szypra...

Zazdrosny o talent młodzieńca, ćwiczył go na każdym kroku, posyłał do najgorszych prac, przeklinał, wyzywał, bił, a podczas sztormu kazał wspiąć się na maszt i odplątać szoty. Na szczęście Johnowi nic się wówczas nie stało, jakby opatrność nad nim czuwała, żeby w dorosłym życiu wypełnił to, co mu pisane.

– Możemy sami być dla siebie panami – z zapalem rzekł młodzieniec. – I nie mieć bata nad sobą.

– O czym ty bredzisz? – zapytał Hans.

– O buncie!

– Zamilcz, głupcze – wściekle syknął marynarz, oglądając się niespokojnie w obawie, że ktoś ich może podsłuchiwać. Za samo takie gadanie groziła śmierć.

– Czemu mam milczeć, gdy dzieje się jawna niesprawiedliwość? Ile mamy jeszcze cierpieć pod jarzmem tego okrutnika? Zabijmy szypra i przejmijmy statek!

Oczy chłopaka płonęły dziwnym blaskiem i Wigbold pomyślał, że właśnie takie spojrzenie muszą mieć ludzie, którzy nie mają nic do stracenia i są gotowi na wszystko. Czy właśnie tacy jak on rozpalali ognie plebejskich buntów? Czy tacy jak on stawali na czele niezadowolonych w miastach Hanzy?

Franciszkanin słyszał, jak w kantorze londyńskim rozmawiano o tym, co dzieje się na kontynencie. Na Pomorzu i w Meklemburgii patrycjusze, żeby uspokoić nastroje, winę za coraz większą biedę próbowali zwać na Żydów i Słowian. Przez pewien czas to skutkowało i na nich skupił się gniew tłumu. Zdarzały się pogromy, podpalenia domostw i samosądy. Ale wreszcie rozgoryczona biedota zrozumiała, kto jest prawdziwym wrogiem, i zaczęły się trwające po kilka dni bunty, a to oznaczało starcia rozszalałej tłuszczy z wojskiem, spływające krwią ulice i setki pomordowanych.

Wigbold wiedział, że ogień ma to do siebie, że szybko się roznosi, a płomień w zastraszającym tempie ogarniają coraz to nowe obszary. Nie inaczej było z nienawiścią tłącą się w ludzkich sercach, która rozprzestrzeniła się na morzu. Niektóre z buntów na hanzeatyckich statkach kończyły się krwawym pogromem, inne wysadzeniem szypra na ląd i porwaniem żaglowca, ale większość była tłumiona w zarodku. Pochwyceni buntownicy nie mieli żadnych praw, nie stawali przed sądem, tylko natychmiast byli wieszani na rei. Ich śmierć miała stanowić przykład dla innych,

odstraszać i zniechęcać do podobnych czynów. Ale tak się nie działo.

– Życie ci niemiłe, chłopcze? – warknął Hans. – Szyper każe cię obwiesić, gdy tylko usłyszy, co ci chodzi po głowie.

– Nie tylko mnie.

Żaglomistrz uważnie spojrział na Johna.

– O czym ty mówisz?

– Większość załogi myśli tak jak ja – odparł młodzieniec. – Chcemy przejąć „Gwiazdę Polarną”.

– I co dalej? – prychnął hamburczyk.

– Będziemy wieść piracki żywot.

Ostatnie dwa słowa wypowiedział z zachwytem. Wyobrażał sobie, że życie morskogo rozbójnika to pasmo niesamowitych przygód, żeglowania tam, gdzie oczy poniosą, i łupienia złych ludzi. Marzył, że na jednym z napadniętych statków spotka piękną dziewczynę, uwolni ją z rąk ojca tyrana – który w jego wizji przypominał szypra – a ta zakocha się w nim i będą wiedli długie, szczęśliwe życie. Jego wyobrażenia rozwiął rechot Hansa.

– To nie takie proste, jak ci się zdaje – powiedział, gdy już się opanował. – Nie można żeglować bez końca. Każdy statek musi kiedyś przybić do portu, żeby dokonać napraw, zaopatrzyć się w wodę i żywność. A wskaż port, który przyjmie nas z otwartymi ramionami?

John milczał.

– Gdy tylko „Gwiazda Polarna” pojawi się w pobliżu jakiegokolwiek wybrzeża, zaraz zostanie zaatakowana – mówił dalej żaglomistrz. – Piratom nikt nie okaże litości, a każdy chętnie rękę do ich zguby przyłoży. Będziemy wygnańcami skazanymi na żeglowanie do końca naszych dni, co zresztą długo nie potrwa. Prędzej czy później dopadną nas żądni pomsty hanzeaci.

Chłopak opuścił głowę. Jego marzenia rozwiały się niczym dmuchawce na wietrze.

– Przestań myśleć o głupotach, bo sobie biedy napytasz – pouczył go starszy marynarz. – A teraz bierz się do roboty, zanim szyper zobaczy, że się objasz.

Hans i John rozeszli się do swoich obowiązków, a Wigbold został na pokładzie, modląc się i dziękując Bogu za rozsądek żaglomistrza, który przywołał do porządku rozgorączkowanego młodzieńca. Wyglądało na to, że wybił mu bunt z głowy.

Wszystko zaczęło się około południa, gdy słońce stało wysoko na niebie, a pot spływał po obnażonych torsach marynarzy. Statek włókł się niemilosiernie i można było przypuszczać, że w tym tempie dopłynie do Gdańska za miesiąc. Żeglarzom udzieliło się rozleniwienie, więc łazili po pokładzie ospali i niemrawi. Złościło to szypra, który tym bardziej gonił ich do pracy. Wrzeszczał na ludzi, wyzywał ich najwymyślniejszymi obelgami, a wagę swoich słów podkreślał uderzeniami biczka.

– John! – ryknął na całe gardło, a chłopak zaraz stanął przed nim błądy i wyprostowany niczym struna w lutni dworskiego grajka. – Ty niedorajdo! Niezguło! Czarczi pomioście wypadły suce spod ogona!

Wszyscy na „Gwieździe Polarnej” przerwali pracę i spoglądali na dowódcę statku. Nawet marynarze pracujący w ładowni wdrapali się na pokład, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jeszcze nigdy nie widzieli go tak rozwścieczonego. W jego oczach płonęła nienawiść, wypluwał z siebie przekleństwa razem z kropelkami śliny, które bombardowały stojącego naprzeciw Johna. Pobladły młodzieniec nie próbował ich otrzeć, bojąc się nawet drgnąć.

– Co żeś, gamoniu, uczynił? – Szyper wskazał przewrócone wiadro ze smołą. Czarna maź powoli wsiąkała w deski pokładu.

– To nie ja – wydukał chłopak.

– Jak nie ty?! Rano wyznaczyłem cię do smołowania.

– Ale potem kazaliście mi, panie, iść pod pokład i pomóc w

sztauowaniu⁷⁴ ładunku.

– Bzdury opowiadasz!

– Zapytajcie wachtowego, był przy tym. – John wskazał postawnego mężczyznę stojącego przy relingu.

Dowódca kogi uniósł lekko brew.

– Czy to prawda?

– Ja nic takiego nie słyszałem. – Zagadnięty marynarz opuścił głowę. Nie chciał spojrzeć młodzieńcowi w oczy.

Na ustach szypra pojawił się paskudny uśmiech.

– Chciałeś mnie okłamać, chłopcze?

– Nie.

John mocno zacisnął zęby. Kiedy skończył smołowanie, odstawił beczkę na miejsce. Nigdy by jej nie pozostawił na środku pokładu. Podejrzewał, że szyper sam ją tutaj przytaszczył i przewrócił, żeby rzucić na niego winę. To nie byłby pierwszy raz. Młodzieniec jednak milczał, bo wiedział, że cokolwiek powie, obróci się to przeciw niemu. Nie chciał pogarszać swojej i tak już złej sytuacji.

Zebrani wokół ludzie ponuro spoglądali na rozgrywającą się scenę. Współczuli chłopakowi i powoli wzbierał w nich gniew. Marynarzy zazwyczaj radowało, gdy na statku dochodziło do wymierzenia kary. Zawsze było to jakieś urozmaicenie w codziennej monotonii, przerwa w pracy i dobra zabawa. Ale nie na „Gwieździe Polarnej”. Tutaj wszyscy wiedzieli, jakim okrutnikiem jest szyper.

– Nie wypełniłeś mojego rozkazu – dowódca statku wolno cedził słowa, a John niemal fizycznie czuł, jak każde z nich wbija się w jego ciało niczym sztylet. – Za to czeka cię dwadzieścia batów.

Młodzieniec opuścił głowę, w oczach zatańczyły mu łzy. Jego plecy nie zagoiły się jeszcze po ostatniej chłoście. Szyper podniósł rękę i

74 Sztauowanie – czynności polegające na rozmieszczeniu i zabezpieczeniu ładunku na statkach. W zakres sztauowania wchodzi również umocowanie ruchomych przedmiotów, które mogłyby dokonać szkód w czasie przechyłów.

mówił dalej:

– Jednakże ośmieliłeś się zadać kłam słowom dowódcy, co na okręcie jest równoznaczne z buntem. A za to może być tylko jedna kara – zamilkł na chwilę, delektując się przerażeniem chłopaka. – Śmierć!

Przez pokład przetoczył się pomruk niezadowolenia, ale szyper wydawał się tego nie słyszeć.

– To zbyt okrutna kara – Hans stanął w obronie skazańca.

– Śmiesz kwestionować moje rozkazy? Chcesz do niego dołączyć?
Żaglomistrz nie odpowiedział.

– Tak myślałem. – Dowódca wyszczerzył się w uśmiechu. – Powiesić chłopaka na rei!

Nikt się jednak nie ruszył.

– Wy dwaj. – Skinął na dwóch marynarzy. – Rychło!

Ale im niespieszno było do wykonania rozkazu. Ponuro spoglądali na szypra, który dopiero teraz uświadomił sobie, że ma przeciwko sobie całą załogę. W jego oczach pojawił się lęk.

– Słyszeliście, co rzekłem? – jego głos stał się piskliwy. – Wykonajcie rozkaz albo...

– Albo co? – zapytał jeden z marynarzy i ruszył w jego stronę. Za nim poszła reszta załogi.

– To bunt! – krzyknął szyper i zaczął się cofać, aż oparł się plecami o reling. – Daję wam ostatnią szansę – teraz próbował przemawiać łagodnie, jak dobry ojciec do krnąbrnych synów. – Jeszcze nie jest za późno.

Granica jednak została przekroczona. Nie było odwrotu.

– Do morza z nim!

Nieporadnie próbował się bronić, uderzając napastników pięściami i kopiać, ale rośli marynarze chwycili go mocno. Symbolizował dla nich wszystko, czego nienawidzili: podłe życie, biedę i panów hanzeatyckich. Właśnie szykowali się do wypchnięcia

go za burtę, gdy na pokładzie zjawił się Wigbold. Aby ochronić się przed słońcem, schował się w pomieszczeniu na rufie i zapadł w sen. Z drzemki wyrwały go krzyki dochodzące z zewnątrz, więc wyszedł sprawdzić, co się dzieje.

– Stójcie, szaleni! – krzyknął tubalnym głosem, a marynarze posłuchali. – Co chcecie uczynić temu nieszczęśnikowi?

– Śmierć mu się należy – odparł John. – To zły człek.

– I to wam daje prawo zabicia go?

– Na morzu trudno o sądy.

– Zatem niech Bóg go osądzi.

– Mamy mu darować? – zdziwił się chłopak. – Bił nas i katował. Za drobne przewiny chłostał, wielu żeglarzy umarło po wymierzonych razach. Jeszcze więcej kazał powiesić lub do wrzucić morza. To bestia, nie człowiek. Nie jest godny, żeby żyć.

– Każdy ma prawo do życia.

– Mówicie tak, ojczyste, bo śluby składaliście, święty z was mąż i każdego życia jesteście gotowi bronić. Jednakże my wyznajemy biblijną zasadę oko za oko, ząb za ząb.

– Nie powołuj się na Biblię – warknął Wigbold. – Nic z nauk Chrystusa nie pojmujesz.

John wzruszył ramionami, a marynarze ponownie zaczęli wypychać szypra przez reling. Ten szamotał się, krzyczał i błagał o zmiłowanie.

– Jego śmierć sumienia wasze obciążą. – Mnich próbował jeszcze desperacko go bronić. – Okażcie litość!

Nic nie pomogło. Dowódca był już prawie za burtą.

– On ma rację! – krzyknął Hans. – Ostawcie go!

Żaglomistrz cieszył się wielkim poważaniem wśród załogi, więc zaraz wciągnięto ofiarę na pokład. Szyper skulił się w kłębek i zaczął płakać. Nie przypominał już pewnego siebie okrutnika, którego wszyscy się bali.

– Jego śmierć żadnego pożytku nam nie przyniesie, jeno zaspokoimy żądzę zemsty. A potem oskarżą nas o morderstwo.

– To co uczynimy? – zapytał John.

– Dopłyniemy do Gdańska i oddamy go pod sąd. Każdy z nas zezna, jakie okrucieństwa czynił i jak nas traktował. Zostanie mu wymierzona należyta kara.

Marynarze roześmiali się, ale nie było w ich głosach wesołości.

– Naprawdę wierzysz w sprawiedliwość hanzeatyckich sądów? – zdziwił się chłopak. – Jak tylko przybijemy do portu, zaraz nas na szafot zaciągną i niechybnie powieszają za bunt.

Hans westchnął ciężko. Nie sposób było odmówić racji młodzieńcowi. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma drogi odwrotu. Ani on, ani żaden marynarz z „Gwiazdy Polarnej” nie wrócą już do życia, jakie wiedli wcześniej. Niektórzy nigdy nie ujrzą swoich bliskich i przyjaciół.

– Cóż zatem zrobimy?

– Zostaniemy piratami – ucieszył się John. – Widocznie to było nam przeznaczone.

Hamburczyk spoglądał w oczy marynarzy, widząc w nich radość, nadzieję na lepsze życie, chęć przygody. Naprawdę wierzyli, że ich los się odmieni. Możliwe, że kilka miesięcy będą żyć w dostatku za złoto ze zrabowanych statków, lecz żywot piracki nie trwa długo. „A może lepiej zapłonąć krótko i jasno, niczym spadająca gwiazda, niż wieść długie i podle życie?” – pomyślał.

– Zgoda – odparł i zaraz rozległy się wiwaty żeglarzy. – Najpierw jednak dopłyniemy do najbliższego lądu i wysadzimy szypra oraz ojca Wigbolda.

Tego samego dnia zaczęło wiać, jakby opatrność, zadowolona z takiego obrotu sprawy, okazała buntownikom przychylność. „Gwiazda Polarna” szybko dotarła do wybrzeży Danii. Pozostawiono tam szypra, złorzeczącego i wygrażającego pięściami byłym

podwładnym. Nie dołączył do niego franciszkanin. Zżył się z załogą i postanowił pozostać wraz z nią. Stwierdził, że lepiej przysłużyć się Bogu, głosząc Jego słowo wśród pirackiej braci i dbając o to, żeby zbyt wiele zła nie czyniła, niż stawiając nowe budowle ku Jego chwale. Wierzył, że Stwórcę bardziej ucieszy taka postęga.

Piraci chętnie słuchali jego rad, bo chociaż całe życie spędził za murami uniwersytetu, to wiedzę o świecie miał ogromną. Czerpał ją z ksiąg, których zdołał przeczytać setki. Potrafił leczyć uciążliwe choroby, z jakimi zmagali się marynarze na morzu, a obserwując chmury, umiał stwierdzić, czy „Gwiazda Polarna” zbliża się do lądu, czy się od niego oddala, w nocy zaś wyznaczał kierunek żeglugi na podstawie położenia gwiazd. Szybko zaczęto go nazywać „mistrzem sztuk wyzwolonych”, jak miejscy prostaczkowie z lekką pogardą zwykli określać nauczycieli uniwersyteckich, nawet nie wiedząc, co te słowa oznaczają.

Ale talent Wigbolda objawił się również w sztuce wojennej, bowiem jak nikt inny umiał przewidywać zamiary przeciwnika. Twierdził, że to dzięki uważnej obserwacji i znajomości natury ludzkiej, ale marynarze podejrzewali, że potrafi czytać w myślach. Bardzo szybko zyskał poważanie wśród piratów i pomimo że zupełnie nie znał się na żegludze, został ich przywódcą. W sprawach morskich miał wsparcie tak wytrawnego wilka morskiego jak Hans.

U wybrzeży Danii złupili trzy niewielkie okręty i myśleli, aby grasować tam dłużej, ale pewnego ranka Wigbold wyszedł na pokład – twarz miał bladą, a oczy podkrążone, jakby całą noc nie spał – i rozkazał obrać kurs na Morze Bałtyckie. Prosto na Rugię. Na pytania zaniepokojonego Hansa odparł, że miał wizję. We śnie ukazał mu się Jezus Chrystus i rzekł, że właśnie tam ma skierować „Gwiazdę Polarną”, bowiem u brzegów tej wyspy wydarzy się coś ważnego.

Wigbold nigdy wcześniej niczego takiego nie doświadczył i jako człowiek wykształcony sceptycznie podchodził do wszelkich

objawień, jednak jako duchowny musiał je zaakceptować. Wypełni wolę Zbawiciela, pełen wiary, że będzie mu dane dokonać rzeczy słuszných i szlachetnych.



Rozdział 5

Strzałów

Październik 1389 roku

We wtorkowe przedpołudnie wyległo na rynek wielu mieszczan. Było gwarno i głośno. W dzień targowy przybyli kupcy z towarami, okoliczni włościanie z wiktuałami oraz komedianci, którzy liczyli na zarobek. Ciepłe promienie słońca muskały twarze ludzi przechadzających się między straganami. Starzy rybacy, którzy nie wiadomo jakim sposobem potrafili celnie przewidywać pogodę, twierdzili, że to ostatnie tak słoneczne dni tej jesieni, więc tylko patrzeć, jak przyjdą deszcze, a zaraz po nich śnieg i mróz. A zima tego roku miała być wyjątkowo sroga.

Bertram spoglądał przez okno ratusza na tłumy wędrujące po rynku. Na dumnych patrycjuszy spacerujących pod rękę ze swoimi żonami i oceniających wystawione na ladach specjały, na młodzieńców usługujących nadobnym pannom, na kupców zachwalających zamorskie towary. Strzałowscy patrycjusze paradowali po ulicach ubrani niczym książęta, a nie zwykli kupcy. Większość z nich nosiła tuniki podbite futrem z lisa, obcisłe kaftany zapinane na złote guzy, jopule z aksamitu, adamaszku, atlasu i złotogłowi, jakimi nie mogli poszczycić się nawet niektórzy szlachetnie urodzeni. Na to narzucali płaszcze obszyte perłami. Kobiety patrycjuszy nosiły kolorowe spódnice z odważnie wykrojonymi dekolami, a na nich atlasowe, czerwone płaszcze podbijane gronostajami lub jedwabną podszewką. W bogatym

Strzałowie nawet żebracy wyczekujący jałmużny pod kościołem, bezwstydnie wdzięczące się ladacznice i złodzieje czający się w ciemnych zaułkach prezentowali się lepiej niż w innych portach Hanzy. Wulflem był dumny ze swojego miasta i panującego w nim dostatku. Miał nadzieję, że pozostanie tak na zawsze.

Zaraz jednak na jego twarzy pojawił się gniewny grymas. Nawet tutaj dotarły niepokoje, które wstrząsały miastami nadmorskimi. Tylko patrzeć, kiedy i w Strzałowie lud wyjdzie na ulice. A na domiar złego w ostatnich wyborach weszli do rady miejskiej przywódcy pospólstwa – Herman Hosang i Karsten Sarnow, którzy nie kryli, że chcą odsunąć Bertrama od władzy, a wraz z nim bogaczy z gildii. Wulflem musiał mieć na nich oko i to było jednym z głównych powodów wcześniejszego powrotu do Strzałowa. Ale nie jedynym.

Otóż musiał przygotować wszystko na przybycie Katarzyny. Dziewczyna weszła już w odpowiednie lata i wreszcie mógł ubiegać się o jej rękę. Starania nie trwały długo, gdyż Kurt Büllenwaver ucieszył się, że człowiek, który wybawił go z pirackiej niewoli, w dodatku jego wspólnik i jeden z najbogatszych patrycjuszów całej Hanzy, ożeni się z jego córką. Zresztą, od dawna na to liczył, zadbał nawet, żeby Wulflem widywał Katarzynę za każdym razem, gdy gościł w Lubece. Zapraszał wspólnika na wieczery do swojego domu, a gdy spacerował z córką po mieście, niby to przypadkiem zachodził do kantoru, w którym urzędował Bertram. I zacierał ręce, widząc, jak burmistrzowi Strzałowa oczy świecą się na jej widok.

Z kolei sam Wulflem wiedział, że Katarzynie nie przypadł do gustu zamysł wydania jej za niego za męża. I nie dziwił się temu, był przecież trzykrotnie od niej starszy, w dodatku traktowała go niemal jak członka rodziny. Podobno zamknęła się w swoim pokoju, płacząc i grożąc, że prędzej umrze lub pójdzie do klasztoru. Wysłała po tygodniu, gdy porządnie zgłodniała. Pogodziła się z losem, zwyciężył rozsądek, przecież była nieodrodną córką swojego ojca –

twardo stąpającego po ziemi kupca. Zgodziła się nawet popłynąć do Strzałowa, żeby lepiej poznać przyszłego męża. Tu też miały odbyć się ich zaręczyny.

Bertram nie mógł doczekać się ponownego ujrzenia Katarzyny. Nie widział jej blisko od roku i zastanawiał się, czy wydorosła? Czy nabrała kobiecych kształtów? A może nadal jest filigranowa i nieśmiała? Tak bardzo pragnął zatopić się w jej brązowych oczach, dotknąć delikatnych włosów, a gdy już ksiądz ogłosi ich małżeństwo jako zawarte, pozbawić ją dziewictwa.

Przeszył go przyjemny dreszcz, lecz zaraz się opanował. Na to jeszcze przyjdzie czas. Teraz miał do załatwienia inne sprawy, nie tak przyjemne, za to niecierpiące zwłoki.

Westchnął ciężko i odwrócił się do gości, których właśnie wprowadzono do komnaty. Dwóch postawnych mężczyzn spoglądało na niego z góry, do czego hanzeatycki patrycjusz zupełnie nie był przyzwyczajony. Jak przystało na zakonników, ich twarze były okolone brodami, ale na nogach – zamiast mnisznych sandałów – mieli okute żelazem buty, u pasa – zamiast różańców – nosili miecze, a w rękach trzymali przyłbice z pawimi piórami. Na ich nieskazitelnie białych płaszczach widniał czarny krzyż, symbol Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Teutońskiego w Jerozolimie. Krzyżacy.

Po zimnym spojrzeniu bladoniebieskich oczu, w których okrucieństwo mieszało się z dumą, a pogarda z zadziornością, rozpoznał dwóch braci, którym wszyscy wróżyli wielką karierę:

Konrada⁷⁵ i Ulryka von Jungingenów⁷⁶.

Pierwszy z nich, nieco wyższy, szczuplejszy i bardziej flegmatyczny od brata, był podskarbinem na zamku w Malborku. Mówiono o nim, że ma przenikliwy umysł, zdolności dyplomatyczne, a jego wizja państwa zakonnego koncentruje się wokół rozszerzenia wpływów na Bałtyku. Konrad marzył, by w najbliższej przyszłości zakon dorównał na morzu Hanzie i Danii. Bertram wątpił jednak, by udało mu się tego dokonać, bo Krzyżacy nigdy nie byli dobrymi żeglarzami, a na dodatek, chociaż Konrad naciskał na wielkiego mistrza, by ten rozbudował flotę, żaden z krzyżackich dostojników nie popierał go w tym względzie.

Natomiast młodszy z braci, niespełna trzydziestoletni Ulryk, był chyba najbardziej nieokrzesanym rycerzem zakonnym, jakiego Wulflem spotkał. Często wybuchał gniewem, był porywczy i

75 Konrad von Jungingen (1355–1407) – wielki mistrz zakonu krzyżackiego w latach 1393–1407. Pochodził ze Szwabii, do zakonu wstąpił wraz z młodszym bratem Ulrykiem w 1380 roku. Zwolennik ustanowienia dominacji Krzyżaków na Bałtyku (zdobycie Gotlandii, rozbudowa floty), ale – w odróżnieniu od swoich poprzedników i następców – wybrał drogę nie wojny, a dyplomacji. Próbował skłócać ze sobą wielkich książąt litewskich, popierając raz jednego, raz drugiego. Zmarł po długiej chorobie w Malborku. Według Kroniki Gdańskiej umierający Konrad miał ostrzegać dostojników krzyżackich przed wyborem swojego wojowniczego brata Ulryka na następcę, nazywając go „głupcem”.

76 Ulryk von Jungingen (1360–1410) – wielki mistrz zakonu krzyżackiego w latach 1407–1410, brat poprzedniego mistrza, Konrada. Po wstąpieniu do zakonu najpierw rezydował w Człuchowie, potem był komturem Bałgi, a później wielkim marszałkiem i komturem Królewca. Po objęciu urzędu wielkiego mistrza poczynił szereg posunięć na wypadek wojny z Polską i Litwą. Jednym z nich było sprzedanie Gotlandii i skoncentrowanie sił zakonu na odcinku lądowym. W 1409 roku stracił Żmudź i w tym samym roku uderzył na ziemię dobrzyńską, rozpoczynając wojnę polsko-krzyżacką (1409–1411). Zginął w bitwie pod Grunwaldem z rąk przedchorążiegowego chorągwi nadwornej króla polskiego – Mszczuja ze Skrzyńska. Pochowano go w kaplicy św. Anny na zamku krzyżackim w Malborku.

kłótniwy. Pysznił się siłą i sprawnością we władaniu orężem, choć należało oddać mu sprawiedliwości, że wojownikiem był wyśmientym. Reguła zakonna zabraniała dostojnikom uczestniczyć w turniejach, czego Wulflem żałował, bo ponoć w pojedynkach na kopie Ulryk von Jungingen nie miał sobie równych.

Bertram nie lubił obu braci po równi i był zawiedziony, że Konrad Zöllner von Rotenstein wysłał do Strzałowa właśnie ich.

– Wielce jestem rad was widzieć, panowie. – Skłonił się nisko, ale krzyżacy dostojnicy nie raczyli odpowiedzieć równie uprzejmym powitaniem. – Żywię nadzieję, że kwatery wam odpowiada?

– W rzeczy samej – młodszy z zakonników roześmiał się rubasznie. – Gospodyni ma urodziwą córę, która w nocy ochoczo ogrzała me łożę.

– Zamilknij, Ulryku. – Konrad spojrział z politowaniem na brata. Sam wprawdzie nie stronił od swawoli z niewiastami, ale uważał, że jeśli się grzeszy, to przynajmniej nie powinno się tym chwalić. Przeniósł wzrok na burmistrza, mrużąc podejrzliwie oczy, aż Wulflem poczuł ucisk w żołądku. – Wyjaśnij nam, panie Bertramie, czemuż to zwlekasz z wydaniem księcia Warcisława? Zamiast przyprowadzić jeńca na nasz statek, żebyśmy mogli rychło odpłynąć i w państwie zakonnym wymierzyć mu sprawiedliwość, bowiem ten zdrajca i rozbójnik zasługuje na najwyższy wymiar kary, zwodzisz nas już trzeci dzień, podejmujesz wystawnymi obiadami, na których sam się nie zjawiasz, jakbyś nas unikał niczym diabeł święconej wody. Wynajmujesz dla nas kwatery na koszt miasta...

– Nie żebyśmy narzekali. – Wyszczrzył się Ulryk, ale zaraz spoważniał pod wściekłym spojrzeniem brata.

– Oznajmiam ci, panie, że nasza cierpliwość się skończyła – mówił dalej Konrad. – Gdy tylko dzwony kościelne wybiją południe, stawiamy żagle i odpływamy do Gdańska, z księciem Warcisławem na pokładzie lub bez niego. Wielki mistrz będzie bardzo

zawiedziony, jeśli nie ujrzy go w lochu, i raczej nie będzie przychylny twojej prośbie o pomoc w walce z piratami. Zatem jeśli masz coś do powiedzenia, Bertramie, mów teraz, jak na spowiedzi.

Wulflem niespokojnie przełknął ślinę i bezwiednie zaczął bawić się guzem od płaszcza. On – burmistrz jednego z najbogatszych miast Związku Hanzeatyckiego, kupiec cieszący się doskonałą reputacją, patrycjusz zasiadający w radzie, stał zawstydzony przed mnichami, którzy nie dość, że byli o dwie dekady młodszy od niego, to jeszcze zajmowali w zakonie poślednie stanowiska.

– Nie mamy go – wyszeptał tak cicho, że Krzyżacy musieli postąpić krok do przodu, żeby go usłyszeć.

– Co rzekłeś?!

Bertram odchrząknął, zebrał się na odwagę i powtórzył, tym razem głośno:

– Nie mamy księcia Warcisława.

Twarz Konrada poczerwieniała z wściekłości, a Ulryk sięgnął do rękojeści miecza.

– Kłamałeś, żeby zyskać przychylność zakonu?

– Nie! – zaprzeczył, machając rękoma. Mimo zimna panującego w komnacie oblał się potem. Bracia Jungingen byli gotowi zabić go na miejscu, w jego własnej rezydencji, nie bacząc na to, kim jest. – Pokonaliśmy jego flotę i wzięliśmy do niewoli. Ale zdarzył się pewien... incydent.

– Incydent?

Burmistrz Strzałowa spałowiał. Mimo że od owego wydarzenia minęły dwa tygodnie, wstyd nadal go nie opuszczał.

– Załoga jednego z żaglowców podniosła bunt – rzekł po długim milczeniu. – Podczas ucieczki wdarli się na okręt flagowy i odbili więźnia.

Ulryk von Jungingen zaczął rechotać, natomiast Konrad kręcił głową z niedowierzaniem. Bracia spoglądali na Wulflema jak na

pastucha niespełna rozumu.

– Chcesz powiedzieć, panie, że garstka buntowników, dysponująca zaledwie jednym statkiem, zdołała wyrwać Warcisława całej hanzeatyckiej flocie?

Bertram westchnął ciężko i wbił wzrok w kolorowe freski zdobiące ściany komnaty. Młodszy z gości zaczął krztusić się ze śmiechu, podszedł do stołu i sięgnął po dzban wina. Nie przelał go jednak do kielicha, tylko łapczywie pił z naczynia. Opanował kaszel, czknął i przetarł dłonią usta.

– Nic tu po nas, Konradzie – rzekł. – Nadaremno odbyliśmy tak długą podróż. To, co tutaj usłyszałem, potwierdza moje mniemanie o hanzeatyckich panach. To nieudolni głupcy, z którymi nie warto się sprzymierzać. Podobni Żydom, co lichwą się trudnią, i zupełnie niezdatni do wojaczki.

– Masz rację, mój bracie. Nie wróżę dobrze Szwedom w wojnie z Duńczykami, gdy sobie takiego sojusznika znaleźli. Zamiast pomóc, raczej im zaszkodzi.

Roześmieli się i ruszyli w stronę wyjścia.

– Czekajcie! – zawołał Wulfelem. – Obiecuję, że odbijemy Warcisława. Moje okręty pod wodzą Simona van Utrechta przeczesują morze w poszukiwaniu rozbójników. Odnajdą ich!

Konrad odwrócił się, a na jego twarzy próżno było szukać wesołości, która jeszcze przed chwilą rozjaśniała oblicze.

– Znam kapitana van Utrechta z rejs na Żmudzi i nie wątpię, że tego dokona. To człek waleczny, mężny i bardzo niebezpieczny. Szkoda, że żywi do nas niechęć, bowiem zakon zawsze w nim widział jeno przyjaciela i wszystkie winy mu odpuścił.

Krzyżak wzniósł oczy, jakby chciał, żeby Bóg dostrzegł jego miłosierdzie.

– Zgoda, panie Bertramie – powiedział już łagodniej. – Kiedy Warcisław znajdzie się w waszych rękach, jeszcze raz się spotkamy.

Ale tym razem w Malborku. Przeprowadzisz księcia słupskiego w kajdanach przed oblicze wielkiego mistrza.

Dwaj rycerze zakonni opuścili ratusz, a Bertram Wulflem odetchnął z ulgą.

Morze Bałtyckie w pobliżu Wysp Atlandzkich

Listopad 1389 roku

Powiał mroźny wiatr z północy, a stojący na kasztelu dziobowym „Bursztynu” Simon van Utrecht zadrżał z zimna. Szczelniej okrył się płaszczem i z wyrzutem spojrzął na szron osiadły na bukszprycie, relingach, wantach. Doświadczenie wilka morskiego podpowiadało Holendrowi, że nadciąga wyjątkowo ciężka zima. Tylko patrzeć, jak lód skuje Bałtyk i żegluga stanie się niemożliwa. Kapitan zmarszczył brwi. Do tego czasu musiał znaleźć Klause Störtebekera i pozostałych buntowników. W przeciwnym razie będzie musiał czekać aż do wiosny, żeby się z nimi rozprawić.

Hanzeatycka flota powołana do zwalczania piratów została rozwiązana. Większość statków wróciła do swoich portów, by przygotować się do wojny z Duńczykami. Do dyspozycji Wulflema zostało zaledwie osiem okrętów, wszystkie ze Strzałowa. Przeczesały teraz Bałtyk w poszukiwaniu bandy Störtebekera.

Holender skierował flotę najpierw w stronę Pomorza, bowiem założył, że piraci będą chcieli jak najszybciej oddać Warcisława jego poddanym lub Gryfitom panującym w innych pomorskich księstwach. Jednakże pomylił się. W tamtych okolicach nie było po nich śladu.

Postanowił zatem rozdzielić flotę i trzy kogi posłał na wschód, trzy

odesłał na zachód – w razie gdyby Störtebeker próbował przedostać się na Morze Północne – a sam na „Bursztynie” i z jeszcze jednym okrętem popłynął na północ, gdyby piraci próbowali szczęścia w Zatoce Botnickiej.

Niestety, poszukiwania okazały się bezskuteczne i Holender zarządził powrót.

Mijali właśnie Alandy, składające się z kilku tysięcy niewielkich wysepek położonych niedaleko Sztokholmu i stanowiących niejako bramę do Zatoki Botnickiej. Na ich wybrzeżach widać było zarówno osłonięte od wiatru, spokojne zatoki, jak i wysokie skały. Istny labirynt pokrytych mchem i karłowatym lasem, między którymi można było kluczyć całymi tygodniami. Zapuszczali się tam tylko rybacy na niewielkich łodziach, gdyż większe okręty miałyby problem z manewrowaniem. Nawet teraz w oddali dało się dostrzec kilka łajb ciągnących sieci. Simon słyszał, że w tutejszych wodach aż roi się od dorodnych szczupaków.

– Od nawietrznej zbliża się żaglowiec – zawołał marynarz pełniący wachtę na marsie. W van Utrechcie obudziła się nadzieja. Pobiegł do lewej burty i mrużąc oczy, przyglądał się okrętowi płynącemu od wschodu. Jednak im bardziej statek się zbliżał, tym bardziej gasła nadzieja w kapitanie. Teraz już mógł dostrzec, że to koga, a nie wysmykły holk. To nie był „Morski Tygrys”. Westchnął ciężko i już chciał schować się w pomieszczeniu rufowym, żeby chociaż trochę się ogrzać, gdy nagle wachtowy zakrzyknął:

– Ten okręt idzie pod duńskim proporcem!

Dopiero teraz Holender dostrzegł powiewającą na maszcie czerwona flagę z białym krzyżem. Oceniał, że koga niedługo przetnie im drogę. Hanza oficjalnie nie była jeszcze w stanie wojny z Królestwem Danii, ale jej wypowiedzenie było kwestią najbliższych tygodni, więc już teraz dochodziło do starć na morzu. Co prawda, to był tylko jeden statek, a on miał aż dwa, lecz Duńczycy zawsze

dysponowali solidnymi okrętami wojennymi i nie wątpił, że na pokładzie są dobrze wyszkoleni żołnierze. Ponadto szli z wiatrem, a to pozwalało im na większą możliwość manewrów. Simon wiedział, że jeśli dojdzie do walki, nie wyjdą z niej bez szwanku. Duńczycy na pewno zdążyli już ich zauważyć.

– Na stanowiska! – zawołał. – Rychtować broń.

Zbrojni wylegli na pokład, w biegu nakładając kolczugi, lamelki⁷⁷, pancerze z utwardzanej skóry, a na głowy łebki⁷⁸ lub kapaliny. Chwyтали za noże abordażowe i wszelką inną broń. Kuszniccy zajęli miejsca na kasztelach, kryjąc się za krenelażami. Na mars wdrapali się dwaj łuczniccy i już szykowali strzały.

Na drugim hanzeatyckim okręcie równie szybko skończono przygotowania do bitwy. Załogi obu statków w ciszy wyczekiwały na to, co miało się zaraz wydarzyć.

Duńska koga zbliżyła się na tyle, by można było dostrzec zbrojnych stojących przy burcie. Utworzyli ścianę tarcz najeżoną pikami i van Utrecht wiedział, że będzie niezwykle trudno się przez nią przebić. Hanzeatyccy marynarze byli dobrymi żołnierzami, ale daleko im było do karności i doświadczenia bojowego Duńczyków. Królowa Małgorzata – w przeciwieństwie do patrycjusza Hanzy – ciągle prowadziła jakieś wojny.

Okręty zdążyły ku sobie. Zbrojni odczuwali coraz większy niepokój. Zaraz rozpocznie się ostrzał, grad bełtów zasypie pokład, pociski wystrzelone z katapult druzgotać będą krenelaże, okute belki miażdżyć ludzi, a w powietrze wzbiją się krzyki umierających.

77 Zbroja lamelkowa – uzbrojenie ochronne, wywodzące się od pancerza luskowego. Zbudowana była z setek podłużnych płytek, zbrojników, wykonanych z żelaza, brązu, skóry lub rogu. Przepuszczalnie wynaleźli ją i rozpowszechnili Asyryjczycy. Prostota konstrukcji przy jednoczesnej dobrej ochronie spowodowała jej wielowiekową popularność zarówno w Azji, jak i w Europie.

78 Łebka – hełm otwarty, stożkowy. Dobrze chronił głowę, nie ograniczając pola widzenia.

Simon zwlekał z wydaniem rozkazu ostrzału, czekając na ruch przeciwnika. Łudził się jeszcze, że duńska koga zrobi zwrot i odpłynie. Holender nie chciał wdawać się w walkę, gdyż jego głównym celem było pojmanie Störtebekera, odbicie księcia Warcisława i odzyskanie „Morskiego Tygrysa”.

Duński sternik nieznacznie zmienił kurs i teraz jego statek płynął równolegle do hanzeatyckich kog. Van Utrecht wznosił rękę, gotów w każdej chwili wydać rozkaz ataku, ale nadal zwlekał, mając nadzieję, że obejdzie się bez rozlewu krwi. Na kasztelu wrogiego okrętu dostrzegł żołnierza w lepszym niż inni pancerzu i wydającego rozkazy, więc domyślił się, że to szyper. Nagle ich spojrzenia spotkały się i teraz patrzyli na siebie surowo, próbując ocenić jeden drugiego, zbadać, z jakim przeciwnikiem mają do czynienia.

Tymczasem zbrojni zaczęli się niecierpliwić. Simon wiedział, że zaraz ktoś nie wytrzyma, zwolni cięciwę łuku lub naciśnie spust kuszy. A wówczas nie będzie odwrotu, rozpęta się piekło.

– Porozmawiamy?! – krzyknął w stronę dowódcy wrogiego okrętu, a tamten skinął głową.

Jakiś czas później wszystkie trzy statki stanęły na kotwicy, a van Utrecht podjął wieczerzą duńskiego oficera. Mężczyźni usiedli w pomieszczeniu rufowym „Bursztynu”, delektując się dobrym winem, za to ledwie przełykając nie najlepsze jedzenie z okrętowych zapasów. Jedli gulasz z rozgotowanego suszonego mięsa z dodanymi doń grochem, soczewicą i kaszą. Przed drzwiami czekała eskorta złożona z pięciu duńskich żołnierzy, którzy podejrzliwie spoglądali na hanzeatyckich marynarzy. Ci zaś powstrzymywali się od kąśliwych uwag i zaczepek, bo chociaż nie pałali miłością do Duńczyków, zwyczaj morski wymagał okazywania gościom szacunku.

– Nie spodziewałem się duńskiego okrętu tak daleko na północy –

rzekł Holender, uważnie obserwując szypra. Był to młody mężczyzna o jasnych włosach i surowych rysach twarzy. – Czego tu szukacie?

Oficer uśmiechnął się z przekąsem.

– Dobrze wiesz, kapitanie.

– Nie mam pojęcia – odparł van Utrecht z udawanym zdumieniem.

– Oświeć mnie z łaski swojej.

Gość odstawił pusty talerz po gulaszu, sięgnął po kielich z winem i upił spory łyk.

– Nie wierzę, że do Strzałowa nie doszły wieści o wojnie.

– Tam może doszły... – Simon nie chciał zdradzać, ile wie, licząc na to, że usłyszy o czymś nowym – ...ale ja od kilku miesięcy jestem na morzu i rzadko bywam w portach. Rad będę usłyszeć od ciebie, jak sprawy się mają.

– O bitwie pod Falköping słyszałeś?

– Obiło mi się o uszy.

– Nasze wojska pokonały tam zaciężną armię Albrechta, a sam książę dostał się do niewoli. I wydawało się, że wojna skończona, bowiem wszystkie szwedzkie miasta i prowincje złożyły hołd królowej Małgorzacie. Tak się jednak nie stało.

Duńczyk ponownie sięgnął po wino.

– Sztokholm postanowił stawić opór.

– Zatem nadal trwa wojna między Szwecją a Danią.

– Nie tylko między Szwecją a Danią – rzekł oficer z wahaniem. – Mieszczanie Sztokholmu zwrócili się o pomoc do Hanzy...

Simon lekko uniósł brew.

– I?

– Hanza udzieliła im poparcia.

– Można zatem rzec, że jesteśmy wrogami.

– Na to wygląda – odparł szyper, z obawą spoglądając na Holendra.

– Jednakże nie szukam z tobą zwady.

– Jesteś moim gościem i nic ci tu nie grozi.

Oficer skinął głową i chociaż nie dał tego po sobie poznać, odetchnął z ulgą.

– Ale nadal nie uzyskałem odpowiedzi na moje pytanie – rzekł van Utrecht.

– Na jakie pytanie?

– Co tutaj robicie?

– Aha. – Uśmiechnął się Duńczyk i sięgnął po miodowy placek łączyenny. – Nasza flota dwie niedziele temu wyruszyła na Sztokholm. Ponad setka statków obciążonych żołnierzami i sprzętem oblężniczym. Ponadto okręty wojenne, takie jak mój, przeznaczone do blokady miasta. Powiadam ci, kapitanie, Sztokholm nie przetrwa nawet miesiąca.

Mówiąc to, rozparł się wygodnie na siedzisku. Rozpierała go duma z przynależności do tak potężnej armii. Holender wiedział jednak, że nic nie trwa wiecznie. Dzisiejsi zwycięzcy następnego dnia mogą ponieść druzgocącą klęskę. Simon uważał, że świat zawsze pozostaje w równowadze i prędzej czy później upokarza wielkich.

– Jesteście pewni siebie – rzekł. – Ojciec królowej, Waldemar Atterdag, po tym, jak zdobył Gotlandię, też uchodził za niezwyciężonego. Mocno się wówczas przeliczył. Został pokonany przez Hanzę.

Duńczyk w odpowiedzi wzruszył ramionami. Van Utrecht w zamyśleniu pogładził się po bliźnie na policzku.

– Ale to nadal nie wyjaśnia waszej obecności przy Wyspach Alandzkich.

– Sztorm – odparł oficer. – Dopadła nas burza tak wielka, że z eskadry połowa okrętów od razu poszła na dno, a resztę zniosło na północny-wschód. Nie wiem, co się stało z pozostałymi. Naprawiliśmy uszkodzenia i teraz płyniemy do Sztokholmu, żeby dołączyć do swoich. Ot, cała nasza historia.

Kapitan pokiwał głową. Morze bywało okrutne i wielu śmiazków straciło życie podczas prób jego ujarznienia. Jednak z każdym kolejnym rokiem widać było postęp w sztuce żeglarskiej, na wody wypływały coraz doskonalsze statki i Simon wierzył, że wyprawy morskie staną się o wiele bezpieczniejsze.

– Spotkaliście jakieś żaglowce na swojej drodze?

– Czemu pytasz? – Duńczyk zmrużył oczy.

– Ścigam niejakiego Klause Störtebekera – odparł van Utrecht. – Porwał statek należący do Hanzy i wraz ze swoimi kompanami trudni się rozbójniczym rzemiosłem.

– Żadnych piratów nie napotkaliśmy. – Młody oficer pokręcił głową. – Jeno kilka łodzi rybackich i jeden statek handlowy płynący pod duńską chorągwią.

– Dla niepoznaki mogli mieć wciągnięty wasz proporzec – rzekł Holender. – Co to był za żaglowiec?

– Zwykła koga, jakich mnóstwo pływa po Bałtyku.

– To nie oni – zmarkotniał Simon. – Ja szukam dwumasztowego holku o nazwie „Morski Tygrys”.

– Nie. Takiego nie widzieliśmy. Przykro mi, że nie mogłem pomóc.

– Niepotrzebnie – odparł Holender. – Prędzej czy później dopadnę łotra, a wówczas niech Bóg się nad nim zlituje.

Duńczyk się uśmiechnął.

– Życzę powodzenia, kapitanie – rzekł i podniósł się z siedziska. – Na mnie już pora. Dziękuję za gościnę.

Van Utrecht wstał i pożegnał oficera. Po jego wyjściu do pomieszczenia wszedł szyper „Bursztynu”, którego Holender przywołał.

– Panie?

– Każ stawiać żagle i obrać kurs na Strzałów – rozkazał. – Wracamy do domu. Czas szykować się do wojny.

– A Störtebeker?

Holender mocno zacisnął pięść.

– Zapewne jest już na Morzu Północnym.

Morze Bałtyckie

Listopad 1389 roku

– Morze Północne – rzekł Gödeke, opierając się o reling. – Właśnie tam powinniśmy płynąć. Przedostaniemy się przez cieśninę Pod Wirowymi Plażami⁷⁹, opłyniemy Zelandię i Jutlandię, a potem całe morze stoi przed nami otworem. Czekają na nas bogate łupy.

– Nie! – ostro odparł Störtebeker. Podniósł głowę i spojrzął na rozgwieżdżone niebo. W bezksiężycową noc doskonale widoczne były gwiazdne konstelacje, zatem rudowłosy olbrzym próbował rozpoznać bohaterów z greckiej mitologii: Perseusza wyciągającego rękę ku Andromedzie, którą uwolnił od morskiego potwora, próżną królową Etiopii, Kasjopeję, jej męża Cefeusza i Pegaza szybującego nisko nad widnokregiem.

Klaus uśmiechnął się na wspomnienia zasłyszanych w dzieciństwie z ust ojca opowieści o tych wszystkich bohaterach. Przymknął powieki, wracając do dawnych czasów, do rodzinnego domu i najbardziej radosnego okresu życia. Otoczony miłością szlachetnie urodzonych rodziców, opieką służby i bogactwem, był pewien, że świat to bezpieczne miejsce. Lecz pewnej nocy został odarty ze złudzeń. Wszystko zostało mu odebrane.

Gwałtownie otworzył oczy. Teraz nie chciał wracać do ponurych wspomnień.

⁷⁹ Cieśnina Pod Wirowymi Plażami – cieśnina Sund, oddzielająca duńską wyspę Zelandię od Skanii. Łączy Morze Bałtyckie z cieśniną Kattegat i Morzem Północnym.

Po prawej burcie, wysoko na niebie, świeciła Gwiazda Polarna, od wieków wskazująca żeglarzom północ. Ale „Morski Tygrys” płynął na wschód.

Meklemburski holk, brawurowo uprowadzony z samego środka hanzeatyckiej floty, pruł fale, które wydawały się teraz czarne jak smoła do uszczelniania kadłubów. W nocy zazwyczaj nie żeglowano – statki dobijały do bezpiecznych brzegów, gdzie czekali do wschodu słońca. Szyprowie obawiali się zgubić kurs, a zabobonni marynarze lękali się morskich potworów, które w pełnych grozy opowieściach czyhały na ich nędzne życie.

Jednakże „Morski Tygrys” musiał żeglować również w nocy, bo jego załoga została wyjęta spod prawa. Piraci nie mogli zawinąć do żadnego z portów, bo zaraz rajcy miejscy wydaliby ich w ręce sprawiedliwości. Z kolei w małych zatoczkach strach było kotwiczyć, gdyż nastąpiły takie czasy, że nawet rybacy trudnili się rabunkiem.

Störtebeker przeniósł spojrzenie na przyjaciela. W blasku pochodni rozmieszczonych na pokładzie dostrzegł jego zafrasowane oblicze.

– Na Bałtyku mamy większe możliwości – rzekł tym razem łagodniej.

– Możliwości?! – obruszył się żaglomistrz. – Tutaj nie jesteśmy bezpieczni. Cały czas depcze nam po piętach hanzeatycka flota, a znając Wulflema, tak łatwo nam nie odpuści. Z każdym dniem rośnie potęga morska Krzyżaków i tylko patrzeć, jak również oni zaczną ścigać piratów. Ponadto trwa wojna między Danią a Szwecją. Chcesz znaleźć się między młotem a kowadłem?

– I to są właśnie te możliwości, o których wspomniałem. – Na obliczu Klausego pojawił się uśmiech. – Tam, gdzie toczy się wojna, jest fortuna do zdobycia.

– Jesteś szalony! – prychnął Gödeke. – Doprowadzisz nas wszystkich do zguby.

Olbrzym wzruszył tylko ramionami.

– A kto chciałby żyć wiecznie?

– Nie wolno ci tak ryzykować! Kto dał ci prawo szafowania losem całej załogi?

Klaus zerknął groźnie.

– Wszyscy byli zgodni co do tego, żebym został przywódcą – rzekł wolno, cedząc słowa, i sięgnął do rękojeści miecza. – Chcesz to podważyć?

Michels wziął głęboki oddech.

– Nie będę się z tobą bił – odparł. – Zrobisz, co uważasz za słuszne. Jednakże pamiętaj, od czego uciekliśmy. Od władzy jednego człeka nad drugim. Hanzeaci byli panami naszego życia i śmierci. Teraz ty chcesz ich zastąpić?

Störtebeker przez chwilę mrużył oczy. Wreszcie puścił rękojeść broni.

– Masz rację, przyjacielu – westchnął ciężko. – Tak nie można. Zwołaj załogę.

– Po co? – zdziwił się żaglomistrz.

– Ich zapytamy o zdanie. – Uśmiechnął się rudowłosy. – Na tym okręcie każdy ma równe prawa i może się swobodnie wypowiedzieć. Niechaj zadecyduje większość.

Zebranie całej załogi nie trwało długo, bo pomimo nocnej pory większość marynarzy grała w kości, gawędziła lub posilała się po ciężkim dniu pracy. Nie minęły cztery pacierze, a na śródokręciu zebrały się dwa tuziny mężczyzn i otoczyły Klause. Na stanowiskach pozostali jedynie wachtowi, ale i oni mogli usłyszeć, co ich herszt ma do powiedzenia.

Na pokład wyszedł nawet Warcisław, który chociaż teraz był jeńcem piratów, cieszył się większą swobodą niż w hanzeatyckiej niewoli. Störtebeker stwierdził, że więzień i tak nigdzie nie ucieknie, bowiem wokół tylko woda, a nie godzi się tak

znamienitego szlachcica trzymać w kajdanach. Książę słupski oparł się o maszt, założył ręce na piersi i z zaciekawieniem przyglądał się Klausowi. Żywo miał jeszcze w pamięci dzień swojego pojmania przez hanzeatów, gdy rudowłosy demon wdarł się na pokład jego flagowego okrętu.

Wspomnienie upokorzenia bolało niczym cierń wbity w serce, a rumieniec wstydu oblewał policzki, ale książę musiał przyznać, że czuje szacunek i podziw dla tego człowieka. Z dwojga złego wolał być w niewoli u niego niż u Wulflema, który nie szczędził mu zniewag i traktował gorzej niż psa. Burmistrz Strzałowa chciał go oddać Krzyżakom, a Störtebeker obiecał powrót do domu. Warcisław ciekaw był tylko, czy ktoś zgodzi się zapłacić za niego okup? Może teraz będzie miał okazję się tego dowiedzieć?

– Minęły dwie niedziele od czasu, gdy porzuciliśmy hanzeatycką służbę i wzięliśmy swój los we własne ręce – rzekł Klaus donośnym głosem. – Teraz jesteśmy wolni, nie mamy nad sobą panów i sami możemy decydować, gdzie chcemy płynąć.

Powiódł spojrzeniem po twarzach zmęczonych marynarzy. Od czasu ucieczki co jakiś czas na widnokręgu pojawiały się hanzeatyckie statki i trzeba było szykować się do boju. Na szczęście „Morski Tygrys” był szybszy od pękatych, powolnych kog i zawsze umykał pogoni. Niemniej jednak wszyscy byli zmęczeni i podenerwowani.

– Możemy robić to, co tylko zapagniemy – mówił dalej Klaus. – Nic nie jest dla nas niemożliwe. Mamy wspaniałą okręt i doskonałą załogę.

Odpowiedziały mu okrzyki pełne entuzjazmu.

– Niektórzy z nas chcą przedostać się na Morze Północne i tam trudnić się rozbójniczym rzemiosłem. – Spojrzał na zachmurzonego Michelsa, który stał oparty o reling. – Dzięki temu umkniemy hanzeatyckiej pogoni, a ponadto czeka tam na nas sporo

angielskich, francuskich i frygijskich statków wypełnionych po brzegi towarami. Jeśli naprawdę tego chcecie, możemy zaraz zmienić kurs i pożeglować na północny-zachód.

Marynarze pokiwali głowami z zadowoleniem. Oczywiście wyobraźni już widzieli siebie odzianych w bogate szaty, z sakwami napełnionymi klejnotami i złotymi monetami, zamawiających w tawernach najlepsze trunki i skupiających spojrzenia portowych dziwek... o ile los będzie im sprzyjał i dożyją chwili, gdy nadejdzie okazja wydania zrabowanego majątku.

– Ale czy tego chcecie? – spytał rudowłosa, lekko unosząc brew. – Kryć się w nieznanym wam cieśninach i zatokach? Drzeć z zimna na mroźnej Północy, wiedząc, że daleko zostawiliście domy? Na zawsze chcecie pozostać wygnańcami?

Ludzie spoglądali po sobie niepewni, jeszcze nie wiedząc, co chce im powiedzieć. Ufali Störtebekerowi, który dał się poznać jako znakomity żeglarz i wojownik. Ponadto był bystry, potrafił planować, zdawał się górować nad resztą walorami umysłu i nikt nie miał wątpliwości, że to on powinien dowodzić. Teraz zaś poddawał w wątpliwość ich oczywisty wybór. Gdyby ktoś inny był na jego miejscu, nie wahałby się ani chwili – „Morski Tygrys” wykonałby zwrot i z nocną bryzą popłynął ku północnemu-zachodowi. Ale to był Klaus Störtebeker – człowiek, który wykradłby ogień z samego piekła.

– A mamy wybór? – zagadnął jeden z marynarzy.

– Zawsze jest jakiś wybór.

– Co proponujesz?

Olbrzym uśmiechnął się chytrze.

– To prawda, że na Północy można się nieźle wzbogacić, rabując Anglików i Francuzów, ale to tutaj jest największa fortuna do zgarnięcia – rzekł. – Morzem Wschodnim przebiegają główne szlaki Hanzy. Pękate kogi wyładowane po brzegi towarami pływają od

Lubeki po Nowogród, od Gdańska po Sztokholm.

– Mamy zadrzeć z Hanżą?!

– Przecież już to uczyniliśmy. – Klaus mrugnął łobuzersko okiem. – I tak nad naszymi głowami wisi katowski topór.

– Ale nie musimy się sami pod niego pchać – rzekł Gödeke. – Na mój rozum to zły pomysł.

Żaglomistrza poparła większość marynarzy. Störtebeker uważnie im się przyglądał, a w jego oczach tańczyły ogniki. Mogłoby się wydawać, że to wszystko bawi Klause, że całe życie traktuje jak grę w kości, w której można co najwyżej stracić kilka grzywien. Wzniósł dłoń i naraz wszystkie rozmowy ustały.

– Niedługo na morzu zapanuje zamęt – rzekł. – Hanza ruszy na pomoc Szwedom w wojnie przeciw Danii. Zamiast pilnować szlaków handlowych, hanzeatyckie kogi będą walczyć z okrętami królowej Małgorzaty. A gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. W czasie wojny rodzą się największe fortuny. Możemy wiele zyskać.

– Ale równie wiele stracić – wszedł mu w słowo Michels. – Jakże mamy sami walczyć przeciw takiej potędze? Cóż poradzi jeden statek, nawet tak znakomity, przeciw całej flocie Hanzy?

– A kto rzekł, że będziemy sami?

Słowa rudowłosego zawisły w powietrzu i dopiero po chwili ich sens dotarł do zebranych marynarzy.

– Jakże to? – spytał cieśla okrętowy. – Skąd weźmiemy sojuszników?

– Wielu jest takich jak my – odparł Klaus. – Buntowników, którzy wyłamali się spod władzy hanzeatyckich panów, bo mieli dosyć ucisku i niesprawiedliwości. Błąkają się teraz po morzu, trudniąc się piractwem. Każdy z nich osobno stanowi łatwy łup, ale gdyby ich zjednoczyć? Odszukajmy ich i połączmy siły!

– Chcesz założyć rozbójnicze bractwo? – roześmiał się Gödeke.

Klaus wymownie milczał. Żaglomistrz pokręcił głową.

– Naprawdę o tym myślisz – rzekł. – Czyś ty do reszty zdurniał? Jak to sobie wyobrażasz?

– Gdybyśmy się zjednoczyli, rychło stalibyśmy się morską potęgą – odparł Störtebeker. – Bylibyśmy wystarczająco silni, by wywalczyć sobie kawałek ziemi, jakąś niewielką osadę z portem, skąd wyruszałibyśmy na wyprawy wojenne. Wspólne planowanie, równy podział łupów...

– Mrzonki! – prychnął Michels. – Pierwej by się wszyscy pozabijali, niżli coś wspólnie przedsięwzięli. Taka jest natura ludzka.

– Na „Morskim Tygrysie” wszystko wspólnie planujemy i dobrze nam to wychodzi. Jeśli na jednym statku jest to wykonalne, dlaczego nie w całej flocie?

– Zdurniałeś niczym otrok, który po raz pierwszy ujrzał gołą babę.

– Warto spróbować – dalej przekonywał Klaus. – Inaczej zostaniemy wiecznymi tułaczami. Moglibyśmy mieć domy, żony, dzieci. Mielibyśmy do czego wracać. Wywalczymy sobie to, co się nam należy.

Wskoczył na reling, jedną ręką trzymał się wanty, a drugą zacisnął w pięść.

– Odbierzemy panom hanzeatyckim bogactwa, przywileje i spokój. Ledwie wychylą nos ze swoich portów, zaraz na nich spadniemy jak jastrząb na ofiarę. Już wkrótce będę się nas bać, tak jak my ich przez lata. Nadszedł czas zemsty!

W oczach Klause płonął ogień. Gödeke zrozumiał, że już nikogo nie przekona do swoich racji i marynarze pójdą za tym rudowłosym olbrzymem choćby do piekła. Rozległy się wiwaty i głośne skandowania.

– Prawo jest po stronie panów hanzeatyckich, ale po naszej jest Bóg – mówił dalej Störtebeker. – Dzielić łupy będziemy równo i sprawiedliwie. Nazywać nas będą wrogami ludzi i przyjaciółmi Boga.

W nocne niebo ponownie wzbily się triumfalne okrzyki, jakby właśnie w gruzach legła cała Hanza, a nie była to tylko przemowa dowódcy jednej pirackiej łajby.

Gdy ludzie, pokrzepieni na duchu i przekonani, że oto świat stoi przed nimi otworem, udali się na spoczynek, żaglomistrz podszedł do Klausea.

– Jeśli mamy zamiar pływać po morzu w poszukiwaniu innych podobnych nam straceńców, będziemy potrzebować wiele złota.

– Zdobędziemy je, sprzedając towary zrabowane na hanzeatyckich statkach.

– To za mało. Potrzeba nam będzie naprawdę dużo złota. – Zasmucił się Michels. – Będziemy musieli płacić nie tylko za drewno, wodę, pożywienie, lecz także za ludzkie milczenie.

– Nie martw się, przyjacielu – rzekł Störtebeker z zagadkowym uśmiechem. Brodą wskazał schodzącego pod pokład księcia Warcisława. – Znam kogoś, kto zapłaci za niego sowity okup.



Rozdział 6

Morze Bałtyckie w pobliżu Rugii

Listopad 1389 roku

Z Lubeki do Strzałowa można było dostać się lądem, ale podróż taka trwałaby dłużej niż rejs morski. Na wodzie nie trzeba było kluczyć traktami, nadrabiać drogi podczas omijania dużych miast ani zatrzymywać się na postojach, żeby konie mogły wypocząć. I chociaż Bałtyk bywał niebezpieczny podczas jesiennych sztormów, a na szlakach grasowali piraci, Kurt Büllenwaver zdecydował się posłać swoją córkę właśnie statkiem.

Gdy Bertram Wulflem poprosił go o przysłanie Katarzyny – bowiem dobrym zwyczajem było, żeby narzeczeni mogli lepiej poznać się przed ślubem – nie wahał się ani chwili, wsadził córkę na „Białą Damę” i kazał szyprowi co rychlej obrać kurs na Strzałów. Obawiał się, że jego wspólnik rozmyśli się i z zaaranżowanego małżeństwa, przynoszącego lubeckiemu kupcowi prestiż i wielkie profity, będą nici. Tylko Katarzyna nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

Dziewczyna stała na kasztelu dziobowym „Białej Damy” szczerze okryta płaszczem, pozwalając jednak, żeby wiatr rozwiewał jej jasne włosy. Nie okryła głowy chustą ani nie założyła toczenicy⁸⁰. Tutaj, gdzie nie widziały jej bogobojne mieszcзки, mogła sobie na to pozwolić. Cieszyła się chłodnymi podmuchami wiatru na twarzy,

⁸⁰ Toczenica – ozdoba głowy. Skręcona i obwiązana w okrąg chusta. Symbol stanu panińskiego.

szumem morza i kropelkami wody od czasu do czasu obryzgującymi jej twarz. Kto wie, czy to nie ostatnie przyjemności, jakie ją w życiu czekały?

Katarzyna była nieszczęśliwa.

Miała wyjść za mąż, a nie była na to gotowa. Ledwie przestała być dzieckiem i w głowie jej były gry oraz zabawy, a nie miłosne uciechy. Nie znaczy to, że nie spoglądała z ciekawością na ładnych, dobrze zbudowanych chłopców. Co więcej, coś się w niej wówczas budziło, czuła ciepło w dole brzucha, niepokojące drżenie i dziwne pragnienie. A wieczorami z zapartym tchem słuchała niani, która opowiadała bajdy o wielkich miłościach, szalonych romansach – i wtedy tak bardzo chciała być jedną z bohaterek tych opowieści. Marzyła o przystojnym młodzieńcu, który ją uratuje przed jakimś – sama nawet nie wiedziała jakim – zagrożeniem, weźmie w ramiona i złoży długi pocałunek na ustach.

Ale nikt nie uratuje jej przed tym, co ją czekało.

Posmutniała, spoglądając na falujące morze i zastanawiając się, czy się do niego nie rzucić? Niechaj ją pochłonie, wciągnie w błękitne odmęty i na zawsze pozbawi tchu. To byłoby lepsze niż małżeństwo z człowiekiem, którego nie kochała i który w niczym nie przypominał młodzieńca z jej wyobrażeń. Bertram Wulfem był dla niej obrzydliwym starcem. Nie znosiła obleśnego spojrzenia, jakim ją obdarzał, cuchnącego oddechu, który czuła, gdy się ku niej nachylał, żeby wyszeptać pełne miłości – w jego mniemaniu – słówka. Nie cierpiała też jego bezwstydnego ocierania się o nią. Nie wyobrażała sobie oddawania mu się co noc. Gdy dowiedziała się, że ma wyjść za niego, zrozumiała, że czeka ją życie pełne upokorzeń. Żony hanzeatyckich panów musiały być im we wszystkim posłuszne i nie mogły decydować o własnym losie. Wiedziała, że z daleka od domu rodzinnego, od tego, co dotychczas znała, będzie bardzo samotna i nieszczęśliwa.

Po policzku dziewczyny popłynęły łzy.

Już jutro „Biała Dama” dopłynie do Strzałowa i Katarzyna straci całą nadzieję. Pozostało jej modlić się o cud. Zmówiła pacierz, oddając się w opiekę swojej imienniczce, świętej Katarzynie Aleksandryjskiej⁸¹, która złożyła śluby czystości i w wieku zaledwie osiemnastu wiosen poniosła męczeńską śmierć. Jednakże śmierć nie była żadnym rozwiązaniem, bowiem dziewczyna chciała nacieszyć się światem i życiem, które dopiero co zaczynała poznawać.

Otarła łzy, zła na siebie za chwilę słabości. Była przecież córką hanzeatyckiego kupca i odziedziczyła po nim spryt oraz umiejętność kalkulacji zysków i strat. Uznała, że obecnie i tak nie może nic zrobić, ale poprzysięgła sobie, że znajdzie sposób, żeby wyrwać się spod władzy przyszłego męża. A wówczas będzie żyć tak, jak ma na to ochotę.

Uśmiech rozjaśnił jej twarz, a w brązowych oczach pojawił się drapieżny błysk, który czynił ją piękną i groźną zarazem. Gdyby Wulflem wiedział, jakie myśli kłębią się w głowie Katarzyny, może odstąpiłby od małżeństwa, bowiem był przekonany, że bierze sobie za żonę uległą młodkę, a nie niebezpieczną tygrysicę, gotową wyszarpać sobie pazurami drogę do wolności.

Zatopiona w ponurych rozważaniach, dopiero teraz spostrzegła nagły ruch na statku. Marynarze biegali po pokładzie, wykonując polecenia szypra, zbrojni zakładali rynsztunek, kusznicy zajmowali pozycję przy krenelażach. Obok niej stanął wąsaty mężczyzna

81 Katarzyna z Aleksandrii (ok. 282–300) – męczennica chrześcijańska. Według tradycji była bogatą i wykształconą chrześcijanką z Aleksandrii, która przyjęła śluby czystości. Poniosła śmierć przez ścięcie w wieku 18 lat. Wyrok zapadł po dyspucie religijnej, w której Katarzyna okazała się bieglejsza od pięćdziesięciu mędrców niechrześcijańskich, część z nich nawracając. Niezadowolony z takiego obrotu sprawy cesarz skazał ją na śmierć. Prawdopodobnie za podstawę tej legendy posłużył zyciorys pogańskiej filozofki Hypatii z Aleksandrii (IV–V wiek).

odziany w kolczugę i uzbrojony w ciężki topór.

– Co się dzieje? – spytała.

Nie odpowiedział, wskazał tylko coś przed dziobem okrętu. Podążyła za jego palcem i ujrzała płynący ku nim statek. To była zwykła kupiecka koga, jakich wiele widywała w porcie Lubeki. Wzruszyła ramionami zdziwiona, że żaglowiec wywołał takie poruszenie wśród załogi. Przecież to nie pierwszy okręt, jaki spotkali w drodze do Strzałowa. I zapewne nie ostatni.

– Niech się panienka lepiej schowa pod pokład – burknął mężczyzna.

– Dlaczego?

– Obawiam się, że to piraci.

Lekko przechyliła głowę, uważnie wpatrując się w płynącą kogę. W jej oczach nie było lęku, tylko ciekawość i pragnienie przygody.

– Po czym to wnosicie?

– Na żaglu ma wymalowaną zieloną koniczynę – odparł. – To zapewne „Święty Patryk”, który przed niespełna miesiącem wyruszył z Wismaru i wszelki śluch po nim zaginął. Niektórzy powiadają, że zatonął podczas sztormu niedaleko Gotlandii, inni, że załoga została piratami.

– A może przetrwali burzę i teraz wracają do portu?

– Może – z powątpiewaniem rzekł wążacz. – Tylko dłaczego na ich maszcie nie powiewa żaden proporzec?

Katarzyna zbladła, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak wielkie grozi jej niebezpieczeństwo. Niejednokrotnie słyszała opowieści o okrucieństwie morskich łupieżców, którzy napadali na kupieckie statki i nie oszczędzali załogi ani pasażerów. Jeśli zaś na pokładzie przebywały niewiasty, przed śmiercią były hańbione.

– Tu jesteście, panienko – usłyszała przestraszony głos. To była jej służąca Anna, dziewczyna starsza od niej zaledwie o rok, ale już niezwykle dojrzała. Miała też doświadczenie z mężczyznami i często

opowiadała Katarzynie o pikantnych szczegółach swoich schadzek. Anna mocno chwyciła ją za rękę i teraz obie ze strachem spoglądały na zbliżającą się kogę.

– Na miłość boską! – rozległ się donośny głos szypra. – Niechaj ktoś zaprowadzi je do ładowni i dobrze ukryje.

Schodząc pod pokład, Katarzyna spojrzała jeszcze w stronę dziobu. Teraz już dobrze było widać „Świętego Patryka” – biały żagiel z koniczyną, okazały bukszpryt przedstawiający świętego męża. I zbrojnych – wymachujących orężem oraz wykrzykujących obelgi w kierunku marynarzy z „Białej Damy”.

Przeżegnała się, oddając swój los w ręce Boga.



Kupiecka koga płynęła pod proporcem Lubeki, co niezmiernie ucieszyło Piotra Wichmana. Nienawidził panów hanzeatyckich i nie miał żadnych skrupułów, by napadać na ich statki, wyrzynać załogi oraz rabować to, co znalazł w ładowniach. Wprawdzie z radością łupił i zabijał kogo popadło, jednakże napadanie na byłych ciemniźcyieli dostarczało mu prawdziwej satysfakcji.

Dotychczas łowy nie były udane. Od czasu porwania „Świętego Patryka” złupili jedynie dwa niewielkie krajery, które w dodatku płynęły niemal puste. Raz próbowali napaść na duński żaglowiec, ale okazało się to złym pomysłem. Okręt wypełniony był zbrojnymi, więc nadziali się na ścianę tarcz. Ledwie uszli z życiem i później, gdy tylko natrafiali na okręt płynący pod czerwoną flagą z białym krzyżem, natychmiast zmieniali kurs. Piotr podejrzewał, że Duńczycy są tak uzbrojeni, bo szykują się do wojny, wołał zatem nie wchodzić im w drogę. Kupieckie statki były łatwiejszym łupem.

Wichman skierował okręt na wody wokół Rugii, wiedząc, że przebiegają tamtędy hanzeatyckie szlaki handlowe. Jednakże pływali tu już od kilku dni, a dopiero teraz udało im się spotkać jakiś

większy okręt, który warto było zaatakować. Ale nie mieli się czemu dziwić, bo o tej porze roku niewielu śmiałków decydowało się na wypłynięcie z portu. Jesienne sztormy i zbliżająca się zima skutecznie odstraszały od morskich wypraw.

Irlandczyk bardzo się ucieszył z widoku samotnego statku, miał nadzieję, że tym razem im się poszczęści i pękata koga będzie wypełniona po brzegi towarami. Już zacierał ręce na myśl o dobrach znajdujących się w ładowni. Oczyma wyobraźni widział dziesiątki beczek z solą, rybami, piwem, bele materiałów z zamorskich krain i skrzynie wypełnione kosztownościami. Zielone oczy Piotra zabłyśły dziko. Krzyknął na całe gardło:

– Przygotować się do abordażu!

Nie musiał nic więcej mówić, jego ludzie wiedzieli, co robić. Zajęli miejsce przy burtach, trzymając w rękach długie kije zakończone hakiem. Za ich pomocą mieli przyciągnąć zaatakowany okręt. Za nimi stali kolejni, uzbrojeni w miecze, kordy i topory, gotowi zabić każdego, kto stanie im na drodze. Spragnieni walki i bogatych łupów.

Nie mieli nic do stracenia. Wcześniej byli marynarzami w hanzeatyckiej służbie zarabiającymi grosze, teraz piratami wyjętymi spod prawa. Dla nich nie było powrotu do wcześniejszego życia, bo gdyby postawili nogę na lądzie, natychmiast zostaliby schwytani i skazani na śmierć. Zresztą, nie chcieli wracać do tego, co było. Większość z nich nie miała rodzin – byli zawodowymi żołnierzami, rybakami niemającymi własnej łodzi, zakonnikami zbiegłymi z klasztoru, uciekinierami ze szlacheckich majątków albo biedotą miejską pozbawioną wszelkich praw. Ale wierzyli, że szczęście wreszcie się do nich uśmiechnie i za sprawą morskiego rabunku zdobędą bogactwa pozwalające im na godziwe życie.

Hanzeatycka koga zmieniła kurs, próbując ucieczki, ale sternik na pirackim okręcie natychmiast to zauważył i odbił rumplem. W tym

samym czasie żaglomistrz poluźnił szoty grota i „Święty Patryk” podążył w ślad za statkiem kupieckim. Na ten widok Wichman poczuł dumę – miał świetny okręt, według jego mniemania najlepszy pod słońcem, a do tego załogę, która przez ostatni miesiąc zdążyła się doskonale zgrać.

„Święty Patryk” pruł fale, rozbryzgując wokół morską pianę. Bukszpryt przedstawiający patrona Irlandii to opadał, to podnosił się, by celować w niebo. Z każdą chwilą statek zbliżał się do hanzeatyckiej kogi i Piotr mógł dojrzeć jej nazwę wymalowaną na burcie. Musiał przyznać, że brzmiała uroczo. Przez chwilę nawet zastanawiał się, skąd i dokąd płynie, ale zaraz stwierdził, że przecież to nie ma znaczenia.

Los „Białej Damy” był przesądzony.



Wielebny Wigbold, stojąc na pokładzie „Gwiazdy Polarnej”, spoglądał w niebo, podziwiał jego nieskazitelny błękit i zastanawiał się, co zostało mu przeznaczone. Nie wątpił, że Stwórca ma wobec niego jakieś plany, wyznaczył mu misję, bowiem w przeciwnym razie nie wyciągałby go z Londynu, a pozwolił bezpiecznie spędzić żywot na franciszkańskiej uczelni.

Gdyby miesiąc temu ktoś powiedział mu, że wyruszy w morską podróż, weźmie udział w porwaniu okrętu, a potem zostanie przywódcą piratów, szczerze by się roześmiał. Nawet gdyby się starał, nie mógłby sobie tego wyobrazić.

– Nic nie dzieje się bez przyczyny – westchnął ciężko, mając w pamięci swoje wizje. – Każdemu pisane jest to, co mu Bóg zaplanuje.

Miał świadomość, że popełnia grzech, napadając i rabując statki kupieckie oraz pozwalając, żeby łała się krew, coś mu jednak podpowiadało, że postępuje słusznie. W jakiś pokrętny sposób tłumaczył sobie, że dzięki temu lepiej walczy z niesprawiedliwością,

niż gdyby modlił się w oksfordzkiej katedrze.

Niezgłębiony zamysł Boga nie zawsze objawia się w świętości, bywa, że do celu prowadzi droga wyboista i kręta. Czasami franciszkanina dopadały wątpliwości co do obranego przez niego wyboru, ale wówczas wspominał Pawła z Tarsu, który był zbrodniarzem i prześladowcą chrześcijan, a potem stał się gorliwym wyznawcą Jezusa. O ile jednak święty Paweł nawrócił się, gdy był zbrodniarzem, o tyle on uczynił odwrotnie: porzucił drogę prawości na rzecz przestępstwa. Zatem porównanie nie wypadało dla niego korzystnie.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Prawdopodobnie zginie tak samo jak Paweł z Tarsu – zetną mu głowę. Dla piratów nie było innej przyszłości. Prędzej czy później pochwyca ich hanzeaci, osądzą i skazą na śmierć. Na razie wszakże los był dla nich łaskawy.

Przez pewien czas żeglowali po Morzu Północnym, gdzie udało im się dokonać kilku napadów na duńskich kupców. Wigbold jednak kazał skierować statek na Bałtyk. To tutaj miało dokonać się coś ważnego. Przecież kierowała tym ręka Boga. Gdy oznajmił załodze, że chce płynąć na Morze Wschodnie, nikt się nie sprzeciwił. Co więcej, ludzie byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Wiedzieli, że właśnie tamtędy przebiegają główne szlaki handlowe Hanzy, istniała więc możliwość zdobycia znaczniejszych łupów. A ponadto jesienią Bałtyk był spokojniejszy od Morza Północnego, na którym dzień w dzień szalały sztormy.

Przeszli przez cieśniny, opłynęli Zelandię, uważając na duńskie okręty wojenne – których z jakiegoś nieznanego mnichowi powodu pojawiło się na morzu mnóstwo – i podążyli na południowy wschód, ku Rugii.

I tutaj znowu dopisało im szczęście. Ledwie pierwsze promienie słońca przegoniły mrok nocy, na widnokręgu zamajaczył samotny biały żagiel. Wyglądało na to, że mają do czynienia z kupiecką koga.

„Gwiazda Polarna” szła z wiatrem i szybko zbliżyła się do okrętu. Lada chwila miała przeciąć jego kurs. Załoga już ostrzyła sobie zęby na obfity łup.

Nagle rozległ się krzyk wachtowego:

– Jeszcze jeden żaglowiec od zawietrznej!

Wilgbold zaraz podbiegł do lewej burty, oparł się o reling i spojrzał we wskazanym kierunku. Zmrużył oczy, bo słońce przeszkadzało w obserwacji, ale to nic nie pomogło. Franciszkanin przyłożył dłoń do czoła, robiąc z niej daszek. Dopiero wówczas był w stanie dostrzec statek idący półwiatrem, który na białym żaglu miał wymalowany liść koniczyny. Płynął wprost na kupiecką kogę.

– Hanzeaci? – mnich zapytał Hansa, który zjawił się przy relingu.

– Nie sędzę. – Żaglomistrz pokręcił głową. – Piraci tacy jak my.

Wilgbold zmarszczył czoło.

– Wygląda na to, że chcą sprzątnąć nam łup sprzed nosa.

– To prawda – potwierdził hamburczyk i spojrzał na zakonnika. – Co robimy?

– My zauważyliśmy go pierwsi. – Franciszkanin mrugnął do przyjaciela. – Jest nasz.

Ten odpowiedział uśmiechem.

– Przygotować się do abordażu!



Promienie słońca łagodnie muskały fale. Na błękitnym niebie kłębiły się białe obłoki, toń wody była spokojna i czysta, nic więc dziwnego, że można było w niej zauważyć ławice śledzi. Jak na listopad pogoda była niezwykle piękna i nic nie zapowiadało, żeby w najbliższym czasie miało się to zmienić.

– Półwysep Mnichów?!⁸² – Michels spojrzał z niedowierzaniem na

82 Półwysep Mnichów – obecnie Mönchgut (dosłownie: „Mnisie Dobra”). Leży na południowo-wschodnim krańcu wyspy Rugii.

Störtebekera. – Przecież to pod samym nosem Hanzy.

– Wiem.

Wyspa Rugia, na której znajdował się wspomniany półwysep, była oddzielona od Strzałowa tylko wąską cieśniną.

– Dlaczego tam umówiłeś spotkanie?

– Stwierdziłem, że to najbezpieczniejsze miejsce.

– Najbezpieczniejsze?! Włazimy prosto w paszczę lwa.

– I o to właśnie chodzi. – Uśmiechnął się Klaus. – Nikt nie będzie nas tam szukał.

Gödeke był człowiekiem odważnym i niejednokrotnie stawał oko w oko ze śmiercią. Uczestniczył w wielu bitwach, żeglował podczas sztormów, gdy wokół unosiły się fale wysokości zamkowych murów, ale nigdy nie dał po sobie poznać, że się boi. A teraz szalone pomysły jego przyjaciela powodowały, że wychodził na tchórza. Westchnął ciężko i pokręcił głową.

– A jeśli to pułapka? – zapytał.

Störtebeker wzruszył ramionami.

– Trudno – odparł. – Nic w życiu nie jest pewne.

Oblicze Klause spochmurniało, gdy przypomniał sobie chwilę, kiedy jego dotychczasowe życie runęło w gruzy. Miał wówczas zaledwie dwanaście lat.

Przybyli pod osłoną nocy, jak to mają w zwyczaju zbiry, które boją się, że w świetle dnia ktoś rozpozna ich twarze. Dziesięciu morderców. Wyważyli drzwi i wdarli się do domu. Służba próbowała stawić im czoło, nadaremnie.

Ojciec starał się bronić rodziny, ale też został szybko obezwładniony. Wywleczono go wraz z resztą domowników na dziedziniec. Matka i dwie starsze siostry dygotały ze strachu oraz zimna, bo noce o tej porze roku były już chłodne.

Do ojca podszedł wysoki mężczyzna o oczach niemal czarnych, których Klaus nigdy nie zapomni, bo wyzierało z nich czyste

okrucieństwo. Młodemu chłopakowi, jakim wtedy był Störtebeker, zdawało się, że ma do czynienia z demonem, nie człowiekiem. Zbir roześmiał się i wbił miecz prosto w serce pana napadniętego domu.

Klaus krzyknął rozdzierająco, wyrwał się trzymającemu go zbójowi i rzucił na oprawcę. Zaczął okładać go pięściami. Ale wtedy nie mógł równać się z roslym mężczyzną. Ten powalił go jednym ciosem i chłopak stracił przytomność.

Gdy doszedł do siebie, napastników już nie było. Panowała przeraźliwa cisza. W blasku wschodzącego słońca ujrzał tylko trupy. Ojciec pustym wzrokiem spoglądał w niebo, matka i siostry leżały nagie w kałużach krwi. Nawet wtedy, będąc dzieckiem, zdawał sobie sprawę, że zostały zgwałcone. Potem poderżnięto im gardła.

O nim zabójcy zapomnieli albo uznali, że jest martwy. Usiadł przy ojcu, chwycił jego dłoń. Czuł, jak po policzku spływają mu łzy. Wówczas płakał po raz ostatni. Obiecał sobie, że już nigdy nie będzie słaby i nikt nie zdoła go pokonać. Poprzysiągł zemstę każdemu z morderców.

Tak znaleźli go sąsiedzi. Już w nocy słyszeli straszliwe odgłosy, ale dopiero nad ranem mieli odwagę przybyć i sprawdzić, co się stało.

Majątek rodziny przepadł. Został przejęty przez dalekiego krewnego, który wykazał przed sądem, że ojciec Klause był u niego zadłużony.

Chłopak nie miał żadnej rodziny, więc sierocie nie pozostało nic innego, jak ruszyć w świat. I pewnie zginąłby marnie, bo dzieciak ze szlacheckiego rodu nie poradziłby sobie na ulicy, ale pewnego dnia spotkał na swojej drodze Johanna Liechteuera.

Störtebeker zmusił się do uśmiechu i przeniósł spojrzenie na przyjaciela.

– Nie martw się na zapas – rzekł. – Jakoś to będzie.

Michels westchnął. Uważał, że dla Klause życie było dobrą zabawą, grą, w której liczył się fart. I jak na razie szczęście go nie opuszczało.

Żaglomistrz miał tylko nadzieję, że dziś też go nie opuści.

Na Półwyspie Mnichów mieli spotkać się z ludźmi gotowymi zapłacić okup za księcia Warcisława. Gödeke proponował, żeby dobić do wybrzeży księstwa słupskiego i tam, na terytorium Gryfity, dokonać wymiany, ale Störtebeker uznał, że to zbyt niebezpieczne. I poniekąd miał rację, bo Hanzeaci na pewno patrolowali wody przybrzeżne państwa Warcisława. Ale pomysł z Rugią to było czyste szaleństwo!

Rudowłosy zerknął na niego.

– Nie martw się – rzekł. – Wszystko będzie dobrze.

– To się dopiero okaże. – Skrzywił się Michels. – Masz dar widzenia?

– Nie. Tylko przeczucie.

– Przeczucie?!

– Na razie jeszcze mnie nie zawiodło.

– Pamiętaj, że ludzie ci zaufali.

Störtebeker zmarszczył czoło.

– Mam tego świadomość.

Zamilkli. Wpatrzyli się w żagle wypełniane przez wiatr i w fale rozbryzgiwane przez „Morskiego Tygrysa”. Pogrążeni we własnych myślach, nie od razu spostrzegli statki, które pojawiły się na widnokręgu. Dopiero gdy usłyszeli wołania wachtowego, zaczęli im się przyglądać.

– Co o nich sądzisz, Klaus?

– Wyglądają na hanzeatyckie.

– Kogi pokoju z floty Wulflema? – zaniepokoił się Michels.

– Nie sądzę – odparł Störtebeker. – Wygląda na to, że szykują się do bitwy między sobą.

– Co robimy?

– Jak to co? – W oczach rudowłosego pojawił się drapieżny błysk. – Płyniemy ku nim!

Gödeke westchnął po raz trzeci.

– Wiedziałem, że to powiesz.



Gdy tylko „Święty Patryk” uderzył w burtę „Białej Damy”, statki szczyły się ze sobą, a w niebo wzbił się wojenny okrzyk piratów. Rozpoczął się abordaż. Pierwszy na pokładzie kupieckiej kogi znalazł się Piotr Wichman i ciął mieczem przez gardło hanzeatyckiego kusznika. Mężczyzna krzyknął rozziewając, ale jeszcze zdążył nacisnąć spust. Bełt przeleciał tuż nad głową Irlandczyka. Ten zaklął szpetnie, ale nie miał czasu zastanawiać się, jak blisko był śmierci, bo już musiał bronić się przed ciosem tasaka. Przyjął uderzenie na zastawę i kopnął napastnika w krocze. Hanzeata jęknął i runął na kolana, wypuszczając z rąk tarczę. Piotr nie czekał i wbił mu sztych w odsłoniętą pierś. Odwrócił się do swoich ludzi.

– Za mną! – krzyknął na całe gardło. – Bić psuwratów!

Piratów nie trzeba było zagrzewać do walki. Wdarli się na pokład „Białej Damy” niczym huragan tratujący wszystko na swojej drodze. Uderzali toporami, które niejednokrotnie już smakowały ludzkiej krwi, cięli tasakami wykutymi w kuźniach portowych miast, tłukli stalowymi maczugami, roztrzaskując czerepy, kłuli mieczami – bez finezji cechującej szlachetnie urodzonych, za to skutecznie.

Pokład zaścieniały ciała zabitych i odrąbane kończyny, a krew zabarwiła deski szkarłatem. Ranni próbowali kryć się we wnękach pod krenelażami, ale nikt nie okazywał im miłosierdzia. Nawet nieuzbrojonych dobijano. Pokonani z głośnym krzykiem wypadali za burtę. Odziani w ciężkie pancerze i w nasiąkniętych wodą ubraniach nie byli w stanie utrzymać się na powierzchni. Morska toń wciągała ich w głębiny.

Zwykli marynarze z „Białej Damy” ustępowali piratom zaciekłością

w boju. Byli przede wszystkim żeglarzami, a nie żołnierzami. Płacono im za to, żeby obrać odpowiedni kurs, złapać dobry wiatr i pożeglować do portu przeznaczenia. Nic więc dziwnego, że walczyli bez przekonania, szybko rzucali broń i poddawali się, licząc na to, że piraci ich oszczędzą.

Jednakże wśród żeglarzy z „Białej Damy” szczególną zawziętością wyróżniał się brodacze szalejący na śródokręciu z dwuręcznym toporem w rękach. Ten sam, który wcześniej rozmawiał z Katarzyną. Otoczony przez napastników, bił się i kąsał niczym wilk pochwycony w zasadzkę. Zdażył rozłupać czaszki dwóm piratom, gdy stanął naprzeciw niego Piotr Wichman.

W zielonych oczach Irlandczyka płonęła nienawiść, której nie sposób było ugasić żadną ilością przelanej krwi. Dawała mu siłę do życia, do walki, do zwycięstwa. I chociaż był o głowę niższy od przeciwnika i znacznie chudszy, bez zastanowienia ruszył do natarcia. Zasypał brodacza ciosami, które ten z ledwością parował styliskiem topora. W każde uderzenie Wichman wkładał całą swoją wściekłość. Topornik poczuł strach, gdy uświadomił sobie, że ma do czynienia z owładniętym furią szaleńcem. Zaczął się cofać, licząc na to, że gdy wróg się zmęczy, on zdoła wziąć odpowiedni zamach i śmiertelnie go ugodzić.

Postawiwszy krok do tyłu, zaplątał się jedną stopą w linę leżącą na pokładzie i wyrzucił. Topór wypadł mu z rąk i poleciał poza zasięg ramion. Marynarz, leżąc na plecach, spojrzał z nadzieją na przeciwnika.

– Oszczędź – wyszeptał.

Oczy Piotra zabłyśły triumfalnie, a na ustach pojawił się okrutny uśmiech. Wbił sztych miecza w szeroką pierś brodacza.

W tej samej chwili okrętem mocno szarpnęło.

– Co u diabła?!



Katarzyna, wciśnięta w lukę między skrzyniami solonych śledzi, drżała ze strachu. Przytulona do niej Anna łkała cicho i modliła się gorąco do Najświętszej Paniienki o ocalenie. Dziewczęta wpatrywały się w mrok ładowni, lękając się, że zaraz wychyną z ciemności brudni, zarośnięci mężczyźni o spróchniałych zębach i bliznach szpecących oblicza. Tak właśnie wyobrażały sobie piratów.

W Lubece krążyły opowieści przedstawiające ich jako krwiożercze bestie bardziej podobne do zwierząt niż ludzi, których jedynym celem było mordowanie, gwałcenie i rabowanie. Nawet ojciec Katarzyny, który spędził w niewoli pirackiej kilka miesięcy, koloryzował swoją historię. I chociaż na zamku księcia Warcisława traktowany był jak gość, ciesząc się wieloma przywilejami, w jego opowieściach wyglądało to zupełnie inaczej. Za każdym razem, gdy mówił o przygodzie, dodawał nowe elementy. A to, że siedział w zimnym lochu zakuty w kajdany – gdy tak naprawdę miał do dyspozycji dwie komnaty – a to, że dostawał jedynie kubek wody i kromkę chleba dziennie – gdy tak naprawdę zajadał się specjami z książęcego stołu – a to, że był torturowany, ale dzielnie znosił ból – gdy w rzeczywistości zemdłał, gdy tylko usłyszał o oprawcy, którego książę chciał sprowadzić na zamek w celu wymierzenia kary jakiemuś przestępcy.

Na razie jednak nikt do ładowni nie schodził. Wszystko odbywało się na górze. Dziewczęta słyszały tupot stóp, szczęk oręża i krzyki umierających. W szczelinach desek nad głową mogły dostrzec niewyraźne sylwetki mężczyzn walczących na pokładzie.

– Co z nami będzie? – jęczała Anna, próbując jeszcze bardziej wcisnąć się pomiędzy skrzynie. – Och, matulu, matulu kochana! Te potwory nas pohańbią i zabiją...

– Cicho. – Katarzyna położyła palec na ustach. – Bo nas usłyszą.

I chociaż służąca była starsza, to córka Büllenwavera zachowywała więcej spokoju.

– Wszystko będzie dobrze – szeptała. – Załoga „Białej Damy” nas obroni, odeprze atak piratów.

Bardzo mocno chciała wierzyć w to, co mówiła, ale zdawała sobie sprawę, że rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. „Biała Dama” nie była okrętem wojennym i chociaż marynarze całkiem nieźle radzili sobie w walce, to i tak ustępowali piratom. Wynik tej potyczki mógł być tylko jeden.

Rozmyślenia Katarzyny zostały przerwane przez trzask pękającej kłapy luku. Przez powstałą dziurę spadł do ładowni jeden z walczących. Dziewczęta wrzasnęły przerażone, widząc leżącego pirata. Oszołomiony mężczyzna przez chwilę dochodził do siebie, a potem spróbował niezgrabnie stanąć na nogi. Córka kupca nie czekała. Chwyciła dzban z oliwą i roztrzaskała go na głowie bandyty. Pirat odwrócił się i spojrzał na nią zdziwiony. Ale nie zdążył nic powiedzieć, bo Anna podeszła od tyłu i rąbnęła go drugim dzbanem. Dopiero wówczas runął na deski.

– Zabiłam go? – spytała przejęta służąca.

Katarzyna ostrożnie nachyliła się nad leżącym, jakby spodziewała się, że zaraz chwyci ją za gardło i udusi. Przystawiła ucho do jego piersi.

– Serce bije – rzekła. – Jest jeno nieprzytomny.

Anna odetchnęła z ulgą.

Tymczasem córka Büllenwavera wyszarpnęła z rąk pirata krótki kord i mocno chwyciła w dłoń. Spojrzała w górę, gdzie cały czas trwały walki.

– Lepiej się ukryjmy.

Nagle wstrząsnęło okrętem i dziewczyny straciły równowagę. Z krzykiem upadły obok pirata.



„Gwiazda Polarna” przybiła do hanzeatyckiej kogi od wolnej burty i teraz trzy okręty dryfowały szczepione ze sobą. Marynarze z „Białej Damy” z przerażeniem spostrzegli, że na ich statek wdziera się kolejna fala piratów. Nowi łupieżcy, prowadzeni przez Hansa, przeskoczyli z jednego pokładu na drugi i od razu rzucili się w wir walki. Uderzali tasakami, cięli mieczami, rąbali toporami, nikogo nie oszczędzając – ani obrońców, ani innych piratów.

Ojciec Wigbold pozostał na „Gwieździe Polarnej” i oglądał bitwę z kasztelu rufowego. Stał ze zmarszczonym czołem i dłońmi złożonymi do modlitwy, oddając Bogu w opiekę dusze pomordowanych. Przed każdym napadem prosił swoich ludzi o to, by oszczędzali wrogów. Hans wytłumaczył mu jednak, że podczas walki nie wolno się wahać i trzeba bić tak, żeby zabić. Wigbold z ciężkim sercem musiał się z nim zgodzić. Na miłosierdzie przyjdzie czas po starciu.

Przeżegnał się, widząc jak jeden z piratów wziął zamach toporem i trafił hanzeatę w głowę, rozłupując mu czaszkę. Pomimo że franciszkanin w ciągu ostatniego miesiąca widział już niejedną walkę, nadal nie mógł przyzwyczaić się do przelewu krwi. Przymknął oczy i wyszeptał modlitwę.

Gdy je na powrót otworzył, zauważył, że została zaledwie garstka marynarzy z „Białej Damy”. Ściśnięci na śródokręciu, próbowali odpierać ataki ze wszystkich stron. Wreszcie, gdy zrozumieli, że opór jest daremny, opuścili broń.

Piraci nie wydali jednak triumfalnych okrzyków ani nie poklepywali się radośnie po plecach. Zapanowała cisza. Z jednej strony okrętu zgromadzili się piraci pod wodzą Wichmana, z drugiej ci prowadzeni przez Hansa. Obie grupy spoglądały na siebie wrogo, gotowe w każdej chwili skoczyć sobie do gardeł.

– Wynocha stąd! – warknął Irlandczyk. – To nasz łup!
– Bzdura! – parsknął hamburczyk.
– My byliśmy na nim pierwsi!
– Ale my go pierwsi upatrzyliśmy!
– To czemu czas mitrężyliście i nie atakowaliście? – spytał Piotr. – Nie spieszyło się wam do walki, co?
– Czekaliśmy na dogodny moment.
– A może czekaliście, aż ktoś was wyręczy?
– Odszczekasz to, psie! – warknął żaglomistrz i mocniej ujął rękojeść miecza.

Piraci zaczęli wygrażać sobie pięściami, obrzucać się wyzwiskami i warczeć jak wilki. Marynarze z „Białej Damy”, którzy wcześniej złożyli broń i teraz stali pomiędzy dwiema grupami, patrzyli w przerażeniu raz na jednych, raz na drugich, obawiając się, że zaraz rozpęta się zawierucha, a oni znajdą się w samym jej środku. Powoli zaczęli przesuwac się w stronę kaszteli, żeby tam znaleźć bezpieczne schronienie.

– Dostaniecie trzecią część łupu! – tubalnym głosem krzyknął Wigbold z pokładu „Gwiazdy Polarnej”.

Wichman spojrział zdziwiony na zakonnika, a potem przeniósł wzrok na Hansa.

– Cóż to za klecha?
– To Wigbold – odparł żaglomistrz. – Jest naszym hersztem.
– Dowodzi wami mnich? – zdumiał się Irlandczyk. – Jesteście bardziej szaleni, niż myślałem.

Piraci ze „Świętego Patryka” zarechotali.

– Lepszy herszt stanu duchownego niżli herszt głupiec – odgryzł się hamburczyk. – A wygląda na to, że z takim mam do czynienia.

Tym razem roześmieli się piraci z „Gwiazdy Polarnej”.

– Milczeć! – zawołał Wigbold, zły, że zaogniają sytuację, a następnie zwrócił się do Piotra: – Zważ, synu, że jest nas więcej i

jesteśmy lepiej uzbrojeni.

Irlandczyk musiał przyznać mnichowi rację. Załoga „Świętego Patryka” już na samym początku liczyła zaledwie dwudziestu ludzi. Podczas krwawego buntu zbyt wielu marynarzy zginęło, a potem nie zdążyli uzupełnić stanu załogi. Ledwie ich starczało do żeglowania, nie mówiąc już o prowadzeniu morskich bitew. Na domiar złego w abordażu na „Białą Damę” życie straciło trzech kolejnych, a dwóch było rannych.

Natomiast piratów pod wodzą franciszkanina naliczył dwukrotnie więcej i mieli na sobie lepszej jakości pancerze, na głowach solidniejsze hełmy, a w rękach miecze zamiast noży i krótkich kordów.

– Lepszy gołąb w garści niż wróbel na dachu – rzekł Wigbold, widząc zatroskaną minę Irlandczyka. – To jak będzie? Przystajecie na naszą propozycję?

Wichman posłał mu wściekłe spojrzenie.

– Nigdy!

Franciszkanin westchnął ciężko.

– Poleje się krew. Wielu straci życie.

– Widocznie to nam pisane – rzekł Piotr ze smutkiem. – Jeśli widok krwi cię trwoży, ojczulku, to wracaj tam, skąd przybyłeś. Zajmij się sprawami bożymi, a nam, rozbójnikom, zostaw sprawy ziemskie.

– Zaklinam cię raz jeszcze. Poniechaj!

Wichman pokręcił głową i wzniósł miecz. Piraci mocniej chwycili za oręż. Na pokładzie „Białej Damy” kolejny raz miało dojść do rozlewu krwi.



– Stójcie! – po wodzie poniósł się tubalny, rozkazujący głos.

Wszyscy piraci zamarli. Dopiero wtedy spostrzegli, że do trójki statków zbliżył się jeszcze jeden – dwumasztowy holk. Podpłynął od

zawietrznej i rzucił kotwicę, stając zaledwie dwie długości od najbliższej kogi.

Na kasztelu dziobowym, oparty niedbale o bukszpryt, stał młody mężczyzna o rudej czuprynie. Jego potężna sylwetka, długi miecz przewieszony przez plecy i groźne spojrzenie błękitnych oczu budziły mimowolny szacunek.

– Kim jesteś i czego chcesz?! – fuknął Piotr, widząc, że na holku nie widnieje żadna chorągiew.

– Jestem Klaus Störtebeker – rzekł przybysz. – A moi kompani to piraci, tacy jak wy.

– Kolejni do podziału, co? – Skrzywił się Irlandczyk. – Pierwej zginę, niż coś wam oddam.

– Nie chcemy waszych łupów – odparł rudowłosy.

Stojący obok Gödeke zerknął zdziwiony na przyjaciela.

– Nie? – szepnął. – Myślałem, że po to tutaj przyплыliśmy.

Pytanie żaglomistrza pozostało bez odpowiedzi, bowiem Störtebeker odczepił od knagi jedną z want, rozbijał się na niej i przedostał na pokład „Białej Damy”. Wylądował na śródokręciu pomiędzy dwiema grupami piratów. Mężczyźni unieśli oręż.

– Nie pragnę zwady – rzekł, rozkładając ręce w pokojowym geście. – Chcę wam coś zaproponować.

– A dlaczego miałibyśmy ciebie wysłuchać? – zapytał Wichman.

– Bo wiem, jak zdobyć fortunę – odparł Klaus. – A poza tym to nic was nie kosztuje.

Zapanowało milczenie. Morscy łupieżcy spoglądali po sobie i widać było, że wielu z nich olbrzym zaintrygował.

– Niech mówi – krzyknął ojciec Wigbold z pokładu „Gwiazdy Polarnej”.

Oblicze Störtebekera pojaśniało. Wiedział już, że zdobył ich uwagę, teraz musiał ich kupić.

– Ciężki jest los pirata – rzekł głośno, żeby słyszano go na

wszystkich okrętach. – To wieczna tułaczka po morzach w czas sztormów, burz i niepogody, bowiem żaden port nie przyjmie morskich rozbójników. To ciągła ucieczka, bowiem panowie hanzeatyccy nie spoczną, dopóki nas wszystkich nie wyłapią. To również samotność, bowiem, prowadząc takie życie, trudno o założenie rodziny. I nie wynagrodzi tego swoboda, jaką mamy, łupy ze zrabowanych statków ani przelana krew wrogów. Pozostaje w sercu pustka.

Wielu piratów pokiwało głowami. Słowa Klausa dokładnie oddawały ich bólczki. Rozbójnicze życie bardzo ich pociągało, po raz pierwszy byli tak naprawdę wolni, nie musieli przed nikim zginać karku, płaszczyć się ani zebrać o pracę. Mogli zdobyć fortuny, o jakich wcześniej nie marzyli. Ale w głębi duszy pragnęli czegoś więcej niż samego bogactwa. Tęsknili do ciepła rodzinnego, do paleniska na środku izby, gdzie codziennie czekałaby gorąca strawa, do obfitych piersi żony, w które mogliby się wtulić, do ożywiającego dom śmiechu dzieci. A tego wszystkiego nie mogli dostać, wiodąc rozbójnicze życie.

- Taki nasz los i nic na to poradzić nie można – warknął Wichman.
- Jesteśmy tym, kim jesteśmy.
- Czyli kim?
- Wilkami morskimi kąsającymi swoich dawnych panów.
- Wilki polują w stadzie.
- Co masz na myśli?

Störtebeker powiódł wzrokiem po zebranych, spoglądając w ich pokryte bliznami oblicza, zgasłe oczy i mocno zaciśnięte usta. Jeśli jego słowa wzbudziły w nich nadzieję, to nie dawali tego po sobie poznać. Dotychczas myśleli, że ich przeznaczeniem jest tylko walka i rychła śmierć – i nie wierzyli, by cokolwiek mogło to zmienić.

– Możemy połączyć siły i działać wspólnie – rzekł Klaus. – Co trzy okręty to nie jeden. A dołączą do nas następni. Wówczas będziemy

mogli napadać nie tylko na pojedyncze kupieckie kogi, lecz także na całe konwoje. Pomyślcie tylko. To dziesięciokrotnie większe łupy!

– I dziesięciokrotnie więcej ludzi do podziału. – Skrzywił się Irlandczyk.

Rudowłosy się roześmiał.

– Starczy dla każdego! Wszyscy sobie wypchamy sakwy klejnotami i złotymi monetami, a jeszcze zostanie, żeby opłacić ludzką przychyłność.

– Ludzką przychyłność?

– Musimy pozyskać sprzymierzeńców – odparł Klaus. – Na morzu można spędzić co najwyżej trzy niedziele, ale prędzej czy później trzeba zejść na ląd, żeby uzupełnić zapasy żywności i wody. Potrzebujemy bezpiecznych przystani, gdzie będziemy mogli zostawić rannych, pozyskać drewno do naprawy kadłubów, płótno na żagle lub nowe liny.

– Dotychczas jakoś sobie radziliśmy. – Piotr wzruszył ramionami. – I nadal będziemy.

– Jak długo jeszcze? – spytał Störtebeker. – Nie słyszałem, żeby samotny statek piracki przetrwał dłużej niżli pół roku. Książęta pomorscy trudniący się morskim rozbójnictwem pływają w kilka okrętów i mają stałe bazy. Tak samo meklemburscy i holsztyńscy piraci.

Irlandczyk podejrzliwie zmrużył oczy.

– Sporo o nich wiesz.

– Wiem, bo przez kilka miesięcy na nich polowałem.

– Jesteś jednym z psów na usługach Hanzy?!

Wichman postąpił krok naprzód z uniesionym mieczem.

– Już nie – rzekł Störtebeker. – Teraz jestem takim samym piratem jak ci, których ścigałem. Ale przez ten czas poznałem ich słabości. Wiem, jakie popełnili błędy, i chcę ich unikać.

– I co zamierzasz zrobić?

– Pragnę zawiązać rozbójnicze bractwo.

– A to ci dopiero!

Piotr zarechotał. Zawtórowała mu reszta rozbójników, a śmiech rozniósł się po wodzie, płosząc mewy krążące nad okrętami. Klaus spokojnie odczekał, aż wszyscy się uspokoją, i kontynuował:

– Zakon złożony nie ze szlachetnie urodzonych rycerzy, którzy niewiele wiedzą o prawdziwym świecie, lecz z ludzi takich jak wy. Pochodzących z pospólstwa, z najgorszych dzielnic i portowych miast. Skrzywdzonych przez los i okrutnych panów. Ludzi, którym należy się godziwe życie.

Rozległy się pomruki aprobaty. Störtebeker doskonale zdawał sobie sprawę, jak działają na ludzi jego przemowy i powaga wyglądu siłacza. Mógł pójść o zakład, że połowa zebranych tu piratów już w tej chwili uznawała go za swojego dowódcę. Uśmiechnął się lekko.

– Chcesz im dać godziwe życie – odezwał się ojciec Wilgbold, który odważył się wejść na pokład „Białej Damy” i stanął przy roslym rudzielcu. – Co przez to rozumiesz?

Klaus długo spoglądał w łagodne oczy franciszkanina, zdając sobie sprawę, że od tej odpowiedzi będzie wiele zależało. Może wszystko stracić lub zyskać.

– Dom – odparł. – Możemy żeglować po morzach, bez lęku zmagać się ze sztormami, walczyć z wrogiem, napadać i rabować, a potem pić do upadłego, radując się ze zwycięstwa, ale każdy z nas potrzebuje miejsca, do którego zawsze może wrócić.

Kilku ludzi pokiwało głowami, a Wigbold życzliwie spojrział na Störtebekera.

– Gdy pozyskamy przychylność rybaków i mieszkańców nadmorskich osad, będziemy mogli spokojnie przybijać do ich przystani – olbrzym mówił dalej. – Znajdziemy wśród nich wiernych przyjaciół, bo to przecież tacy sami ludzie jak my, cierpiący niedostatek i doświadczający niesprawiedliwości od możnych tego

świata. Wielu z nas weźmie sobie ich córki za żony i rychło spłodzą dzieci...

– Lub bękarty – zakrzyknął ktoś i wszyscy wybuchli śmiechem.

– Jak kto woli. – Mrugnął rudowłoso, ale zaraz spoważniał. – I, co najważniejsze, wasze rodziny będą bezpieczne. Nikt nie poważy się ich skrzywdzić, bowiem będzie miał do czynienia z bractwem. I nigdy nie zaznąją głodu, bo będziecie przywozić im złoto zrabowane bogatym panom.

Klaus powiódł spojrzeniem po twarzach morskich rozbójników i dostrzegł w nich nadzieję. Dawał tym ludziom przyszłość – na razie tylko w marzeniach, ale to wszystko można było ziszczyć. Zależało to tylko od nich.

– To jak będzie? – zapytał. – Przyłączycie się do mnie?

Wzniosły się okrzyki poparcia. Wigbold uśmiechnął się i skinął głową. Wichman, widząc, że jego ludzie i tak pójdą za rudowłosym, również przytaknął.

– Została jeszcze jedna kwestia – rzekł Irlandczyk, który nie chciał jednak tak łatwo oddawać pola.

– Jaka? – zapytał Klaus.

– Kwestia przywództwa.

Störtebeker uśmiechnął się pod nosem.

– Odwiecznym zwyczajem piratów jest, że szypra wybiera całą załogę – odparł. – Myślę zatem, że w bractwie również wszyscy powinni decydować pospół. Dowódcy żaglowców będą reprezentować swoje załogi.

Piotr pokiwał głową.

– To dobre prawo – rzekł. – A jak dzielimy łupy?

– Jak zawsze! Wedle starszeństwa.

– A ja bym radził dzielić po równo – wtrącił się ojciec Wigbold. – Każdemu jednakowo. Jeżeli nie ma być wśród nas panów i sług, to najlepsze rozwiązania.

Störtebeker i Wichman spojrzeli po sobie.

– Zgoda – odparł Klaus.

– Zgoda – poparł go Irlandczyk.

Trzej dowódcy uścisnęli sobie dłonie, tym samym potwierdzając zawarcie przymierza. Zebrani wokół zbrojni, którzy jeszcze nie tak dawno gotowi byli skoczyć sobie do gardeł, teraz podeszli do siebie, zaczęli się witać, ścisnąć i poklepywać po plecach.

– Trzeba to uczcić – zawołał Piotr. – Niechaj ktoś pójdzie do ładowni zobaczyć, czy nie ma tam jakowego trunku!



Katarzyna stała na pokładzie, drżąc z zimna, strachu i wstydu. Nieporadnie próbowała zasłaniać nagie piersi, widoczne w miejscu rozdarcia sukni, ale to niewiele dawało. Włosy miała w nieładzie, po policzkach spływały łzy, a brudni i śmierdzący mężczyźni otaczali ją ze wszystkich stron, głośno rechocząc. Anna była w nie lepszym stanie.

Pomimo że wcisnęły się w najgłębszy kąt ładowni i tak zostały zauważone. Piraci zagląдали dosłownie wszędzie. Najpierw otworzyli wszystkie beczki, ale gdy znaleźli w nich tylko sól, byli strasznie zawiedzeni i zaczęli rozbijać skrzynie. W większości z nich znajdowały się przyprawy i ryby. Podczas tego rejsu „Biała Dama” przewoziła wiele cennych rzeczy, ale najcenniejszą była narzeczona jednego z najbogatszych patrycjuszów Hanzy.

Dopiero pięknie zdobiony kufer zwrócił uwagę grabieżców. Spodziewali się, że będą w nim kosztowności, naczynia, może nawet złoto, ale po otwarciu ujrzeli tylko kobiece suknie i ozdoby. Nie kryli rozczarowania, klęli, na czym świat stoi, i już chcieli wracać na pokład, gdy jeden z mężczyzn, widocznie trochę bardziej rozgarnięty niż towarzysze, stwierdził, że te stroje i ozdoby muszą do kogoś należeć. Piraci przetrząsnęli każdy kąt ładowni i znaleźli

dziewczyny.

Towarzyszyła temu dzika radość bandytów, którzy od dawna nie widzieli kobiet. Wyposzczeni przez miesiące spędzone na morzu, zaraz zaczęli się do nich dobierać. Zaczęły się sprośne żarty, zdzieranie sukien i obmacywanie. Broniły się. Katarzyna zdołała nawet zranić jednego zdobyczym kordem, ale mężczyźni byli zbyt silni. Wyrwali jej broń i przytrzymali. Myślała już, że zostaną zgwałcone – tam, na miejscu, w ciemnym kącie pomiędzy skrzyniami, ale piraci wyciągnęli je na pokład, pewnie po to, żeby pochwalić się zdobyczą.

Wichman zagwizdał z podziwem, przyglądając się Katarzynie. Dziewczyna niemal fizycznie czuła jego obleśne spojrzenie, przesuujące się po udzie widocznym w rozdarciu sukni, smukłej talii, odsłoniętych piersiach, łabędziej szyi i jasnych włosach spadających kaskadą na ramiona.

– Znaleźliście prawdziwy skarb – rzekł do towarzyszy. – Posłałem was do ładowni po wino, a przyprowadziliście niewiasty. Zaprawdę nie wiem, czy skarcić was, czy nagrodzić?

Rozbójnicy wybuchli śmiechem.

– Jasnowłosa jest moja – zarządził Irlandczyk. – Zaprowadźcie ją na „Świętego Patryka”. Z tą drugą zróbcie, co chcecie.

Jego ludzie zawyli radośnie, zapominając o tym, że na statku nie znaleźli złota ani nawet mocnego trunku. Dwóch chwyciło Katarzynę i, szamoczącą się, zaczęli prowadzić na „Świętego Patryka”, pozostali zaś zabrali się do Anny. Pchnęli ją na reling i nie bacząc na ziaęb, zaczęli zdierać ubranie, gotowi posiąść ją tutaj, na śródkręciu, na oczach wszystkich. Przerażona dziewczyna na początku gryzła i drapała, próbując się bronić wszystkimi siłami, ale to tylko wzmagało podniecenie napastników. Wreszcie zaprzestała nadaremnej walki i, pogodzona z losem, cicho łkała.

Klaus przyglądał się temu obojętnie. Niejednokrotnie widział

zbiorowe gwałty na kobietach. Czy robili to zbrojni podczas wojny w zdobytch miastach, czy rabusie na gościńcach, gdy złapali podróżującą niewiastę, czy poborcy podatkowi we wsiach, zawsze odbywało się to tak samo. Krzyk, płacz i wstyd niewiast. Sprośne żarty i zadowolenie oprawców z zaspokojonych żądz. Ale tu nie chodziło tylko o chuć, ale o poniżenie ofiar, o zadanie im bólu. Trudno zgadnąć, co dla bandytów było ważniejsze.

Störtebekera nie podniecało branie kobiet siłą. Może dlatego, że cały czas miał w pamięci to, co niegdyś uczyniono z jego matką i siostrami, a może dlatego, że nigdy nie narzekał na brak niewieściego zainteresowania. Mieszczanki i wieśniaczki, patrycjuszki i szlachcianki, panny i męźatki z własnej woli rozkładały przed nim nogi.

Nigdy więc nie korzystał z tego typu okazji i kiedy widział gwałt, krzywił się tylko, odwracał wzrok i zajmował swoimi sprawami. No chyba że napastowana niewiasta znajdowała się pod jego opieką. Wówczas oprawcy kończyli w kałuży krwi.

Tym razem też postanowił się nie wtrącać. Po pierwsze dlatego, że wedle pirackiego prawa zdobyczne kobiety należały do marynarzy, po drugie nie chciał się narażać nowym sojusznikom, po trzecie wreszcie te dwie dziewczyny nic dla niego nie znaczyły. Chociaż ta jasnowłosa o brązowych oczach, którą upatrzył sobie Wichman, bardzo mu się podobała. Miała delikatną urodę, figurę rusalki i coś, co przykuwało spojrzenia wszystkich mężczyzn. Po jej stroju Störtebeker wnosił, że jest krewną jakiegoś bogatego kupca, a szamocząca się z oprawcami dziewczyna jej służką.

Czarnowłosa znowu zaczęła krzyczeć, gdy jeden z oprawców usadowił się między jej nogami i próbował w nią wejść. Nagle zwałił się na pokład, zdzielony w głowę drewnianym czerpakiem służącym do wybierania wody z pokładu. Zebrani wokół piraci, którzy jeszcze przed chwilą wznosili radosne okrzyki, zamilkli, groźnie

spoglądając na franciszkanina, który ośmielił się zaatakować jednego z nich.

– Bydlaki! – ryknął mnich, czerwony na pucułowatej twarzy. – Jak wam nie wstyd?! Dopuszczacie się gwałtu na niewiastach?!

– Takie jest odwieczne prawo – odparł Piotr, wbijając w niego zimne spojrzenie. – Dziewki siłą brało się od zawsze. Najpierw jest trochę płaczu i krzyku, a potem proszą o jeszcze.

Roześmiał się, a wraz z nim jego kompani.

– Nie godzi się – warknął ojciec Wigbold. – Nikt nie będzie gwałtu zadawał niewiastom. Teraz są pod moją opieką.

– Chcesz je dla siebie, ojczulku? – Skrzywił się Irlandczyk. – To będziesz musiał o nie walczyć.

Wichman wyciągnął miecz i postąpił krok do przodu.

– Hans! – zawołał franciszkanin i zaraz wokół niego pojawili się zbrojni.

Piraci z obu grup spoglądali na siebie groźnie. Sojusz zawarty zaledwie przed kilkoma chwilami miał zaraz przeminąć niczym podmuch szkwału. Klaus nie mógł do tego dopuścić.

– Stójcie! – zawołał, wkraczając między piratów. – Schowajcie oręż i przestańcie się wadzić.

Zaledwie kilku ludzi go posłuchało.

– Ojczulek ma rację – rzekł, zwracając się do Wichmana. – Zaspokoicie jeno swoje chucie, a dziewczki mogą być więcej warte nietknięte. Jasnowłosa zapewne jest szlachcianką lub patrycjuszką.

Spojrzenia wszystkich powędrowały w stronę Katarzyny. Trzymana przez dwóch rozbójników, hardo stała wyprostowana, chociaż zimny wiatr chłostał jej twarz. Wyglądała pięknie. Zielona suknia opinała jej smukłe ciało, podkreślając szczupłą, dziewczęcą jeszcze sylwetkę. Białe piersi, ledwie zakryte strzępkami materiału, przyciągały spojrzenia. Opadające w nieładzie na twarz kosmyki włosów dodawały jej tylko uroku, a brązowe oczy lśniły niczym

gwiazdy na nocnym niebie. Störtebeker westchnął i zmusił się, żeby oderwać od niej spojrzenie.

– Gdy tylko napełnimy sakwy hanzeatyckim złotem, dziewczki same będą się do nas garnęły – rzekł wesoło. – I nie takie jak te, wychudzone i bez życia, ale dorodne wieśniaczki z obfitym biustem falującym niczym morskie fale.

Odpowiedziały mu gromkie wiwaty.

Ojciec Wilgbold w tym czasie zerwał płaszcz z ramion jednego z piratów, który widząc rozgniewaną twarz mnicha, nie śmiał mu się przeciwstawić. Franciszkanin okrył nim trzęsącą się ze strachu, półnagą Annę.

Potem skierował wściekle spojrzenie na dwóch zbrojnych trzymających Katarzynę.

– Zostawcie ją natychmiast – warknął, a piraci puścili jasnowłosą.

– Nie tak szybko – rzekł Wichman i machnął mieczem przed nosem duchownego. – To mój łup! Ja zdecyduję, co z nią zrobię.

Wigbold zbił dłonią klingę Irlandczyka.

– Nic nie pojmujesz, prawda? – rzekł, twardo patrząc w oczy młodzieńca. – Myślisz, że masz do czynienia z nieporadnym mnichem? Owszem, jestem zakonnikiem i jeszcze niedawno nie miałem pojęcia, czym jest krew oraz szczęk oręża. Ale to się zmieniło. I jeśli nie ustąpisz, wystarczy jedno moje słowo, a moi ludzie ubiją cię jak wściekłego psa.

Na te słowa piraci Wigbolda unieśli lekko oręż. Irlandczyk spochmurniał i rozejrzał się, szacując swoje szanse. Nie pozostało mu wielu ludzi, a i ci pewnie nie będą chcieli umierać za chuć swojego przywódcy. Przeciwno sobie miał zaś nie tylko piratów franciszkanina, lecz także Störtebekera, który na pewno stanie po stronie mnicha.

Pomimo że w środku gotował się ze złości, schował miecz.

– To jaki jest plan? – zapytał.

Klaus wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Rugia – odparł. – Mam tam sprawę do załatwienia.



Rozdział 7

Półwysep Mnichów na Rugii

Listopad 1389 roku

Deszcz siąpił nieprzerwanie już od trzech dni. Olbrzymie czarne chmury wisiały nisko na niebie i wcale nie zanosiło się na wypogodzenie. Początek listopada przyniósł chłód z północy i silny wiatr od morza. Z drzew opadły niemal wszystkie liście, tworząc wielobarwny dywan, w którym żółć przeplatała się z czerwienią i brązem. Większość ptaków odleciała na południe, a zwierzęta zaczęły zagrzebywać się w legowiskach. Jesień miała niedługo ustąpić miejsca surowej zimie.

– Tylko patrzeć, kiedy spadnie pierwszy śnieg – warknął Jaksza, bardziej do siebie niż do siedzącego obok młodego towarzysza, i mocniej otulił się płaszczem. Chociaż znajdowali się w rybackiej chacie, gdzie nie hulał chłodny wiatr, dygotał z zimna, odzwyczajony od pogody panującej na Północy. Dopiero przed kilkoma miesiącami wrócił z Afryki, a już tęsknił do pustyń, słońca i upałów. Przez ponad dziesięć lat zbrojnym ramieniem wspierał Hiszpanów w walce z niewiernymi, ale teraz postanowił znowu służyć polskiemu królowi. Nie przypuszczał jednak, że ten wyśle go na tak nużącą misję.

– To prawda – odparł zafrasowany giermek, ubrany w jakę z wyhaftowanym czerwonym gryfem. – Niedługo zatokę⁸³ skuje lód, a

83 Chodzi o Zatokę Greifswaldzką u południowych wybrzeży Rugii.

wówczas morzem nikt tutaj nie dotrze. Siedzimy już dwie niedziele i nic.

Stary rycerz podrapał się po przyprószonej siwizną głowie, zastanawiając się, co robić. Nie chciał zawieść monarchy, ale też nie uśmiechało mu się siedzieć tutaj kolejny tydzień. Jak tak dalej pójdzie, z lenistwa utyje i ledwo wlezie na konia.

Kiedy Jagiełło dowiedział się, że hanzeatyci pojмали księcia słupskiego, postanowił działać. Król obawiał się utraty cennego sprzymierzeńca w walce z zakonem i obiecał hojną nagrodę dla tych, którzy go uwolnią. Nie musiał długo czekać.

Szybko znaleźli się śmiałkowie, którzy porwali się na ten czyn. Jaksza musiał przyznać, że zadziwili go owi szaleńcy, którzy zdołali odbić Warcisława i zbiec całej hanzeatyckiej flocie. Tak przynajmniej przedstawił tamte wydarzenia człowiek wysłany przez morskich łupieżców na królewski dwór, żeby dobić targu.

Piraci zażądali okupu w złotych monetach i kosztownościach. Wymiana miała odbyć się na Rugii, a dokładniej na Półwyspie Mnichów, leżącym w południowo-wschodniej części wyspy. Wybór miejsca był bardzo ryzykowny, bo tuż przy hanzeatyckim szlaku handlowym i w bliskiej odległości od Strzałowa. Wysłannik twierdził jednak, że najciemniej jest w świetle pochodni i skoro cała flota Wulflema przeczesuje Bałtyk w poszukiwaniu zbiegów, nikt ich nie będzie szukał pod samym nosem Hanzy.

Jagiełło przystał na warunki i w pierwszej chwili chciał posłać całą chorągiew, ale później stwierdził, że lepiej będzie, jeśli okup zawiezie jeden nierzucający się w oczy człowiek. Potrzebował do tego rycerza, który nie tylko doskonale władał orężem, lecz także miał spryt lisa i cierpliwość pająka wyczekującego w sieci na ofiarę. Wybór padł na Jaksę, któremu w walce niewielu mogło sprostać, a doświadczeniem przewyższał rycerzy obecnych wówczas na królewskim dworze. Do Jaksy dołączył Bogusław, bratanek

Warcisława, choć bardziej dla przygody niż z chęci ponownego ujrzenia stryja. Król nie miał nic przeciwko temu, stwierdził nawet, że dobrze się stanie, gdy księżę słupski po uwolnieniu ujrzy znajomą twarz.

Wyruszając z misją, Jaksa czuł się zaszczycony wyróżnieniem, obecnie zaś je przeklinał. Przecież mógłby teraz być na Wawelu, grzać się przy kominku i zabawiać damy opowieściami o dalekich krajach. Zamiast tego siedział w śmierdzącej rybami wiosce i gapił się na morze.

– Ile jeszcze mamy czekać? – niecierpliwił się młody Gryfita.

Jaksa spojrział na niego. Giermek miał czarne włosy i niebieskie, bystre oczy. Usta zaś wydymał jak dziecko, które nie dostało obiecanej zabawki. Pewnie liczył na to, że przeżyje wspianą przygodę, może nawet stoczy kilka walk, którymi zasłuży na rycerski pas. A tymczasem siedział na ławie i mizerykordią⁸⁴ skrobał ryby na wieczerzę.

– Co będzie, jak nie przyplyną?

– Przyplyną, prędzej czy później – rzekł rycerz i wskazał dwie wielkie sakwy leżące pod ławą. Na noc podkładał je pod własny siennik, aby nikt ich nie skradł. – Nie zrezygnują z takiego skarbu.

Młodzieniec beznamiętnie zerknął na mieszki wypełnione monetami i klejnotami. Nie pojmował ludzi, którzy pożąдали złota. Jedyne, czego pragnął, to okryć się chwałą, zasłużyć na królewską łaskę i przychyłność pewnej damy dworu, którą pragnął uczynić swoją żoną. Ale nie przeszkadzało mu to wodzić cielęcym wzrokiem za córkami rybaka, u którego gościli.

⁸⁴ Mizerykordia (od łac. misericordia – „miłosierdzie”) – wąski, ozdobny sztylet o długiej kłindze, służący do dobijania konającego przeciwnika. Popularny w późnym średniowieczu, gdy do użytku weszły broje płytowe. Dzięki wąskiemu ostrzu można było wbić mizerykordię między płytami pancerza. Rycerze nosili ją u prawego boku.

Młodsza z dziewcząt, Fryda, miała jasne jak zboże włosy, duże piersi i pełne usta – jakby stworzone do całowania. W obecności obcych mężczyzn zachowywała się jak kotka w rui, wdzięczyła się i posyłała uwodzicielskie spojrzenia, za co ojciec często ją rugał. Bogusław płoszył się, czerwienił, więc Jaksą podejrzewał, że młodzieniec po raz pierwszy zetknął się z kobiecą namiętnością. Nie dziwiło go to. Na dworze królewskim niewiasty były bardzo powściągliwe w okazywaniu względów, a Gryfita zapewne nie wystawiał nosa poza Wawel, zatem nie folgował sobie z żonami mieszczan ani wieśniaczkami.

Rycerz natomiast nie miał w tym względzie oporów. Pewnego razu udało mu się zdybać Frydę, gdy brała kąpiel w strumyku. Musiał przyznać, że choć w sztuce miłosnej nie miała dużego doświadczenia, jak na przykład hiszpańskie panny, z którymi miał okazję obcować podczas pobytu na Południu, to o niebo przewyższała je namiętnością i zapalem do igraszek.

Druga z siostr, Bianka, choć równie piękna, była przeciwieństwem Frydy zarówno pod względem wyglądu, jak i charakteru. Włosy miała koloru miedzi, opadające kaskadą na ramiona, oczy zielone, twarz piegowatą. Wiecznie zaciśnięte usta i zachmurzone czoło nadawały jej groźny wygląd. Skryta, prawie nigdy się nie odzywała.

Rycerz dowiedział się od gospodarza, że Bianka jest córką jego pierwszej żony, która zmarła niedługo po urodzeniu dziecka, stąd rozumiała różnica pomiędzy siostrami. Ale niewątpliwie obie były najładniejszymi dziewczętami w osadzie.

– Sądzicie, panie, że mój stryj powróci cały i zdrowy?

– Co? – Jaksą zamrugął powiekami, oderwany od przyjemnych myśli.

– Zastanawiam się, czy piraci stryjowi jakowejś krzywdy nie uczynią – chłopak rzekł głośniej, jakby myślał, że starszy towarzysz ma już słaby słuch. – Wszak to jeno rozbójnicy pochodzący z plebsu i

próżno szukać u nich honoru.

Rycerz zmrużył oczy, spoglądając gdzieś w przestrzeń.

– Niekiedy zwykli bandyci więcej mają honoru niżli wielcy panowie.

– Jakże to?

– Nie urodzenie czyni człowieka szlachetnym, ale to, co nosi w sercu. W swoim życiu widziałem wielu rycerzy niegodnych tego miana, czyniących zło i postępujących gorzej niżli zbiry z najbliższych dzielnic Krakowa. Spotkałem rycerzy, którzy w czasie bitew atakowali wroga od tyłu bądź rzucali się w kilku na jednego. I takich, co w turniejowych szrankach kopiami ranili konia przeciwnika, jeśli innym sposobem nie mogli zdjąć go z siodła. I takich, co podczas wypraw wojennych rabowali kościoły, hańbili niewiasty i ludziom gwałt zadawali dla samej jeno radości patrzenia na czyjeś cierpienie.

– A obyczaj rycerski?! – oburzył się giermek. – Przecież to nim powinien kierować się każdy szlachetnie urodzony mąż.

– Cały ten kodeks to jeno mrzonki! – rzekł Jaksza i machnął pogardliwie ręką. – Wymyśliło go kilku nawiedzonych rycerzy z Prowansji, darmozjadów, którzy w tłuszcz obrastali na dworach seniorów i ich żonom dogadzali w łożu.

– Nie godzi mi się tego słuchać – wyszeptał Bogusław, który nie wiedzieć czemu, nagle oblał się rumieńcem.

– Gdyby Francuzi kierowali się rozsądkiem zamiast wydumanymi kodeksami, które nijak nie mają się do rzeczywistości, to może tak często nie oddawaliby pola Anglikom⁸⁵.

Rycerz roześmiał się i uderzył dłonią w udo, uradowany z własnego żartu. Natomiast młodzieniec nawet się nie uśmiechnął i, marszcząc brwi, z wyrzutem spoglądał na towarzysza.

85 Chodzi o wojnę stuletnią (toczoną pomiędzy Anglią a Francją w wiekach XIV i XV), a dokładniej: o klęski rycerstwa francuskiego w bitwach pod Crécy, Poitiers i Azincourt.

Bogusław ledwie skończył siedemnaście wiosen i jeszcze musiał się wiele nauczyć. W sercu młodzieńca płonęła żądza przygody, głowę miał wypełnioną opowieściami o bohaterskich czynach legendarnych władców lub przechwałkami rycerzy, którzy chcieli podnieść swoją sławę wydumanymi historiami. Gotów był zdobywać twierdze wrogów, ratować dziewice z rąk okrutników, bić się z niewiernymi i toczyć walkę ze złem w każdej postaci.

Nie chciał więc uwierzyć w to, co mówił zręczliwy Jaksa, którego uważał za dobrego woja, ale mającego już najlepsze lata za sobą. Przyszłość należała do młodych, więc, jeśli tylko Bóg da, Bogusław udowodni, że godny jest miana rycerza. Obiecał sobie żyć w prawdzie i chrześcijańskiej wierze, zawsze w pokorze, w umiłowaniu sprawiedliwości, okazując ludziom niższego stanu wielkoduszność, a wrogom miłosierdzie.

Chciał coś odburknąć staremu, ale wtedy drzwi do chaty otworzyły się gwałtownie, a w progu stanął gospodarz – mężczyzna mało postawny i zupełnie nijaki, co dziwiło Jakse, bo przecież spłodził tak dorodne córki jak Fryda i Bianka. Ręce mu się trzęsły i na pierwszy rzut oka widać było, że coś go poruszyło.

– Co się stało? – spytał rycerz.

– Płynie ku nam jakowyś statek – wydyszał. – Zaledwie dwie zdrowaśki temu pojawił się na widnokręgu.

Wysłannik królewski pierwszy zerwał się z ławy i nie bacząc na siąpiący deszcz, wybiegł przed chatę. Omiótł spojrzeniem zatokę, na której oprócz kilku łodzi rybackich dostrzegł również wysoką kogę. Zmrużył oczy, próbując dostrzec flagę na maszcie, ale przy takiej pogodzie było to niezwykle trudne. Ruszył przez plażę i zatrzymał się dopiero w wodzie. Widoczność jednak nadal utrudniała rozpoznanie.

– Chłopcze! – zwrócił się do Bogusława, który pobiegł za nim. – Masz lepsze oczy. Jaki porporzec widnieje na maszcie?

Giermek długo przyglądał się płynącej kodze.

– Zdaje się, że jest biała – rzekł wreszcie. – Z czarnym krzyżem.

Jaksa sięgnął do rękojeści miecza i wysyczał przez zęby:

– Krzyżacy.

Zatoka Greirswaldzka

Listopad 1389 roku

Piaszczyste plaże Rugii w słoneczny dzień mieniły się złotem. Lecz teraz, w siąpiącym z nieba deszczu, w słońcu i niepogodzie, wydawały się szare i ponure. Konrad von Jungingen westchnął ciężko, otulił się szczelniej płaszczem i wyszedł na pokład. Najchętniej w ogóle nie opuszczałby pomieszczenia rufowego, ale poczuł, że koga zmieniła kurs, musiał więc sprawdzić dlaczego.

Dostrzegł Ulryka – stojącego na kasztelu i próbującego coś wypatrzeć w otaczającej ich mgle. Konrad wdrapał się po schodach na górę i stanął obok brata.

– Coś się stało? – zapytał.

– Nic – odparł młodszy z von Jungingenów. – Musimy uzupełnić zapasy jedzenia i wody.

– Dokąd płyniemy?

– Na Półwysep Mnichów – rzekł Ulryk i wskazał cel przed sobą. Widoczność była jednak tak kiepska, że Konrad niczego nie dostrzegł. – Gdzieś tam znajduje się niewielka osada rybacka. Przybiłem do niej, kiedy płynąłem ongiś do Lubeki. Co prawda mieszkańcy nie są zbyt gościnni, ale jak im się przyłoży miecze do gardeł, podzielą się jadłem, wodą i... niewiastami.

Starszy z braci się skrzywił.

– Teraz rozumiem, skąd ten postój, bo przecież wody starczy nam

do samego Gdańska, a nic by się nie stało, gdyby przez kilka dni załoga dochowała postu. Ale do bab wam się cknii...

Ulryk wzruszył ramionami.

– Nic dziwnego, że marynarze chcą sobie trochę poużywać – rzekł.

– Przez cały pobyt w Strzałowie pokładu nie opuszczali. Zresztą na twój wyraźny rozkaz.

– Nie mogłem na to pozwolić – odparł starszy. – To wygłodniałe psy. Jeśli spuściłbym je z łańcuchów, nie skończyłyby się na ładacznicach i podszczypywaniu dziewczek służebnych w karczmach. Wnet do mieszczanek by się dobierali i gwałtem je brali. A zatargów z Hanzą nam nie trzeba.

– Nie dziw się tedy, że ludzi chuć pożera!

– Ciebie też, jak widzę.

– Oczywiście! – rubaszenie huknął młodszy. – W Malborku oglądać będziemy jeno zamkowe mury i zarośnięte gęby mnichów.

– Wróć do Człuchowa.

– Nie warto. – Ulryk machnął ręką. – Tam same szpetne baby.

Konrad pokręcił głową. Sam dawał upust swoim cielesnym żądom o wiele rzadziej od brata i czynił to ze sprawdzonymi, czystymi niewiastami. Nie chciał, żeby potem trapiły go wstydlive choroby. Poza tym, w przeciwieństwie do Ulryka, wierzył w duchowne powołanie i starał się przestrzegać reguł zakonnych.

A w taką pogodę wołałyby przebywać w cieplej komnacie stołecznego zamku, niż zatrzymywać się we wsi nad zimnym morzem. Spieszno mu też było do malborskiej kaplicy, gdzie mógł pogрузić się w modlitwie i własnych marzeniach, snując wizję przyszłości, w której – dzięki łaskawości bożej – obejmuje urząd wielkiego mistrza. Obiecał sobie, że uczyni z zakonu potęgę morską. Flota krzyżacka stanie się silniejsza niżli duńska i norweska razem wzięte, a statki z czarnymi krzyżami na śnieżnobiałych żaglach będą pływać po wszystkich znanych morzach, wyładowane

najcenniejszymi towarami. Miasta Rzeszy złożą mu hołd w Malborku i odtąd kupcy będą odkrywać nowe szlaki handlowe ku chwale zakonu.

– Łąd tuż przed nami – rozległ się głos wachtowego, wrywając Konrada z zamyślenia. – Na brzegu widzę zabudowania. Niechybnie rybackie chaty.

– Podpłynąć jak najbliżej się da i rzucić kotwicę – rozkazał Ulryk i wyszczerzył się do brata. – A nie mówiłem, że to musi być gdzieś tu? Idziesz z nami?

Starszy westchnął ciężko, sprawdził, czy miecz gładko wychodzi z pochwy, i skinął głową. Prawdę powiedziawszy, zaczynał się nudzić i w głębi duszy pragnął się nieco zabawić. Na jego wąskich ustach pojawił się okrutny uśmiech.

Półwysep Mnichów na Rugii

Listopad 1389 roku

Przedzierali się przez las usłany brązowo-żółtym dywanem liści opadłych z rozłożystych drzew. Na bukach widoczne były trójgraniaste orzechy, na dębach – żołądzie, rozkwitły nasiona cisu otoczone czerwoną osówką, a leszczyna błyskała jasnobrązową owocnią. Jednak biegnący ludzie nie zatrzymywali się, żeby nacieszyć oczy pięknem jesieni, tylko pędzili przed siebie, jakby sam diabeł ich gonił.

Przodem podążała miedzianowłosa Bianka, nie wiadomo jakim cudem odnajdując ścieżkę wśród gęstwiny krzaków, za nią podążał blady Bogusław, który po raz pierwszy w życiu znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie i był tym zarówno przestraszony, jak i podekscytowany. Mały pochód zamykał Jaksa. Rycerz co jakiś

czas oglądał się za siebie, spodziewając się ujrzeć goniących ich krzyżackich knechtów. Dwa razy nawet sięgnął po miecz, gdy dostrzegł ruch w zaroślach. Ale za pierwszym razem była to ruda wiewiórka, przeskakująca z gałęzi na gałąź, za drugim – szukająca pożywienia locha z warchlakami.

Gdzieniegdzie z ziemi wystawały wielkie korzenie i uciekinierzy musieli przez nie co rusz przeskakiwać. Pokonywali również zwalone drzewa i spróchniałe gałęzie. Przeszli przez dwa strumyki, a zatrzymali się dopiero na rozległej polanie. W powietrzu rozchodził się słodkawy zapach kwiatów.

– Tu będziemy bezpieczni – rzekła Bianka, siadając na trawie.

Obok niej runął zmęczony Bogusław. Zdyszany Jaksza podziękował Bogu, że ten szalony bieg wreszcie dobiegł końca. Wolałby stawić czoło całej chorągwi krzyżackiej niż biec milę przez tę gęstwinę z dwiema ciężkimi sakwami. Próbując złapać oddech, rozejrzał się po polanie. Jego wzrok spoczął na drewnianej rzeźbie wielkości człowieka, przedstawiającej dziwną postać z czterema twarzami, każdą zwróconą w inną stronę świata.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał zdumiony.

Dziewczyna podążyła za jego spojrzeniem.

– Niegdyś stała tu świątynia pogańska – odparła. – Teraz pozostały po niej jeno ruiny porośłe mchem.

– Jezu Chryste! – krzyknął Bogusław i uczynił znak krzyża. – Gdzieś ty nas przywiodła?!

– Zamilknij, głupcze – syknęła Bianka, spoglądając surowo na młodzieńca. – Chcesz, żeby Krzyżacy nas usłyszeli?

Miedzianowłosa przeniosła wzrok na rzeźbę.

– Nie uraczysz już mocy w tym miejscu – rzekła ze smutkiem. – Jednakże dwa pokolenia nazad składano tu jeszcze ofiary i wznoszono modły do pradawnych bóstw. Teraz wszyscy mieszkańcy wyspy to chrześcijanie. No, może oprócz starej Huliciny, co ma

szalas na Arkonie⁸⁶. Ona jako jedyna na wyspie pamięta język Ranów⁸⁷. Kiedy umrze, nikt już nie będzie posługiwał się mową naszych przodków⁸⁸.

Jaksa jeszcze przez chwilę spoglądał na posąg, zastanawiając się, czy religia chrystusowa za kilka stuleci przeminie tak samo jak wiara w dawnych bogów i czy ludzie znajdą sobie nowe bóstwa? Zaraz jednak, otrząsnąwszy się z grzesznych rozważań, leął na trawie obok Bogusława. Skupił się na tym, co działo się teraz.

Gdy tylko rybacy dostrzegli zbliżający się krzyżacki okręt, zaraz podnieśli larum. Widocznie nie po raz pierwszy mieli do czynienia z panami pruskimi i znali ich okrucieństwo. Nie było już jednak czasu na ucieczkę, więc dzieci i baby pochowały się w chałupach, a mężczyźni chwycili za widły, kosy, siekiery – wszystko, co było pod ręką – i stanęli na plaży, oczekując przybycia niechcianych gości.

Jaksa chciał pozostać z rybakami i wspomóc ich w potrzebie, ale gospodarz przekonał go, że lepiej będzie, jeżeli z Bogusławem opuszczą osadę, bowiem Krzyżacy okrutniej potraktują wieśniaków, jeśli spotkają znienawidzonych polskich rycerzy. Jaksa zdał sobie też sprawę, że przepadłyby sakwy z okupem za księcia Warcisława. I chociaż stary wojownik bez wahania stanąłby do walki z przeważającymi siłami wroga, radując się, że może zatopić miecz w krzyżackich sercach, to rozsądek wziął górę nad pragnieniami i Jaksa musiał przyznać gospodarzowi rację.

Podczas ich rozmowy zjawiała się Bianka i natychmiast powiedziała, że wyprowadzi ich do lasu, w bezpieczne miejsce. Jej

86 Arkona – skalisty przylądek na północnym skraju Rugii. Niegdyś istniała tam wielka świątynia pogańskich Słowian.

87 Ranowie (inaczej: Rugianie, Rujanie) – zachodniosłowiańskie plemię połabskie, zamieszkujące we wczesnym średniowieczu wyspę Rugię i pobliskie ziemie na stałym lądzie. Znani z wypraw pirackich na Danię. Do XII wieku opierali się chrystianizacji i wyznawali kult boga Świątowita.

88 Mowa o ostatniej kobiecie władającej językiem Ranów. Zmarła w 1404 roku.

ojcu się to nie spodobało. Kazał córce wracać do chałupy i nie wychodzić, dopóki nie będzie po wszystkim. Lecz ona należała do tych niewiast, które jak się uprą, to nawet diabeł nie pomoże. Przekonała ojca, że nikt tak dobrze jak ona nie zna okolicznych leśnych ścieżek, więc na nic zdały się groźne spojrzenia oraz gniewne pomruki rybaka. Wreszcie się zgodził, bo nie było czasu na kłótnie. Natychmiast ruszyli biegiem i zatrzymali się dopiero tutaj.

Od strony wybrzeża dobiegały krzyki. Zaniepokojona Bianka spojrziała w tamtą stronę.

– Nie lękaj się – rzekł Bogusław. – Ze mną jesteś bezpieczna. Nie dam cię skrzywdzić.

Dla podkreślenia swoich słów giermek położył dłoń na rękojeści miecza.

– Sama sobie poradzę – prychnęła dziewczyna, z powątpiewaniem spoglądając na chełpiącego się młodzieńca, i bezwiednie dotknęła łuku oraz kołczanu zawieszzonego na plecach. – Nie o siebie się lękam, jeno o tatkę mego, siostrę i sąsiadów.

– Nic im nie będzie – uspokajał Jakska. – Nawet Krzyżacy nie odważą się ich skrzywdzić, wszak to włości księcia rugijskiego, a nie pogańska kraina. Zapewne jeno zrabują worek lub dwa zboża, zabiorą kilka prosiaków, rozdadzą parę szturchańców i odpłyną.

Bianka spojrziała na rycerza jak na wiejskiego głupka.

– Wyście, panie, chyba nigdy z Krzyżakami nie mieli sprawy?

Jakska zmarszczył brwi. Nie trzeba mu było przypominać o okrucieństwie panów pruskich. Z ich rąk postradało życie wielu jego przyjaciół, a i on sam na własnej skórze przekonał się, co znaczy krzyżacka sprawiedliwość, gdy walczył u boku Litwinów w powstaniu, które wybuchło na Żmudzi przed laty. Rycerze z krzyżem na piersiach, którzy wyznawali tego samego miłosiernego Boga co on, nigdy nie okazywali litości. Zabijali zarówno zbrojnych, jak i kobiety oraz dzieci, torturowali jeńców dla samej przyjemności

zadawania cierpień. Tak, dobrze wiedział, co czeka mieszkańców wsi, jeśli stawią opór.

Już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, jakoś pocieszyć dziewczynę, ale zrozumiał, że to próżny trud. Opuścił tylko głowę.

– Przed dwoma laty też przyplłynęli – rzekła Bianka łamiącym się głosem. – Wówczas nikt z rybaków nie bał się ich, przecież to rycerze zakonni, co Boga w sercu mają, w dodatku z zakonu rycerzy z Rzeszy, więc swoich nie ukrzywdzą. A nasz tatko ostrzegał, że nie każdy, kto ma krzyż na piersiach, w sercu nosi nauki Chrystusowe.

Rycerz pokiwał głową. Dawno zorientował się, że ich gospodarz jest mądrym człowiekiem, a te słowa tylko utwierdziły go w tym przekonaniu.

– Mnie i Frydę tatko przezornie ukrył w starej drewnitni, służącej niegdyś za spiżarnię. Tam, przykryte deskami, miałyśmy czekać, aż Krzyżacy odpłyną, i pod żadnym pozorem nie wychodzić.

– Twój tatko miał rację.

– Oj, miał, miał – mówiła dalej. – Mieszkańcy osady chcieli przywitać zakonników zgodnie z prawem gościnności, strudzonych podróżą poczęstować strawą i wodą oraz zaopatrzyć na dalszą drogę. Jednakże Krzyżacy...

Bianka zamilkła na chwilę, a w jej oczach zatańczyły łzy.

– Nie posłuchałam ojca i wygrzebałam się spod desek. Fryda próbowała mnie powstrzymywać, łkała i płakała. Ale ona zawsze była strachliwa. No, chyba że chodzi o cielesne obcowanie. W tym względzie nie ma żadnych oporów i ciągnie ją do chłopów jak pszczołę do miodu.

Bianka mrugnęła okiem, a Jaksza uśmiechnął się pod nosem, dobrze znając zapał, z jakim Fryda oddawała się miłosnym igraszkom. Natomiast Bogusław zarumienił się po same uszy. Nieprzyzwyczajony do tego, że niewiasty tak otwarcie rozprawiały o uciechach cielesnych, najchętniej zapadłby się ze wstydu pod

ziemię. Wychowywał się na dworze królewskim, gdzie nie poruszano tych spraw, a damy były płochliwe niczym sikorki, krygowały się i rumieniły, choć jednocześnie potrafiły wdzięczyc się jak ladacznice w krakowskiej dzielnicy uciech. Młodzieniec nie wiedział, że wśród pospólstwa, ludzi prostych i żyjących bliżej natury pożądanie było czymś tak normalnym jak to, że po zimie następuje wiosna, a słońce wznosi się na wschodzie i chowa na zachodzie.

Bianka szybko spoważniała.

– Ostrożnie zbliżyłam się do drzwi drewnutni i uchyliłam je lekko, żeby lepiej widzieć, co dzieje się na zewnątrz. – Zmarszczyła czoło. – Ledwo Krzyżacy zeszli na brzeg, zaraz sięgnęli po miecze. Zaczęła się rzeź. Wszędzie tryskała krew. Rybacy nawet nie zdążyli chwycić za broń. Zresztą i tak na niewiele to by się zdało, bowiem mieli naprzeciwko zbrojnych, dobrze opancerzonych i znających wojenny fach.

Wzięła głęboki oddech.

– Spoglądałam na to wszystko szeroko otwartymi oczami. Widziałam kumów siekanych krzyżackim żelazem. Widziałam płaczące dzieci rozdeptywane okutymi butami rycerzy zakonnych. Widziałam niewiasty gwałcone w kałużach krwi, na oczach umierających mężów...

Blanka zadrżała.

– Ujrzałam macochę. Czterech krzyżackich knechtów z półkrzyżami na jakach⁸⁹ wyciągnęło ją z chałupy. Tatko próbował jej bronić, rzucił się na nich z pięściami, ale zaraz został powalony na ziemię jednym ciosem nadziaka. Myślałam, że zginął, ale jeno stracił przytomność. Może i lepiej, że nie widział tego, co uczynili z jego

89 Chodzi o półbraci – sługi zakonu, którzy nie mogli zostać rycerzami zakonnymi (nie pozwalało im na to urodzenie bądź nie mieli pochodzenia niemieckiego). Mogli nosić na jakach półkrzyże w kształcie litery T.

żoną.

Jaksa położył dłoń na ramionach dziewczyny.

– Rozdarli jej giezło i nagą rozkrzyżowali na ziemi. Wchodzili w nią po kolei. Na początku drapała i szarpała, ale nie przestawali. Trzymali mocno. Jeden uderzył ją w twarz, zaląła się krwią i dopiero wówczas się poddała. Oczami szklistymi od łez spoglądała w niebo, jakby tam szukała ratunku. Trwało to zaledwie kilka pacierzy, ale mnie wydawało się, że całe wieki. Chciałam tam biec, ratować ją, ale gdy już otwierałam drzwi drewnutni, Fryda wyskoczyła z kryjówki i mnie przytrzymała.

Ponownie zamilkła, opuściła głowę.

– Gdy już było po wszystkim, ten sam knecht, który ją uderzył, wyciągnął nóż i przyłożył do jej gardła. Nie krzyczała i nie błagała o litość, tylko splunęła mu w twarz. Przeciągnął ostrze po jej szyi. Trysnęła krew.

Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała na Jaksę zażawionymi oczami.

– Dlaczego nam to uczynili?

Polak pokręcił głową. Nie znał odpowiedzi. Spędził na krucjatach dobrych kilka lat i niejedno w życiu widział. Starał się postępować zgodnie z rycerskim obyczajem, okazując miłosierdzie pokonanym i szacunek niewiastom. Czasami jednak przymykał oczy na swawolę podkomendnych. Pod gorącym niebem Afryki krew w żyłach mężczyzn wrzała, trudno więc było ich winić za targające nimi chucie. Zdarzało się, że jakaś panna straciła cnotę w wyniku nachalnych amatorów młodego rycerza lub knechci przydybali w ciemnym zakątku dziewczkę. Takie było wojenne prawo. Nigdy jednak Jaksza nie dopuszczał do przelewu krwi.

Zaczerwienił się, słuchając opowieści Bianki. Uświadomił sobie, jak ciężki był los wieśniaków podczas wojennej zawieruchy i hańbionych kobiet podczas przemarszów wojsk. Dla rycerza wojna

była szansą na zdobycie sławy i majątku. Natomiast dla zwykłych ludzi – koszmarem.

Lecz przecież na Rugii nie toczyła się żadna wojna, a i tak Krzyżacy krzywdzili miejscowych. Wyśłannik króla zacisnął mocno dłoń w pięść, aż mu kłykcie pobielwały. W tej samej chwili od strony rybackiej osady dobiegły krzyki. Cała trójka spojrzała w tamtą stronę i ujrzała unoszący się dym.

Rycerz podniósł się wolno. Jego twarz była blada niczym najodleglejsze gwiazdy migające na nocnym niebie, oczy zwęziły się w ciemne szparki, z których wyzierała straszliwa furia.

– Zostańcie tu i pilnujcie sakw! – krzyknął

I nie słuchając protestów Bianki i Bogusława, ruszył w stronę wioski.



Słup dymu wznosił się pionowo, zlewając się na niebie z stalowoszarymi chmurami, z których cały czas padał rzęsisty deszcz. W żaden sposób nie przeszkadzał jednak Krzyżakom w dokonywaniu dzieła zniszczenia. W kałużach krwi leżeli ci, którzy ośmielili się stawić opór. Kruki krążyły już nad ciałami poległych, wietrząc suty posiłek, ale jeszcze bały się do niego zasiadać, gdyż widziały zbrojnych machających mieczami i podkładających ogień pod rybackie chaty.

Większość domostw już płonęła, a z tych, które się uchowały, dobiegał szloch niewiast i rubaszne śmiechy knechtów. Na środku osady klęczeli ci mężczyźni, którzy się poddali. Wściekle zaciskali zęby, słysząc jęki gwałconych kobiet. Nic nie mogli poradzić. Gdyby tylko rzucili się im na pomoc, zaraz nadzialiby się na miecze strażników. Z równym żalem i bólem jak na drzwi chat, za którymi hańbiono ich żony i córki, spoglądali na chlew, skąd zdobywcy wyprowadzali świnię, i na spichlerz, z którego wnoszono worki

zboża. Wiedzieli, że niedługo morze skuje lód i połów ryb stanie się niemożliwy, a wówczas nie będą mieli co jeść. Wzbierała w nich bezsilna złość, ale jedyne, co mogli zrobić, to zacisnąć pięści.

Konrad von Jungingen przyglądał się temu z obojętnością i nieskrywanym znudzeniem. Otarł skrwawiony miecz o umazany błotem płaszcz, a następnie ponaglił knechtów. Nie zamierzał mitrężyć tutaj więcej czasu. Zaspokoił swoją żądzę krwi i chciał jak najszybciej wrócić na statek.

Nie podobała mu się ta okolica. Kiedyś, będąc z wizytą u księcia Rugii, słyszał opowieść o tym, że na wyspie jeszcze niedawno stała świątynia pogańskiego boga. Wewnątrz znajdował się posąg olbrzymiej istoty o czterech twarzach. Dawni wendyjscy⁹⁰ Ranowie składali u jego stóp ofiary z pojmanych jeńców.

Starszy z braci von Jungingen był człowiekiem twardo stąpającym po ziemi i nie wierzył w legendy ani zabobony, ale odczuwał lęk, spoglądając na szumiącą ścianę lasu, jakby zaraz miał wynurzyć się z niej mroczny cień z zamierzchłej przeszłości. Zmrużył oczy, przyglądając się uważnie dębom, bukom, krzewom i niesionym przez wiatr liściom późnej jesieni. Przeżegnał się, po czym zmówił krótki pacierz, mający uchronić go od złego. Zaraz potem pokręcił głową, zły na samego siebie za tak niedorzeczne zachowanie. Nie mógł jednak oderwać oczu od leśnej gęstwiny, jakby przeczuwał, że wydarzy się coś złego. Do rzeczywistości przywołał go głos brata.

– Zobacz, co tu mam! – Ulryk prowadził przed sobą jasnowłosą dziewczynę w podartej spódnicy. Duże piersi próbowała zakryć strzępami odzieży. – Usta ma jak maliny, łono ciepłe i wąskie. Pomyślałem, że ci się spodoba.

Młodszy z von Jungingenów pchnął dziewczę w stronę brata. Konrad skrzywił się z niesmakiem, widząc na jej całym ciele lepkie

⁹⁰ Niemcy i Skandynawowie nazywali Słowian Wendami / Wenedami / Windami.

ślady nasienia. Musiała być brana nie tylko przez Ulryka, lecz także przez całą rzeszę knechtów. Odepchnął ją ze wstrętem. Upadła w błoto. Jeden z rybaków, posiwiał już, nie bacząc na strażników, podbiegł do niej i ją przytulił. Konrad zauważył między nimi podobieństwo. Zapewne ojciec.

– Jak ci się nie podoba, znajdziemy inną – rzekł młodszy brat.

– Nie chcę innej – odburknął starszy. – Wracajmy lepiej na statek.

Ulryk spojrział na niego zdziwiony.

– Dlaczego?

– Mam złe przeczucia.

– Ty i te twoje przeczucia! Nic nam nie grozi. Kto ośmieli się podnieść rękę na zakon krzyżacki?

Gdy tylko wypowiedział te słowa, powietrze niebezpiecznie zadrżało, wiatr wzmógł się, targając nawet najgrubszymi gałęziami pobliskich drzew, a Konrad poczuł, jak przechodzą go ciarki. Podniósł wzrok na las i zauważył, że coś się z niego wylania. W strugach deszczu trudno było stwierdzić, czy to zwierzę, człowiek, a może demon.

– Co u diabła? – zdziwił się Ulryk, chwytając za miecz.

Podskarbi malborski zmrużył oczy, próbując wzrokiem przeniknąć ścianę deszczu. Serce waliło mu jak oszalałe. Obawiał się ujrzeć demona o czterech twarzach, który wylazł z czeluści piekiel, żeby dokonać zemsty za pomordowanych rybaków. Na szczęście to był tylko człowiek. Z piersi zakonnika dobiegło westchnienie ulgi.

Szedł ku nim samotny rycerz o posiwiałych włosach rozwiewanych przez wiatr. W ręku dzierżył obnażony oręż.



Zdyszany Bogusław zatrzymał się na skraju lasu. Nie zdołał dogonić Jaksy, który pomimo wieku szedł żwawym krokiem. Młodzieniec, ukryty za pniem prastarego dębu, obserwował, jak

polski rycerz zmierza wprost w ramiona śmierci. Obok chłopaka pojawiła się Bianka, która dopiero teraz przybiegła.

– Co się dzieje? – wydyszała.

Nie odpowiedział, tylko wskazał na Jakse zmierzającego ku dwóm tuzinom uzbrojonych Krzyżaków.

– Musimy mu pomóc – rzekła. Postąpiła krok do przodu, sięgając po łuk.

Giermek w ostatniej chwili chwycił ją za ramię.

– Oszalałaś?! – warknął. – Już jest stracony. A my, jeśli stąd wyleziemy, zginiemy wraz z nim.

Obdarzyła Bogusława pogardliwym spojrzeniem.

– Strach cię obleciał, co? I ty mienisz się rycerzem?

Zawstydzony, opuścił głowę.

– Jeszcze nim nie jestem...

– I nigdy nie zostaniesz, bowiem w twojej piersi bije serce zająca, a nie wilka – odparła Bianka.

Szarpnęła się, ale młodzieniec trzymał ją mocno.

– Puszczaj!

– Nigdzie nie pójdziesz. Nie pozwolę ci darmo oddać życia.

– I to gada ktoś, kto jeszcze wczoraj sam wypatrywał okazji do walki i gotów był zmagać się z niezliczonymi zastępami wroga!

Bogusław czuł, jak pąsowieje aż po same uszy. Miała rację. Obleciał go strach. Nigdy jeszcze nie był w prawdziwym niebezpieczeństwie, ale zawsze mu się wydawało, że gdy taka chwila nadejdzie, dzielnie się z nim zmierzy. Oczyma wyobraźni widział siebie, jak mężnie staje do boju, z zapalem rzuca się w największy wir walki i gromi nieprzyjaciół. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Dech mu zaparło, ręce drżały i pomimo jesiennej pogody był cały spocony.

Uświadomił sobie, że gdyby doszło do walki, Krzyżacy zarąbaliby go, zanim zdążyłby zadać pierwszy cios. Co z tego, że całe lata ćwiczył rękę w walce mieczem, na zamkowym dziedzińcu

pokonując wyimaginowanych przeciwników, jeśli nigdy nie brał udziału w prawdziwym boju? Nigdy też nie doświadczył bólu przeszywającego ciało, gdy potężne ciosy spadają na pancerz, ani zmęczenia, gdy brakuje sił do wznoszenia miecza, ani lęku, że nie zdoła sparować następnego cięcia przeciwnika. Nigdy nie doświadczył bitewnego ścisku, chaosu i cierpienia. Nigdy jego twarzy nie opryskała tryskająca krew. Nie wiedział, jakie to uczucie zabić innego człowieka. A w postawie krzyżackich knechtów widać było, że mają w tym względzie długoletnią praktykę.

Z zamyślenia wyrwała go Bianka.

– Fryda! Co oni jej zrobili?!

Dopiero teraz zauważył klęczących w błocie mieszkańców wioski, a wśród nich Frydę, tuloną w ramionach ojca. Jej odzież była w strzępach, odsłaniała jędrne piersi i blade uda. Dziewczyna drżała z zimna i przerażenia.

W ich stronę pewnym krokiem zbliżał się Jaksa. W przemoczonym od deszczu ubraniu, z długimi włosami lepiącymi się do twarzy i ze wzrokiem, w którym tliła się żądza mordy, wyglądał niczym szaleniec.

Krzyżacy otoczyli go półkolem, strojąc sobie żarty i drwiąc z samotnego rycerza, ale widać było, że cały czas mieli się na baczności, bowiem coś w jego postawie kazało im zachować czujność. Wystarczająco długo trudnili się wojennym fachem, by po płynnych ruchach i sposobie, w jaki trzymał miecz, rozpoznać wprawnego szermierza.

– Zatrzymaj się! – zakrzyknął jeden z dwóch krzyżackich dostojników. – Kim jesteś?

Jaksa nie odpowiedział i nie zwolnił kroku. Jeden z knechtów zbliżył się i wycelował w niego sztychem miecza. Polak jakby od niechcenia ciął na odlew. Krew trysnęła fontanną z rozplatanego gardła. Krzyżacki żołdak zatoczył się i martwy runął w błoto.

Rycerz nie czekał. Dосkoczył do następnego wroga, uderzył od góry, tak że ostrze rozrąbało bark nieszczęśnika. Następnie poszedł za impetem broni i, lekko skręcając oręż, ciął przez brzuch kolejnego knechta. Obaj słudzy zakonni padli na ziemię. Pierwszy dogorywał w drgawkach, drugi jęczał i próbował dłońmi zatrzymać wylewające się trzewia.

Pozostali żołnierze, którzy dotychczas przyglądali się z osłupieniem, jak jakiś przybłęda w ciągu niecałej zdrowaśki powalił trzech ich towarzyszy, dopiero teraz rzucili się do ataku. Jaksa przyjął pierwszy cios na zastawę, a następnie ciął w nogi przeciwnika. Wykonał błyskawiczny półobrót, by uniknąć wymierzonego weń sztychu, i uderzył z impetem w kark knechta, odrąbując mu głowę. Nie miał jednak czasu na podziwianie precyzji własnego cięcia, ponieważ musiał odpierać kolejne ataki.

Blokował ciosy, wykonywał uniki i odpowiadał szybkimi sztychami. Sprawnie przechodził z obrony do ataku, ogarnięty furią rozdawał ciosy na prawo i lewo. Zdawało się, że to sama śmierć tańczy w kropkach rzęskiego deszczu. Krzyżacy nacierali dwójkami, ale to nic nie dawało. Jaksa nadal trzymał się na nogach.

Wreszcie, zdyszani i zmęczeni walką, odstępili. Przywołali kusznika. Ten ściągnął z ramienia broń, sprawnie naciągnął cięciwę, nałożył belt i wycelował w rycerza. Jaksa ruszył w jego kierunku. Obryzganym krwią, z nienawiścią płonąca w oczach wyglądał jak demon, nic więc dziwnego, że krzyżacki knecht drżał ze strachu. A rycerz nie spieszył się, jakby był przekonany, że żadna krzywda nie ma prawa mu się stać. Roztrzęsiony Krzyżak wreszcie odnalazł spust i go nacisnął. Usłyszał tylko głuchoe kliknięcie i z niedowierzaniem spojrzął na pocisk, który pozostał w łożu kuszy. Pomyślał, że to przez zamoczoną na deszczu cięciwę. Była to ostatnia myśl w jego życiu.

Jaksą głęboko wbił klingę w ciało żołdaka. Zbyt głęboko. Ostrze

przeszło na wylot i głównia ugrzęzła między żebrami. Rycerz szarpnął, próbując ją wyrwać, ale to nic nie dało. Pośmiertny skurcz mięśni zablokował brzeszczot na dobre, a nie było czasu, żeby teraz się z nim mocować. Pozostali knechci już nacierali.

Polak puścił rękojeść miecza, wyrwał kuszę z rąk trupa i uderzył nią pierwszego z napastników. Łuczysko⁹¹ wbiło się w głowę, a krew trysnęła niczym z fontanny. Niezrazeni tym Krzyżacy uderzali, cięli, rąbali, a rycerz zasłaniał się kuszą jak tarczą.

Tymczasem mieszkańcy wioski spoglądali na to, co się dzieje, z nadzieją i niepoprawną wiarą, że samotny rycerz poradzi sobie z doborowym oddziałem żołnierzy. Jednakże żaden nie rzucił się mu na pomoc ani nie spróbował obezwładnić pilnujących ich strażników. Przyglądali się tylko.

Cud nie nastąpił.

Wyczerpany walką rycerz nie zdołał zablokować jednego z ciosów wymierzonych w głowę. Na szczęście ostrze miecza ześlizgnęło się tylko po skroni. Jaksza zalał się krwią i padł na ziemię. Knechci krzyknęli triumfalnie i ruszyli, żeby go dobić.

Bogusław wstrzymał oddech. Znał starego wojownika dopiero od kilku tygodni, ale ogarnął go smutek na myśl, że zaraz zginie. Żał tak potwornie, że wybuchł gniewem. Młodzieniec zacisnął mocno pięść i w tej właśnie chwili opanowało go uczucie, którego nigdy wcześniej nie doświadczył. Ciało ogarnęła gorączka, czerwona mgła zasnuła oczy.

Wyciągnął miecz, wyszedł z ukrycia, wykrzykując na całe gardło bojowe zawołanie swojego rodu, i ruszył z odsieczą staremu rycerzowi.

⁹¹ Łuczysko – część kuszy magazynująca i oddająca energię kinetyczną w celu wystrzelenia pocisku. Ma kształt łuku i działa jak on, ale jest znacznie twardsza i krótsza.



Konrad był pełen podziwu dla tajemniczego rycerza, który zjawił się nie wiadomo skąd i powalił kilku jego ludzi. Pomimo słusznego już wieku walczył z młodzieńczą pasją i zaciekleścią, jakiej dostojnik krzyżacki nigdy wcześniej nie widział. Miał siłę wołu, zwinność rysia i szybkość jelenia. Von Jungingen wiedział już, wbrew swym wcześniejszym obawom, że to nie demon, ale człowiek z krwi i kości. Ale skąd się wziął w tej wioszczynie? Tego pragnął się dowiedzieć. Pomyślał nawet, że dobrze by było, gdyby ktoś taki służył pod jego komendą.

Jednak było to niemożliwe, gdyż przeciwnik okazał się Polakiem, co Krzyżak poznał po herbie wyhaftowanym na jego jace. A w zakonie krzyżackim mogli służyć tylko rycerze z Rzeszy. No, chyba że zdecydowałby się na zostanie półbratem, ale dostojnik nie sądził, żeby moczarsz przystał na przyjęcie tak mało znaczącej pozycji.

Podskarbi westchnął z zalem i w zaciekawieniu obserwował dalszą walkę. Polak musiał wreszcie zginąć, bo najlepszy nawet szermierz nie zdoła pokonać dwóch tuzinów zbrojnych. Gdy jednak krzyżaccy żołdacy padali jeden po drugim, w serce zakonnika wdarła się wątpliwość. Zmarszczył brwi i położył dłoń na głowicy miecza. Jeśli dalej tak pójdzie, będzie musiał sam stawić czoło temu niezwykle przybyszowi. Chyba że wcześniej uczyni to Ulryk, który był o niebo lepszym wojownikiem od niego i nigdy nie stronił od walki.

Zerknął na brata, ale i on nie miał zamiaru się wtrącać. Roześmiany od ucha do ucha, z rękoma założonymi na piesiach oglądał starcie. Od czasu do czasu mruczał coś pod nosem lub kręcił głową z dezaprobatą, widząc nieporadność żołnierzy. „Zapewne w Człuchowie lepiej szkolił swoich podkomendnych” – pomyślał Konrad i ponownie przeniósł spojrzenie na plac boju.

A tam tajemniczy rycerz, straciwszy miecz, bronił się kuszą

odebraną jednemu z knechtów. I chociaż pozostali cały czas nacierali na niego, trzymał się dzielnie i nie sposób było go powalić. Parował ciosy, wykonywał uniki i atakował, gdy była ku temu okazja, ale kusza to nie miecz, więc zamaszyste ciosy rzadko dochodziły celu. Wreszcie któryś z knechtów zdołał trafić Polaka i ten, ranny, runął w błoto.

Starszy von Jungingen odetchnął z ulgą.

– Brać go żywcem!

Musiał się dowiedzieć, co robi tutaj polski rycerz.

Nagle usłyszał zawołanie bojowe dochodzące od strony lasu, wykrzywane piskliwym głosem. Ujrzał młodzieńca z obnażonym mieczem. Za nim z leśnej gęstwiny wyłoniła się dziewczyna. Sięgnęła po łuk i wystrzeliła w stronę knechtów. Strzała mocno chybiła celu i wbiła się w ścianę jednej z rybackich chat.

– A to co znowu? – spytał Ulryk, bardziej zaciekawiony niż zaniepokojony.

– Na nich! – rozkazał Konrad, który miał już dosyć wszelkich niespodzianek. Jedyne, o czym marzył, to wrócić na statek i odплыnąć z tej niegościnniej wyspy. Złe przecucia wciąż go nie opuszczały. – Tych też chcę mieć żywcem.

Knechtom nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zaraz ruszyli na młodzieńca i dziewczynę z łukiem. Chłopak zdołał zaledwie dwa razy machnąć mieczem, gdy wytracono mu broń i powalono na ziemię. Z łuczniczką nie poszło tak łatwo. Zanim ją pochwycili, zdołała jeszcze posłać dwie strzały. Tylko druga doszła do celu – utkwiała w barku jednego z żołdaków. Podskarbi pomyślał, że na szczęście rana nie jest śmiertelna, bo nie mógł sobie pozwolić na stratę kolejnych ludzi.

Cała trójka została związana i rzucona na kolana przed obliczem zakonników. Rycerz miał twarz oblepioną krwią.

– Kim jesteś i czego tutaj szukasz? – spytał starszy z von

Jungingenów.

W odpowiedzi Polak splunął. Ulryk podszedł i wymierzył mu cios opancerzoną dłonią.

– Odpowiadaj, kiedy mój brat grzecznie pyta!

Jeniec próbował się uśmiechnąć, ale jego rozcięte usta skrzywiły się tylko w bólu.

– Zostaw go – rzekł Konrad. – Nic nie rzeknie. Z takiego jak on siłą niczego nie wydusisz. – Zamilkł na chwilę i spojrzał na chłopaka. – Ale może jego młodszy towarzysz będzie bardziej skłonny do rozmowy?

Młodzieniec wbił w niego spojrzenie pełne nienawiści. Gdyby tylko mógł, rzuciłby się na krzyżackiego dostojnika, choćby z gołymi pięściami.

– Niczego się ode mnie nie dowiecie, psy!

– Wielka szkoda – westchnął starszy dostojnik z udawanym zawodem. – Jeśli nie chcecie po dobroci, trzeba będzie użyć innych metod. Mógłbym kazać cię torturować, przypalać nad ogniskiem, powolutku odcinać kolejne części ciała, pozbawić męskości... Prędzej czy później wszystko byś mi wyjawiał jak na spowiedzi. Ale nie mam na to czasu.

Spojrzał na miedzianowłosą łuczniczkę, która, choć klęczała skrzepowana u jego stóp, głowę miała podniesioną wysoko, a z jej zielonych oczu wзираła wściekłość.

– Dziwne to czasy nastały, gdy niewiasty za broń chwytają – rzekł, uważnie przyglądając się brance. – Po twoim stroju i wyglądzie wnoszę, że jesteś wieśniaczką. Czemu zatem za łuk chwytasz i pomagasz tym przybyszom?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– Nie chcesz mówić, trudno. – Wzruszył ramionami i kazał podać sobie jej kołczan. Przez dłuższą chwilę oglądał łuk, sprawdził naciąg i obejrzał strzały. – Dobra robota – rzekł z uznaniem. – Jednakże

powinnaś jeszcze poćwiczyć strzelanie. Niestety, nie będziesz miała ku temu okazji.

Skinął na brata.

– Zabij ją!

Ulryk bez wahania wyciągnął zza pasa mizerykordię. Co prawda, wolałby miedzianowłosą najpierw posiąść, choćby tutaj – w błocie i lejącym się z nieba deszczu – ale wiedział, że musi być posłuszny rozkazom brata. Bez żalu przystawił ostrze sztyletu do gardła dziewczyny.

Nawet nie drgnęła, tylko w jej oczach zatańczyły łzy. Natomiast rozległy się jęki i płacze przerażonych rybaków. Polski rycerz szarpał się, jakby chciał pospieszyć Biance na ratunek, ale więzy mocno trzymały.

– Zostawcie ją! – błagalnie krzyknął młodzieniec. – Wszystko powiem, tylko jej nie zabijajcie.

Starszy z von Jungingenów wznosił rękę, dając znak Ulrykowi, żeby się wstrzymał.

– Mów zatem.

Chłopak wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Jam jest Bogusław, siostrzeniec księcia słupskiego Warcisława, a tym rycerzem obok jest Jaksa, poddany króla polskiego...

– Zamilknij! – wycharczał stary wojownik. – I tak nas zabiją.

Młodzieniec przełknął ślinę i spojrzał niepewnie na towarzysza, a potem przeniósł wzrok na Konrada.

– Mów dalej, chłopcze – rzekł krzyżacki dostojnik. – Daję ci słowo, że jeśli wszystko wyjawisz, ostawimy was przy życiu.

Jaksa próbował się roześmiać, ale z jego gardła dobiegł tylko charkot.

– Łże jak pies. Krzyżackie słowo nic nie jest warte.

Podskarbi skinął na brata, a ten uderzył polskiego rycerza, który zwałił się na ziemię. Próbował się podnieść i coś jeszcze powiedzieć,

ale ponownie opadł w błoto. Konrad spojrział groźnie na Bogusława.

– Mów!

Gryfita zerknął na Jakse, potem na drżącą z zimna i strachu Biankę.

– Przybyliśmy tutaj, żeby zapłacić okup piratom za księcia Warcisława – powiedział. – W krzakach zostawiłem dwie sakwy wypełnione kosztownościami. Zabierzcie je i ostawcie nas przy życiu.

Knechci z błyskiem w oku spojrzeli w stronę lasu i gdyby nie obecność krzyżackich dostojników, rzuciliby się do przeszukiwania zarośli.

Młodszy von Jungingen roześmiał się i rzekł:

– Zdaje się, bracie, że los nam sprzyja i to, czego szukaliśmy, samo wpadnie nam w ręce.

Konrad jednak nadal miał złe przeczucia. Nie wiadomo dlaczego, był przekonany, że zaraz wydarzy się coś niedobrego.



Pojawili się cicho niczym upiory. Nadeszli od strony morza, wyłaniając się z mgły i ściany deszczu. Prawie setka zbrojnych o ponurych twarzach i oczach pałających żądzą mordy. Odziani w wytarte łachy, wysłużone kaftany i pordzewiałe pancerze. W rękach dzierżyli miecze, tasaki, topory. Wyglądali na rozbójników, którymi rzeczywiście byli. Wystarczył jeden rzut oka na przestraszonych wieśniaków trzymany pod mieczem i trójkę ludzi klęczących u stóp rycerzy zakonnych, żeby przybysze zrozumieli, co się stało. Natychmiast rzucili się na Krzyżaków.

Natarli z furją, niczym huragan uderzający w samotny żaglowiec na pełnym morzu. Cięli, rąbali i kłuli, nie okazując litości. W stalowe niebo nad Rugią wzniosły się szczęk oręża i krzyki umierających. Krew tryskała, obryzgując umorusane błotem twarze walczących.

Wśród napastników największe przerażenie budził rudowłosy olbrzym walczący bastardem. Nie sposób było go trafić, bowiem nawet w grząskim błocie poruszał się z szybkością błyskawicy. Zadawał ciosy i natychmiast odskakiwał, a tam, gdzie uderzał, padał trup. W jego niebieskich oczach tliła się żądza mordu powodowana nie samą radością zabijania, ale bezwzględnością wobec wroga. Od czasu do czasu zatrzymywał się w tańcu śmierci, by się rozejrzeć, ocenić sytuację i wydać rozkazy.

Po kilku pacierzach spośród zakonników stali na nogach tylko Konrad i Ulryk. Większość knechtów nie żyła, a ci, którzy uszli z życiem, rzucali broń, błagając o litość lub uciekali w leśną gęstwinę, wierząc, że tam znajdą bezpieczną kryjówkę.

Bracia von Jungingen walczyli ramię w ramię niczym drapieżne zwierzęta osaczone przez myśliwych, samotne i zdesperowane, ale tym bardziej niebezpieczne. I choć krwawili z licznych ran, a w płucach brakowało im tchu, wznosili oręż raz za razem.

Wreszcie, wycieńczeni walką, oparli się plecami o siebie i otoczeni przez wrogów z coraz większym trudem odpierali ataki. Nagle napastnicy odstąpili, a przed tłum wyszedł rudowłosy olbrzym. Obdarzył zakonników uważnym spojrzeniem i rzekł:

– Rzućcie broń, a oszczędzicie życie.

Konrad opuścił lekko miecz i widać było, że się zawahał. Ledwo trzymał się na nogach i zdawał sobie sprawę, że zdoła przyjąć co najwyżej kilka ciosów na zastawę, zanim zmęczone ramię opadnie, a wówczas ostrze zardzewiałego topora lub tasaka rozłupie mu czaszkę. Ale jego brat prychnął z pogardą i odparł:

– Nie zegnę karku przed zbójami napadającymi na niewinnych zakonników.

Rudowłosy potoczył spojrzeniem po spalonych domostwach i trupach rybaków. Spojrzał na drżące z zimna dzieci i pohańbione niewiasty, próbujące okryć się strzępami odzieży.

- Niewinnych? – Uniósł brew. – Kto tu jest zbrojcem?
- Kim jesteś?! – krzyknął Konrad. – Wyjaw nam swoje imię.
- Klaus Störtebeker.

Starszy z braci przyjrzał się rudowłosemu, a później uśmiechnął się samymi kącikami ust.

– A więc to ty.

– Znasz mnie?

– Słyszałem o tobie. Dostarczasz wielu trosk Bertramowi Wulflemowi.

– Do usług! – odpowiedział pirat, kłaniając się lekko. – Oddajcie miecze, a obiecuję, że z życiem was ostawimy.

Konrad jeszcze przez chwilę rozważał propozycję, a potem pokiwał głową i opuścił broń.

– Co robisz, bracie?! – zawołał zdziwiony Ulryk.

– Nie mamy szans – podskarbi próbował go uspokoić. – Życie jeno stracimy, jeśli stawimy opór. Odłóż miecz.

– Nigdy! – odrzekł tamten, celując sztychem w rudowłosego. – Jeśli chcesz mojego oręża, to go sobie weź.

Störtebeker pokiwał głową i z obnażonym ostrzem ruszył na zakonnika.

– Jest mój – rzekł do swoich ludzi. – Nie wtrącajcie się.

Pirat uderzył pierwszy, mocno, z góry, jakby trzymany przez niego miecz był zaledwie piórkiem, a nie kawałem ciężkiego żelaza. Krzyżak przyjął cios na zastawę, a siła uderzenia prawie wbiła go w ziemię. Nie miał czasu na odpowiedź, bowiem olbrzym znowu natarł. Tym razem wyprowadził zamaszyste cięcie, którego Ulryk uniknął w ostatniej chwili, stawiając krok w tył. Ostrze miecza Störtebekera minęło go dosłownie o włos i gdyby nie unik zakonnika, niechybnie rozplatałoby mu brzuch. Dostojnik krzyżacki oczyma wyobraźni widział już swoje trzewia wylewające się w błoto. Zaciśnął mocno zęby i przystąpił do ataku.

Teraz rycerz uderzał raz za razem, a Klaus cofał się pod gradem ciosów. Nagle sztych krzyżackiego miecza dosięgł Störtebekera i zostawił na jego policzku krwawy ślad. Rudowłosy zachwiał się, a Ulryk ryknął triumfalnie. Zaniepokojeni takim obrotem sprawy piraci postąpili krok do przodu, jednakże przywódca powstrzymał ich gestem dłoni. Otarł krew z policzka i wrócił do walki.

Starcie przebiegało w szalonym tempie, z brzeszczotów sypały się iskry. Każdy z ciosów zadawany był z miażdżącą siłą. Zdawało się, że bój toczą bohaterowie z dawnych opowieści, a nie zwykli śmiertelnicy. Cięcie za cięcie, sztych za sztych. Żaden z szermierzy nie mógł zdobyć przewagi.

Klaus uniknął ciosu krzyżackiego miecza i natychmiast zadał pchnięcie w szyję. Von Jungingen zdołał je zablokować i odpowiedział atakiem w nogi. Bez powodzenia. Odskoczył, by złapać oddech.

Mężczyźni zaczęli krążyć wokół siebie, uważnie obserwując swoje ruchy, w każdej chwili gotowi do skoku.

Pierwszy zaatakował Krzyżak, ale jego szerokie cięcie trafiło w próżnię. Rozbójnik natychmiast odpowiedział sztychem, który naruszył kolczugę zakonnika. Ten ryknął wściekle i spojrzął na krwawiące ramię. W jego oczach, być może po raz pierwszy w życiu, pojawił się strach. Zaklął, by dodać sobie animuszu, i ruszył do przodu.

Skoczył niczym lew na ofiarę, ale rudowłosy nie dał się zaskoczyć. Sparował dwa uderzenia i podciął Ulryka. Ten jednak się nie poddawał. Przeturlał się w błocie, unikając ciosów spadających z góry, błyskawicznie stanął na nogi i ciął przez pierś przeciwnika. Ale znowu trafił w próżnię.

Teraz atakował już tylko Klaus. Jego uderzenia okazały się tak silne i szybkie, że niewielu byłoby w stanie je sparować, jednakże młodszy z von Jungingenów był jednym z najznamienitszych rycerzy zakonu

i jeszcze nie spotkał nikogo, kto zdołałby go pokonać. Dlatego Konrad nie mógł uwierzyć własnym oczom, że jego brat cofa się pod gradem ciosów zwykłego pirata. Wreszcie miecz wypadł z ręki Ulryka, a ten, wyczerpany, runął na kolana.

Rudowłosy podszedł i przystawił sztych do jego gardła.

– Dobij – wyszeptał zakonnik.

Störtebeker wahał się. Opuścił jednak miecz i pokręcił głową.

Młodszy von Jungingen splunął.

– Zabierzcie tych, co jeszcze dychają, i odpłyńcie – rzekł rudowłosy.

– Puszczasz nas wolno? – zdziwił się Konrad.

– A na co mi dwaj krzyżacy dostojnicy? – roześmiał się Klaus. – Zakon nie jest rychliwy do płacenia okupu, bowiem na wasze stanowiska czeka już tuzin innych braci.

Podskarbi skinął w podziękowaniu głową. Tymczasem Ulryk usiłował stanąć na nogi.

– Dopadnę cię i zabiję, psie! – wycharczał.

– Zamilknij! – krzyknął rozkazująco Konrad, a w jego głosie tkwiła taka siła, że brat natychmiast posłuchał.

Gdy Störtebeker spoglądał, jak dwaj zakonnicy z ocalałymi knechtami szli w stronę statku, podeszła do niego Bianka.

– Naprawdę puścisz ich wolno? – warknęła, rozmasowując obolałe nadgarstki. Dopiero co przecięto jej więzy.

Skinął głową.

– Dlaczego?

– Nie zabijam bez potrzeby.

W zielonych oczach dziewczyny błysnęła wściekłość.

– Krzyżacy zabili dziesięciu rybaków, pohańbili niewiasty, w tym moją siostrę, spalili nasze domostwa. Trzeba było nam ich oddać. Wymierzylibyśmy im sprawiedliwość.

Herszt łupieżców przyjrzał się jej uważnie.

– Nie – odparł. – To byłaby zemsta, a nie sprawiedliwość.

– A co za różnica? – prychnęła.

Wzruszył ramionami. Sam nie wiedział, bowiem te dwie rzeczy dzieliła bardzo płynna granica. Zastanawiał się przez chwilę, czy jednak nie zwołać ludzi i nie kazać wybić oddalających się Krzyżaków, ale zrezygnował. Przecież dał słowo. Co prawda był tylko zwykłym rozbójnikiem morskim, którego słowo niewiele znaczyło, ale uważał, że raz danego przyrzeczenia nie można cofnąć.

Konrad von Jungingen odwrócił się i zmierzył pirata wzrokiem. Klaus przeczuwał, że jeszcze się spotkają.



Rozdział 8

Roskilde

Grudzień 1389 roku

Hanning Podebusk musiał przyznać, że Małgorzata wyglądała dzisiaj olśniewająco, ubrana w długą, suto fałdowaną spódnicę z adamaszku i spięty ozdobną taśmą płaszcz z gronostajów. W zimowej aurze jej blada twarz emanowała niedostępnym pięknem, a niebieskie oczy wydawały się okruchami lodu. Królowa prezentowała się znakomicie, mimo że liczyła już trzydzieści sześć wiosen, więc trudno było uznać ją za młodkę. Na dodatek urodę dziedziczyła po ojcu Waldemarze, a nie po matce Helwidze ze Szlezwiku, która była najpiękniejszą z kobiet, jakie Podebusk widział w swoim długim życiu. Starzec uśmiechnął się pod nosem na wspomnienie upojnych chwil, które spędził z matką Małgorzaty.

Ich romans trwał zaledwie kilka miesięcy, a zaczął się niedługo po tym, jak przybyła do Danii. Helwiga nigdy nie pokochała męża, a Waldemara Atterdaga bardziej zajmowało wojowanie i toczenie sporów z sąsiadami niż dogadzanie młodej i namiętnej żonie, która samotnie spędzała noce w wielkim małżeńskim łóżu.

Hanning był wówczas mężczyzną w średnim wieku, pewnym siebie i wpływowym. Nic więc dziwnego, że kobiety wypatrywały za nim oczy. Królowa nie była wyjątkiem. Doszło do tego, że nie było dnia, żeby jej nie brał – czy to w królewskiej sypialni, czy w zakamarkach zamku, a pewnego razu nawet w sali tronowej, na siedzisku władcy. Ale wreszcie ich namiętność zgasła i romans się

skończył.

Potem Helwiga rodziła Waldemarowi dzieci. Niestety, dwoje z nich zmarło, a przeżyła tylko najmłodsza córka – Małgorzata. Po kilku porodach królowa nie była już tak piękna jak niegdyś, mimo to zakochał się w niej niejaki Folker – rycerz, który stracił dla niej głowę. Dosłownie. Po odkryciu ich romansu Waldemar kazał go ściąć, a królową odesłał do klasztoru, gdzie jakiś czas później zmarła⁹².

Doradca rozejrzał się po sali i, gdy upewnił się, że żaden z dworzan nie może ich usłyszeć, rzekł:

– Sprawy, niestety, nie idą po naszej myśli. Obawiam się, że Sztokholm tak szybko nie padnie.

Zauważył, że Małgorzata mocno zaciska wąskie usta.

– Dlaczego? – rzuciła zimno.

Hanning mocniej oparł się na lasce, jakby ciężar tego, co ma do powiedzenia, jeszcze bardziej go przytłaczał.

– Połowa naszej floty nie dotarła pod Sztokholm. W drodze złapał ich sztorm, tuzin statków zatoneło, a większość została poważnie uszkodzona i musiała wrócić do Danii.

– Przecież nawet połowa wysłanych wojsk powinna rychło zdobyć miasto!

Pokręcił głową.

– Zima nadeszła szybciej, niż przypuszczaliśmy. Łód skuł nawet pełne morze i statki nijak nie mogą zbliżyć się do szwedzkiego wybrzeża. Z oblężeniem musimy poczekać do wiosny.

Starzec spostrzegł pogłębiającą się bruzdę na czole królowej.

– Na szczęście nasza flota blokuje wejście do portu, zatem mieszkańcy Sztokholmu nie otrzymają żadnej pomocy – dodał pospiesznie.

92 Przypuszcza się, że innym powodem umieszczenia królowej w klasztorze było utrzymywanie przez króla kochanki o imieniu Tove.

– A Hanza?

– Na razie nie podejmuje żadnych działań. Co prawda ogłosiła mobilizację w swoich miastach, ale nie wygląda na to, żeby w tym roku coś przedsięwzięli. Mieliście rację, królowo. Hanza nie ruszy z pomocą Sztokholmowi. Przynajmniej na razie.

Małgorzata skinęła głową. Na jej obliczu wreszcie pojawił się lekki uśmiech.

– Zatem musimy uzbroić się w cierpliwość.

Hanning uklonił się, oddając hołd mądrości władczyni.

– A co ze sprawą księcia Warcisława? – nagle zmieniła temat.

– Wszystko potoczyło się tak, jak sobie życzyliśmy – Moźnowładca uśmiechnął się szeroko. – Zgodnie z moim przypuszczeniem król Polski, Jagiełło, okazał się żywo zainteresowany księciem słupskim. Wyznaczył nagrodę dla tego, kto odbije go z rąk hanzeatów. I rychło znalazł się taki śmiałek.

Małgorzata uniosła lekko brew.

– Któż taki?

– Niejaki Störtebeker. Nazywają go tak, gdyż potrafi wypić antałek piwa za jednym razem. Ponoć był sternikiem na jednym z holców Bertrama Wulflema. Gdy tylko dowiedział się o nagrodzie, namówił załogę do buntu. Udało się im dostać na flagowy okręt hanzeatów, wyrwać Warcisława i umknąć całej flocie.

Królowa klasnęła w dłonie.

– A to ci dopiero! Burmistrz Strzałowa minęć musiał mieć nietęgą.

– Zapewne.

– Opowiadaj dalej!

– Störtebeker przekazał Warcisława w ręce Polaków, zgarniając za to niemały okup. Teraz ksiązę słupski gości u Jagiełły. Ponoć lada dzień mają podpisać układ, na mocy którego Warcisław zobowiąże się walczyć przeciw Krzyżakom.

Małgorzata z zadowoleniem rozparła się na siedzisku.

– Bardzo jestem rada – rzekła. – Za jednym zamachem udało się uwolnić ojca Eryka, utrzymać nosa hanzeatom i uniemożliwić Krzyżakom zmuszenie księcia Słupska do sojuszu.

Wydawało się, że władczyni przestała się martwić niepowodzeniem floty mającej zdobyć Sztokholm.

– Niepokoi mnie tylko jedno...

– Cóż takiego, moja pani?

– Ten rezolutny sternik. – Zmarszczyła czoło. – Jak mu tam?

– Störtebeker.

– Störtebeker. Co potem się z nim stało?

– O ile mi wiadomo, teraz trudni się morskim rozbójnictwem.

– Czy może stać się dla nas groźny?

Podebusk machnął lekceważąco ręką.

– Piracki żywot nie jest długi – odparł. – Daję mu kilka miesięcy. Jeśli nie zabije go własna załoga, wpadnie w hanzeatyckie ręce. A wówczas położy głowę na katowskim pieńku.

Małgorzata przez dłuższą chwilę spoglądała na wirującą za oknem płatką śniegu.

– Obyś miał rację.

Strzałów

Grudzień 1389 roku

Bertram Wulfem szczerze otulił się baranym kożuchem, nałożył na głowę ciepłą czapkę podszytą futrem i niczym kula wystrzelona z bombardy wypadł z ratusza. Na zewnątrz przywitało go mroźne powietrze i śnieżna zamieć. Pochylił się i przebijając się przez zawieruchę, pognął w stronę portu. Ulice były puste. W taką pogodę niewielu mieszkańców opuszczało swoje domy. Burmistrz

najchętniej by zawrócił, schował się w zaciszu ratusza i nie wychylał nosa przez całą zimę. Ale zamiast tego przyspieszył kroku.

Zatrzymał się dopiero na nabrzeżu i z bijącym sercem spoglądał na zbliżający się żaglowiec. Gdy usłyszał, że do portu w Strzałowie podchodzi statek, nie miał wątpliwości, że to wreszcie płynie wyczekiwana „Biała Dama” z Katarzyną na pokładzie.

Nie mógł się już doczekać spotkania z wybranką. Tak długo marzył o tej chwili, o tym, że będzie mógł przypatrywać się dziewczynie do woli, spoglądać w jej niepokojąco brązowe oczy, zachwycać się kosmykami włosów i podziwiać grację, z jaką się porusza. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, w to, że niedługo połączy ich węzeł małżeński i będzie mógł ją brać, kiedy tylko poczuje ochotę. Oczyma wyobraźni widział Katarzynę nago, ugniatał jej niewielkie piersi, całował szyję i zagłębiał się w jej wilgoć. Poczul przyjemny dreszcz rozkoszy...

Ale na to wszystko przyjdzie jeszcze czas. Teraz skupił spojrzenie na żaglowcu. Nagle zmarszczył czoło. Coś mu nie pasowało. Płynąca koga na pewno była hanzeatyckim statkiem, ale stwierdził ze smutkiem, że to nie jest „Biała Dama”. Minęły dwie zdrowaśki, zanim Wulflem rozpoznał statek, a wtedy bruzdy na jego czole jeszcze bardziej się pogłębiły. Teraz już był pewien, że to „Bursztyn”. Zdziwił się, bowiem Simon van Utrecht miał prezimować w Anklam i wczesną wiosną, gdy tylko lód puści, ponownie wyruszyć na poszukiwanie Klause Störtebekera. Burmistrz uparł się go ścigać, nawet mimo, że rudowłosy pirat nie miał już w swoim ręku księcia Warcisława. Po prostu pragnął, aby dosięgła go ręka sprawiedliwości. Wielu mówiło, że Störtebeker uciekł na Morze Północne, ale Bertram był przekonany, że nadal znajduje się na Bałtyku i ukrył się gdzieś niczym szczur.

Wulflem zaklął wściekle. Tak bardzo chciał widzieć go pochwyconego i upokorzonego, że stało się to dla niego

najważniejszą sprawą. Zamiast szykować okręty do nadchodzącej wojny z Danią, cały czas myślał o wyprawie przeciw piratom. Nawet van Utrecht, któremu Störtebeker również zagrał na nosie, nie podzielał obsesji burmistrza. I to jeszcze bardziej złościło Bertrama.

Począł, aż koga przycumuje do kei, ale ledwie spuszczoneo trap, zaraz wtargnął na pokład. Holendra zastał w rufowej nadbudówce, gdzie ten wydawał ostatnie polecenia szyprowi.

– Co to ma znaczyć?! – krzyknął rozgniewany. – Dlaczego nie zostałeś w Anklam, jak rozkazałem?

Simon spiorunował go wzrokiem, zły, że tak bezpardonowo wdarł się do pomieszczenia. Dlatego nie odpowiedział, po czym najpierw odprawił szypra, a dopiero kiedy zamknęły się za nim drzwi, zwrócił się do patrycjusza:

– Teraz możemy spokojnie porozmawiać.

– Porozmawiać?! – oburzył się Bertram. – Żądam wyjaśnień. Dlaczego wróciłeś do Strzałowa?

Van Utrecht zmrużył oczy, w których pojawił się niebezpieczny błysk. Kapitan nie był przyzwyczajony, żeby zwracać się do niego w ten sposób. Ręka mu zadrżała i wydawało się, że zaraz sięgnie po miecz. Holender zabijał już ludzi za mniejszą obrazę – i nie miało dla niego znaczenia, czy był to zwykły pacholek, szlachcic, czy bogaty mieszczanin.

W jednej chwili przestraszony Wulfem cofnął się o krok. Opuściła go cała pewność siebie i stał teraz przed najemnikiem zgarbiony, z opuszczonymi ramionami, niczym czekający na reprimendę chłopiec pokładowy, a nie jeden z najbardziej wpływowych ludzi w Hanzie.

– Wybacz – wydukał, choć nie był przyzwyczajony do przeproszania kogokolwiek. Zrozumiał, że tak naprawdę nie jest zły na van Utrechta, a wściekł się na niego, bo do Strzałowa nie dotarła „Biała Dama”. Wziął głęboki oddech i rzekł spokojnym tonem:

– Proszę, powiedz mi, co się stało?

Kapitan skinął głową, rad, że burmistrz opanował gniew. Nie lubił, kiedy emocje brały górę nad rozumem.

– Musieliśmy opuścić Anklam.

– Dlaczego?

– Wybuchła rewolta – odparł Holender.

– Tam też? – jęknął burmistrz. Pamiętał, ile szkód narobili buntownicy w innych miastach Hanzji.

– Pospólstwo chwyciło za broń. Wydawało się, że straż miejska rychło sobie z nimi poradzi, ale nic z tego. Tłum wdziera się do domów patrycjusza, grabi dobra, a ich samych wywleka na bruk. Na ulicach leje się krew, wybuchają pożary i miasto wygląda jak po wojnie.

Oficer przerwał, marszcząc czoło.

– Radni zabarykadowali się w ratuszu, ale nie wiadomo, jak długo zdołają się tam utrzymać. Próbowałem pójść im na pomoc, zebrałem ludzi, rozdałem broń, ale nie daliśmy rady. Na jednego mojego marynarza przypadało dziesięciu buntowników. Wycofaliśmy się na statek. Hołota podążyła za nami, wdarła się do portu, więc musieliśmy odcumować i uciekać.

Wulflem pokiwał głową.

– Dobrze żeście uczynili – rzekł. – Sami niczego byście nie zdziałali. Przy pomocy księcia rugijskiego zbiorę wojsko i ruszymy z odsieczą najrychlej, jak się da.

Bertram żwawo skierował się w stronę drzwi. Simon się uśmiechnął. Podobało mu się to, że burmistrz Strzałowa jest człowiekiem czynu, i stwierdził, że dobrze uczynił, pozostając u niego na służbie. Na pewno nie będzie się nudził.

Nagle coś mu się przypomniało.

– W Anklam, zanim to wszystko się zaczęło, spotkałem Kurta Büllenwavera, który załatwiał interesy w mieście. Żywił nadzieję, że

jego córka ma się dobrze, bowiem minął miesiąc, od kiedy wyruszyła do Strzałowa, a jeszcze nie dostał od niej żadnego listu.

Wulfem przystanął. Krew odpłynęła mu z twarzy.

Półwysep Mnichów

Grudzień 1389 roku

Katarzyna, odziana w gruby kozuch, stała na plaży i spoglądała na morze. Słońce niemrawo wynurzało się znad horyzontu, wiatr szumiał cicho, a fale raz za razem wdzierały się na ląd, jakby chciały zagarnąć jak największą połąć ziemi. Przypominały nacierającą masę wojska podczas wielkiej bitwy. Co prawda, dziewczyna nigdy żadnej nie widziała, ale z opowieści, które słyszała, tak je sobie wyobrażała.

Źle spała od kilku nocy. Dzisiaj też obudziła się jeszcze przed wschodem słońca, lecz zamiast przewracać się z boku na bok, wstała z siennika, który dzieliła z Anną, ubrała się i cicho wyszła z chaty. Nikt jej nie pilnował, bo i dokąd na tej wyspie miałyby uciec? Rozejrzała się. Osada pogrążona była we śnie, chociaż niektórzy z rybaków już wychodzili z chat, sprawdzali sieci i spychali łodzie na wodę. Dopóki zatoka nie zamrznie, codziennie będą wypływać na połów.

Od czasu porwania bardzo często wędrowała samotnie po plaży, zachwycając się szumem fal, mewami krążącymi nad taflą wody w poszukiwaniu pożywienia, nieokiełznaną naturą. Całe życie mieszkała w mieście, a gdy tylko wychodziła z domu, trafiała na tłum przechodniów. Tutaj przestrzeń wydawała się nie mieć końca. W Lubece nigdy nie mogła opuszczać domu sama, zawsze przebywała pod czujnym okiem służby. Tutaj, chociaż była

więźniem, miała o wiele więcej swobody.

Przeniosła spojrzenie na zachód. Gdzieś tam, daleko, znajdowało się jej rodzinne miasto. Uświadomiła sobie, że tęskni za nim, za ojcem i matką. Ostatnio niewiele o nich myślała. Nie było kiedy. Najpierw był strach i obawa, co się z nią stanie. Wydawało się, że piraci zgwałcą ją i zabiją. Stało się jednak inaczej dzięki rudowłosemu olbrzymowi, który otoczył ją opieką.

Katarzyna bała się go, a jednocześnie czuła się przy nim bezpieczna. Wydawał się inny niż pozostali. Lubiała uśmiech, który rzadko schodził z jego twarzy, lubiała błysk w niebieskich oczach i to, jak na nią patrzył. Nie lubieżnie, nie z obrzydliwą chucią jak inni mężczyźni, traktujący ją niczym klacz, którą chcieliby ujeżdżać. Nie znaczy to jednak, że jego spojrzenie nie miało w sobie namiętności, wręcz przeciwnie. Patrzył na nią z pożądaniem, ale dostrzegał kobietę, istotę ludzką, a nie rzecz, którą można posiąść.

Zadrżała na wspomnienie rudowłosego. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, po raz pierwszy w życiu tak się czuła. Wypełniała ją dziwna gorączka, ciało płonęło, a intymne miejsce wilgotniało. Pragnęła być blisko tego niezwyklego mężczyzny. Ale zaraz samą siebie strofowała: przecież to pirat, który ją porwał i więził na tej przekłętej wyspie.

Ze zgrozą uświadomiła sobie, że tak naprawdę woli być tutaj, wśród bandytów, niż w Strzałowie. Urowadzenie mogło okazać się zrzędzeniem losu, wyczekiwany cudem, wybawieniem przed ślubem z człowiekiem, którego nie kochała i nigdy kochać nie będzie.

Zaraz jednak na jej twarzy pojawił się smutek. Prędzej czy później to się skończy. Żadna kobieta nie mogła sama decydować o własnym losie. Wszystkie najpierw są zależne od ojca, a potem od męża. Katarzyna czasami zazdrościła zwykłym wieśniaczkom, które chociaż przymierały głodem i chodziły w jednej spódnicy, same

mogły wybierać sobie mężów. A ona wiedziała, że w końcu zostanie zapłacony za nią okup i wróci do Bertrama Wulflema.

Przypomniała sobie minę rudowłosego, gdy dowiedział się, kim ona jest i dokąd podążała. Najpierw wpatrywał się w nią osłupiały, a potem wybuchnął głośnym śmiechem. Okazało się, że dobrze znał jej przyszłego męża. Stwierdził, że w takiej sytuacji musi się dobrze zastanowić, co z nią począć.

Tymczasem Anna dowiedziała się od jednego z piratów, który za nią oczy wypatrywał, że Katarzyna ma być gwarancją bezpieczeństwa dla złoczyńców, więc Störtebeker zamierza przetrzymywać ją, dopóki Wulflem będzie mu zagrażał.

Dziewczyna westchnęła ciężko. Nie wyznawała się na męskich sprawach, była przecież córką kupca, na dodatek dopiero co wyrosła z wieku dziecięcego, jeszcze niedawno bawiła się lalkami. Teraz zaś musiała zmierzyć się z ponurą rzeczywistością. A ta przedstawiała się w czarnych barwach. Niedługo albo wróci do Wulflema, albo któryś z tych obleśnych piratów ją posiądzie, więc nawet jeśli potem ocali życie, skończy w klasztorze, jak większość pohańbionych dziewcząt.

Ona zaś marzyła o prawdziwej miłości, o uczuciu, które rozpali jej serce i ciało. Przymknęła powieki, a przed oczami pojawił się obraz rudowłosego. Jego oczy, błękitne niczym morze, spoglądały na nią z uczuciem, czułością. Wyobraziła sobie, jak szorstkie od miecza dłonie gładzą ją delikatnie po twarzy, a ona przywiera ustami do palców Klause, szczęśliwa, że została obdarzona miłością przez takiego mężczyznę.

Otworzyła oczy i spojrzała na chatę, w której nocował Störtebeker. Jakże pragnęła leżeć teraz u jego boku, spoglądać na niego, gdy śpi, czuwać nad jego snem, a gdy się obudzi, dostarczyć mu rozkoszy. Zastanawiała się, jak by to było znaleźć się w jego ramionach...



W tym samym czasie Bianka, naga jak ją pan Bóg stworzył i przykryta tylko futrem, wtulała się w potężne ramiona Störtebekera. Klaus objął ją delikatnie, odgarnął opadający na oczy kosmyk włosów i pocałował dziewczynę z czułością. Uśmiechnęła się, jeszcze nie do końca rozbudzona.

Początkowo nic nie zapowiadało, że między nimi może do czegoś dojść. Bianka miała mu za złe, że puścił wolno rycerzy zakonnych, i obawiała się, że piraci wyrządzą w wiosce większe szkody niż Krzyżacy. Odnosiła się do niego bardzo oschle i podejrzliwie. Jednakże powoli zaczęła się przekonywać, że Störtebeker nie ma zamiaru krzywdzić rybaków i surowo karze swoich ludzi, gdy ci próbują czynić gwałty. Co więcej, rozdał rybakom sporą część okupu za księcia słupskiego. Dzięki temu zyskał sympatię mieszkańców osady, a ci w podzięcie zaproponowali piratom, żeby tutaj przezimowali.

Bianka oddała pocałunek i Klaus poczuł rosnące podniecenie. Dziewczyna to zauważyła i ponownie się uśmiechnęła. Zręczne dłonie mężczyzny zaczęły wędrować po jej ciele, gładząc najpierw ramiona i piersi, potem uda, brzuch i biodra, aż wreszcie palce dotarły do najintymniejszych miejsc. A ona, już całkowicie rozbudzona, nie pozostała mu dłużna. Sięgnęła do jego przyrodzenia, pieściła je ręką, a następnie ustami i językiem. Niezgrabnie jej to wychodziło, bo nie miała takiego doświadczenia w tym względzie jak jej siostra, ale brak wprawy nadrabiała zapalem.

Pożądanie z każdą chwilą narastało i gdy wydawało się, że zaraz rozerwie przestrzeń, burząc ściany rybackiej chaty, dziewczyna uniosła się i dosiadła mężczyznę. Najpierw poruszała się powoli, chcąc go dobrze poczuć w sobie, delektując się tym, jak się w nią

wsuwa i całą wypełnia. Zaczęła rytmicznie poruszać biodrami, coraz szybciej i szybciej. Kochali się mocno, gwałtownie. Ich ciała i oddechy stały się jednością. Przyspieszyli jeszcze bardziej.

Bianka zadrżała. Wyprostowała się odrzuciła głowę do tyłu, tak że jej bujne miedziane włosy opadły kaskadą na zroszone potem ramiona. Oparła dłonie o szeroki tors pirata i jęknęła przeciągle. W tym samym czasie z gardła Klausa dobiegło westchnienie rozkoszy.

Trwali w błogim uniesieniu, chcąc opóźnić powrót do rzeczywistości, i dopiero po dłuższej chwili ułożyli się obok siebie na sienniku. Leżeli spełnieni, cieszyli się swoją obecnością. Na zewnątrz budził się świt, niemrawe promienie słońca pieściły sople lodu zwisające z dachu chaty, przesuwaly się po połaciach śniegu pokrywającego pola i muskały białe czapy na gałęziach drzew, a oni, wtuleni w siebie, dotykali się leniwie, wsłuchując w uderzenia własnych serc, które były w tym samym rytmie.

Bianka złożyła pocałunek na ramieniu mężczyzny i na jej wargach pojawił się uśmiech. Czuła się szczęśliwa i spełniona. Lecz nagle posmutniała.

– Co z nami będzie? – spytała.

Odpowiedział wzruszeniem ramion.

– A co miałoby być?

– Na wiosnę odejdziesz, prawda?

Przytaknął.

– Nie chcę, żebyś odchodził.

– Nie mogę tutaj zostać.

– Dlaczego?

– Przecież wiesz.

– Nie – rzekła ze złością. – Nie wiem. Powiedz mi.

Störtebeker westchnął ciężko. To nie była jego pierwsza tego typu rozmowa.

– Nie jestem rybakiem, tylko piratem.

– Mógłbyś to zmienić.

– Przeznaczenia nie można zmienić.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Bianka pierwsza przerwała ciszę:

– Znowu będziesz walczył?

– Taki los pirata.

W jej oczach zatańczyły łzy.

– Nie chce cię stracić. Tak bardzo boję się o ciebie.

– Nie martw się tym na zapas – odparł z uśmiechem i mocniej przyciągnął kochankę do siebie. – Po prostu cieszymy się tym, co mamy, czyli naszym szczęściem.

W zielonych oczach błysnęła radość.

– Dobrze, że mamy przed sobą jeszcze całą zimę.

– Właśnie! – odparł. – Odpłyniemy dopiero, gdy puści lód.

Złączyli się w namiętym pocałunku. I gdy Klaus znowu był gotowy w nią wejść, z podwórza dobiegły hałasy.

Rugia

Grudzień 1389 roku

Biały ogier mknął niczym wichur przez pokryte śniegiem pola, plaże i leśne trakty rugijskiej wyspy, z gracją przeskakując ponad zwalonymi przez wiatr drzewami. Wydawało się, że wierzchowiec jest stworzony do lotu, a nie do wyczerpującego galopu w promieniach wschodzącego słońca. Niósł na grzbiecie Johna. Młody pirat był odziany w kozuszek, który zdarł z pewnego duńskiego kupca, a u jego pasa wisiał miecz zdobyty w ostatnim napadzie. Łupieżcze życie mu służyło, dobrze czuł się na „Gwieździe Polarnej”, ale tęsknił za tym, żeby wskoczyć na siodło i pogalopować w nieznaną. Teraz miał okazję.

W Londynie przez dwa lata pracował w stajni i gdy właściciel zorientował się, jak dobrym jeźdźcem jest młodzieniec, pozwolił mu ujeżdżać konie. John uwielbiał poczucie wolności, gdy pędził przez łąki i pola, wiatr owiewał mu twarz, a w uszach dudnił stukot końskich kopyt. Mógłby tak gnać przez wieczność, bo wówczas wszystkie troski i problemy zostawiał daleko za sobą.

Tak było również teraz. W ciągu ostatnich kilku miesięcy przeżył więcej niż przez całe swoje życie. Niebezpieczeństwo zaglądało mu w oczy niemal każdego dnia i czuł na plecach cuchnący oddech śmierci. Na razie wychodził bez szwanku z każdej przygody, ale wiedział, że prędzej czy później kostucha i tak go dopadnie. Szczęście nie mogło wiecznie sprzyjać rzezimieszkowi.

Strasznie bał się chwili, gdy wreszcie przesyje go ostrze wrogiego miecza lub ugodzi bełt z kuszy. Przed każdą walką cały się trząsał, ręce trzymające broń drżały, czasami nawet wymiotował, ale gdy dochodziło do starcia, strach nagle mijał, a on bił się jak oszalały. Ale potem wszystko wracało. Znow był przestraszonym chłopcem.

Na szczęście przez najbliższe trzy miesiące nie szykowała się żadna bitwa. Łupy ze zrabowanych statków oraz okup za księcia Warcisława powinny starczyć na wygodne życie do czasu stopnienia lodów, kiedy będzie można swobodnie żeglować. Wielu piratów chciało przeczekać zimę w jakimś mieście, gdzie mogliby roztrwonić złoto na uciechy, lecz Störtebeker był nieubłagany i kazał pozostać na Rugii. Twierdził, że chociaż wyspa leży niedaleko Strzałowa, to jest ostatnim miejscem, gdzie będzie ich szukał Bertram Wulflem. Najbardziej był temu przeciwny Wichman, ale i on w końcu dał się przekonać.

John nie narzekał. Od mocnego trunku i ladacznic stronił, a ta okolica mu się podobała. Często urządzał sobie piesze wędrówki wzdłuż plaży, daleko na północ. Pewnego dnia znalazł błakającego się konia, który musiał uciec jakiemuś możnemu gospodarzowi.

Chłopak nie zamierzał szukać jego właściciela i po prostu przywłaszczył sobie ogiera. Od tego czasu codziennie wyruszał na długie przejażdżki. Pragnął też objechać całą wyspę, ale Klaus najpierw pokręcił głową w niedowierzaniu, mówiąc, że i w tydzień nie zdołałby jej okrążyć, a potem po prostu surowo zabronił mu wycieczek. Obawiał się, że młodzian przypadkiem zdradzi się, mówiąc coś w obcej mowie, ktoś zwróci na to uwagę, doniesie o podejrzanym przybyszu w takiej głuszy, a straż z najbliższego miasteczka zechce to sprawdzić. No i koniec końców ksiązący ludzie natrafiają na kryjówkę piratów. A na Rugii większość mieszkańców sprzyjała Hanzie.

Oczywiście, John nadal wypuszczał się na wyprawy, ale w ich takcie był bardzo ostrożny.

Teraz galopował leśnym traktem, przytulony do końskiej szyi, podziwiając mieniący się w blasku słońca śnieg na gałęziach drzew oraz oblodzone pnie dębów. Dla młodzieńca nie mogło być w tej chwili piękniejszego widoku. Oczy mu się świeciły, na ustach pojawił się promienny uśmiech. Zapomniał o tym, że niedługo będzie musiał wrócić do nudnych codziennych zajęć na statku, bo ojciec Wigbold nie pozwalał na lenistwo nawet podczas zimowania. Zapomniał też o tym, że będzie trzeba wrócić na morze, aby zabijać i rabować. Obecnie liczył się tylko wiatr we włosach i szalony pęd.

I wtedy spostrzegł na trakcie zbrojnych. Zaraz skierował wierzchowca w las. Z bijącym sercem pędził przez gęstwinę, mając nadzieję, że nie został zauważony. Dopiero gdy odjechał o staję²³ od gościńca, odważył się odwrócić. Z ulgą stwierdził, że nikt go nie

93 Staja (stajanie) – miara długości i powierzchni, istniejąca od wczesnego średniowiecza do XIX wieku. Pierwotnie stajanie oznaczało zapewne odległość pokonywaną między jednym a drugim postojem podczas pieszej wędrówki. Potem znacznie skrócono tę miarę i późnośredniowieczna staja przypuszczalnie nie przekraczała kilometra.

ściga. Nabrawszy odwagi, zatrzymał się, zsiadł z konia i ukrył za pniem rozłożystego drzewa. Stąd miał dobry widok na cały trakt.

Uważnie przyglądał się pochodowi. Na czele jechał mężczyzna w średnim wieku. Po bogatym stroju było widać, że to możny pan. Za nim ciągnęła się kolumna niemal dwustu zbrojnych oraz dwóch tuzinów wozów ciągniętych przez woły. Pojazdy były wyładowane bronią. Wyprawa wojenna.

Najpierw przestraszył się, myśląc, że podążają w stronę wioski, w której zatrzymali się piraci, ale żołnierze kierowali się na zachód, w stronę Strzałowa. Musiał o tym natychmiast powiadomić Störtebekera. On będzie wiedział, co robić.

Ostrożnie wydostał się z lasu, wsiadł na konia i popędził na przełaj do rybackiej wioski.

Półwysep Mnichów

Grudzień 1389 roku

Störtebeker, słysząc podniesione głosy, szybko ubrał się i wybiegł z chaty. Najpierw dostrzegł stojącą na plaży Katarzynę. Uśmiechnęła się do niego, lecz zaraz spochmurniała, gdy spostrzegła wychodzącą za nim Biankę. Rudowłosy pomyślał, że córka hanzeatyckiego patrycjusza chyba jest o niego zazdrosna, ale teraz nie miał czasu zwracać sobie tym głowy.

Pośrodku rybackiej wioski zobaczył dowódców dwóch pirackich statków. Ojciec Wigbold i Wichman kłócili się o coś, jak zawsze zresztą, bo rzadko potrafili dojść do porozumienia. Franciszkanin uważał Irlandczyka za mordercę, zbrodniarza i człeka pozbawionego wszelkiej moralności. Piotr odgryzał mu się zarzutami, że śmie pouczać innych, podczas gdy sam trudni się

piractwem. Początkowo Klausowi wydawało się, że spory te muszą przerodzić się w głębszy konflikt pomiędzy załogami „Gwiazdy Polarnej” i „Świętego Patryka”, na szczęście jednak zawsze kończyły się wspólnym pijaństwem.

Wokół hersztów zebrała się spora grupa piratów, którzy zawzięcie o czymś dyskutowali. Niektórzy niespokojnie zerkali to na trakt, to na zatokę.

– Co się dzieje? – spytał rudowłosa.

Ojciec Wigbold wskazał na Johna.

– Chłopak widział zbrojnych. Ale spory kawałek od nas.

Klaus zmrugał oczy.

– Gdzie?!

– Na północ stąd – odparł chłopak.

– Zabroniłem oddalać się od osady.

– Wiem – odrzekł John, spuszczaając wzrok. – Zapomniałem się.

Störtebeker obrzucił go surowym spojrzeniem, a potem popatrzył na stojącego nieopodal białego ogiera. Coś będzie musiał z tymi wycieczkami Johna zrobić. Ale nie teraz. Teraz były ważniejsze sprawy.

– Ilu ich było?

– Ponad dwie setki. Dobrze uzbrojeni. Od razu było widać, że idą na wyprawę wojenną.

– Dokąd zmierzali?

– Na zachód.

– Na zachód? – zdziwił się Klaus. – Czego, u diabła, mieliby tam szukać?

– Wierzysz temu dzieciakowi? – prychnął Wichman. – Pewnie tak był przestraszony, że pomieszały mu się kierunki. Powiadam wam, że zbrojni idą na nas!

Ojciec Wigbold poczerwieniał ze złości.

– Odczep się od Johna – rzekł, grożąc Irlandczykowi pięścią. – Na

pełnym morzu bezbłędnie potrafi przewidzieć, skąd wiatr zawieje, i lepiej zna się na kierunkach niż wszyscy twoi ludzie razem wzięci! Nie mógł się pomylić!

– Ja mu nie wierzę – odparł Piotr. – To głupiec!

Mężczyźni gotowi byli się pobić.

– Spokój! – warknął Störtebeker. – Musimy się zastanowić, co robić.

Mnich i Wichman nadal patrzyli na siebie z niechęcią, ale zastosowali się do rozkazu.

– Sprawa jest prosta. – Irlandczyk wzruszył ramionami. – Odkryli nas i teraz tu idą. Mają nad nami dwukrotną przewagę. Powinniśmy podnieść kotwicę i uciekać, póki nie jest za późno.

Wigbold już chciał mu odpowiedzieć, ale w tym momencie podszedł do nich ojciec Bianki. Gdy rybak dowiedział się o przemarszu zbrojnych, najpierw obleciał go strach, że w wiosce znowu dojdzie do walki i najbardziej na tym ucierpią mieszkańcy. Chciał prosić Störtebekera, żeby piraci odpłynęli, ale najpierw postanowił dowiedzieć się, co naprawdę dzieje się w okolicy. W tym celu wysłał ludzi na przeszpiegi.

– Już wszystko wiem! – krzyknął do hersztów.

– Mówże.

Twarz rybak rozjaśnił uśmiech.

– Chłopak ma rację, oni nie idą tutaj.

John wyprostował się dumnie i z góry spojrział na Wichmana, Irlandczyk jednak nie zamierzał przeproszać.

– A dokąd? – zapytał Störtebeker.

– Do Strzałowa – odparł rybak. – A potem na Anklam.

– Anklam?

– Ponoć wybuchła tam rewolta i książę rugijski zwołuje zbrojnych.

– No to dlaczego podążają do Strzałowa? – zapytał Wigbold, który całe życie spędził w Anglii i nie znał tych terenów.

Rybak bezradnie wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem.

– W Strzałowie wsiądną na okręty i popłyną do Anklam – rzekł Störtebeker, mrużąc oczy. – Książę rugijski z własnej woli nawet palcem by nie kiwnął w obronie hanzeatyckich patrycjuszy, szczególnie mieszkających w Anklam, poza jego księstwem. Musiał go do tego namówić Bertram Wulflem. Ciekawe tylko, co mu obiecał...

Ojciec Wilgbold spojrział podejrzliwie na Klause.

– Coś zamierzasz, prawda?

– Owszem – odparł rudowłosy. – Na ulicach Anklam trwa bunt, a to stwarza świetną okazję do grabieży.

– Przecież złota, jak na razie, nam starczy.

– Złoto nie jest najważniejsze.

– A co? – zdziwił się Wichman.

– Przygoda! – Twarz Störtebekera rozjaśnił uśmiech. – Ponadto kiedyś komuś obiecałem, że powrócę do Anklam.

Anklam

Grudzień 1389 roku

„To nie tak miało wyglądać – pomyślał Wichman, trzymając się za zranione ramię, które zostało rozcięte ostrzem halabardy. – To miał być wypad do miasta, które stało w ogniu walki! Anklam miało być bezbronne!”

Wyruszyli do Anklam tego samego dnia, którego dowiedzieli się o buncie. Störtebeker wyznaczył do zadania pięćdziesięciu ludzi i tylko jeden statek, „Morskiego Tygrysa”, gdyż był najszybszy z ich trzech jednostek. Plan był prosty: dotrzeć do miasta i jeszcze przed

przybyciem wyprawy karnej Wulflema oraz księcia rugijskiego zrabować, co się da. Zamęt panujący podczas zamieszek miał im pomóc w ograbieniu domów najzamożniejszych patrycjuszy.

Niestety, od samego początku wszystko szło źle.

Po zejściu na ląd natychmiast zostali zaatakowani przez jedną z band grasujących w dzielnicy portowej. I chociaż Störtebeker próbował przekonać miejscowych, że działają w tej samej sprawie i ulepiani są z tej samej gliny, skończyło się poważnym starciem. Piratom udało się odeprzeć napastników, ale i tak stracili dwóch ludzi. A potem było już tylko gorzej.

Okazało się, że domy patrycjuszy dawno już zostały obrabowane przez motłoch. Rudowłosy postanowił więc zdobyć ratusz, gdzie cały czas bronili się członkowie rady miejskiej. Zamknęli się tam z rodzinami i dwoma tuzinami strażników, którzy z okien strzelali do każdego, kto tylko się zbliżył. Pomimo to Klaus zarządził szturm, twierdząc, że wewnątrz znajduje się skarbiec wypełniony złotem.

Podczas ataku bełty z kusz powaliły czterech piratów, ale reszcie udało się wdrzeć do środka i pokonać strażników. Wyrznęli w pień patrycjuszy i poużywali sobie z ich żonami oraz córkami. Störtebeker tym razem nie oponował, z dziką satysfakcją nie zwracając uwagi na błagania o litość możnych Anklam. Wszak przed kilkoma miesiącami ci sami ludzie skazali go na śmierć.

– Obiecałem, że po was przyjdę – rzekł wówczas i osobiście poderznął gardło temu, który oskarżył go o zgwałcenie żony.

Ojciec Wigbold nie przeszkadzał im, bowiem został na „Morskim Tygrysie”. Miał pilnować, żeby w każdej chwili można było podnieść żagle i odpłynąć.

Zdobycie ratusza było największym i ostatnim sukcesem tej wyprawy. Skarbiec okazał się pusty. Od torturowanego kupca dowiedzieli się, że gdy tylko rozpoczęły się rozruchy, obrabował go jeden z radnych i zbiegł z miasta. Wściekli i rozgoryczeni piraci

postanowili wracać na statek, ale gdy tylko wystawili nos na zewnątrz, natrafili na wojsko przyprorowadzone przez Wulflema. Natychmiast wycofali się do ratusza i bronili się w nim przez całą noc. Odparli już trzy ataki.

Piotr ostrożnie wyjrzał przez okno. Żołnierze, odziani w białoczerwone barwy Strzałowa i uzbrojeni w halabardy, przystępowali do kolejnego szturmu. Za nimi szli ludzie księcia rugijskiego. Irlandczyk naliczył ponad setkę zbrojnych.

– To wszystko twoja wina – wyszczał wściekle do stojącego obok Störtebekera. – Gdyby nie twoje pragnienie zemsty, już by nas tutaj nie było.

Klaus nawet nie raczył obdarzyć go spojrzeniem, obserwując przeciwników gromadzących się pod ratuszem.

– Pierwszy rwałeś się, żeby tu ze mną przybyć – odparł. – Mogłeś zostać na Rugii. Rzekłem przecież, że na wyprawę płynie ten, kto chce.

– Mówiłeś też, że jest tutaj skarbiec.

– Bo jest.

– Pusty!

Olbrzym wzruszył ramionami.

– W pirackim fachu trzeba podejmować ryzyko.

– Teraz zginiemy!

– Trudno. Najwidoczniej Bóg postanowił, że to kres naszego życia.

Wichman w odpowiedzi tylko prychnął gniewnie. Tymczasem Störtebeker zmrużył oczy, jakby coś spostrzegł. Uśmiechnął się, klepnął Irlandczyka w plecy i rzekł:

– A może jednak jeszcze nasz czas nie nadszedł?

Piotr spojrział na niego z nadzieją.

Klaus wyszedł przez drzwi ratusza i uzbrojony tylko w zawadiacki uśmiech stanął na placu, spoglądając prosto w wycelowane w niego bełty i szpice halabard. Wydawało się, że żołnierze zaraz rzucą się

na przywódcę piratów, jednakże po chwili z tłumu wyszedł szpakowaty mężczyzna odziany w barani kozuch zapinany na guziki splecione z wąskich pasków skóry.

– Bertram Wulfem – przywitał go złoczyńca. – Rad jestem widzieć cię w dobrym zdrowiu.

– Nie chcę powiedzieć tego samego o tobie – wycedził przez zęby burmistrz Strzałowa. – Mogłem się domyślić, że to ty dowodzisz tą bandą obdartusów. Opuśćcie ratusz i złożcie broń, a obiecuję wam bezbolesną śmierć.

– Nadal gniewasz się za porwanie księcia Warcisława? – rzekł Störtebeker z udawanym zdumieniem. – Zapomnijmy o tym, co było. Życie jest zbyt krótkie, żeby pamiętać tak drobne urazy.

W oczach hanzeatyckiego patrycjusza zapłonęła wściekłość.

– Mogę rozkazać ubić cię tutaj jak psa!

Pirat nie przestraszył się groźby, co więcej, uśmiechnął się szeroko.

– Nie uczynisz tego – rzekł.

– Daj mi chociaż jeden powód, żeby tego nie zrobić!

– Bo mam coś, na czym bardzo ci zależy.

Bertram zmarszczył brwi.

– Mów!

– Różnie się w życiu układa. Czasami można sobie pewne sprawy zaplanować z góry, innym zaś razem wszystkim rządzi przypadek. Szczęśliwym trafem na jednym ze zdobycznych statków spotkałem niewiastę, która płynęła do ciebie. Zdaje się, że popsulem nieco małżeńskie plany...

– Katarzyna – wyszeptał poblady burmistrz. Zaraz jednak jego oczy błysnęły gniewem. Rzucił się w stronę Störtebekera i chwycił go za skórzany kaftan. – Gadaj! Co z nią zrobiłeś, bydlaku?!

Hanzeatyccy żołnierze unieśli broń, a z ratusza wychylili się towarzysze rudowłosego. Zdawało się, że lada chwila dojdzie do otwartej walki na rynku.

– Uspokój się! – rzekł rozkazująco Klaus. O dziwo, Wulflem odstąpił o dwa kroki. – Nic jej nie jest. Znajduje się w mojej mocy, ale traktowana jest jak dama. Pozostała nietknięta.

Burmistrz Strzałowa odetchnął z ulgą.

– Uwolnię ją, jeśli pozwolisz mnie i moim ludziom odpłynąć z Anklam.

– A jaką mam pewność, że ją wypuścisz?

– Dam ci moje słowo.

– Cóż warte jest słowo rozbójnika? – prychnął Bertram.

– A czym różni się słowo dane przez rozbójnika od danego przez rycerza? Obaj są dziełem Boga i oddychają tym samym powietrzem. Jeden i drugi włada orężem, zabija ludzi i żyje z łupów wojennych.

– Powinieneś zostać filozofem, nie piratem.

– Może. – Olbrzym wzruszył ramionami. – Jednakże jak nudne byłoby wówczas twoje życie.

– Jesteś wrzodem na tyłku, Störtebeker.

Klaus uklonił się szydlerczo.

– Zawsze do usług.

Wulflem spojrzał na niego uważnie.

– Czasami odnoszę wrażenie, że jesteś ulepiony z innej gliny niż zbiry, z którymi się zadajesz.

Rozbójnik uśmiechnął się lekko.

– Mógłbyś się zdziwić.

– Nosisz w sobie wiele tajemnic – mówił Bertram, nie spuszczać oczu z pirata. – Kiedyś je odkryję.

Störtebeker uniósł lekko brew.

– Czy to groźba?

Burmistrz nie odpowiedział.

– To jak będzie? – spytał pirat. – Pozwolisz nam opuścić miasto?

Przez jakiś czas Bertram milczał, zastanawiając się, czy może zaufać człowiekowi, który już raz go zdradził. Wreszcie westchnął

ciężko i rzekł:

– Zgoda! Ty i twoi ludzie możecie odpłynąć. Nikt nie uczyni wam krzywdy.

– Dajesz mi na to swoje słowo?

– Daję – mruknął Wulflem – Kiedy zobaczę Katarzynę?

– W ciągu trzech dni „Biała Dama” z Katarzyną dotrze do Strzałowa. Daję ci na to moje słowo.

Bertram skinął głową.

Tego samego dnia piraci bezpiecznie przeszli przez wszystkie posterunki hanzeatyckie i wsiedli na „Morskiego Tygrysa”. Odbijając od nabrzeża, Störtebeker przyglądał się splądrowanemu miastu, dogasającym pożarom i ruinom bogato zdobionych kamienic. Dokonał odwetu na patrycjuszach z Anklam, ale nie czuł z tego powodu żadnej satysfakcji. Tak naprawdę pragnął zemsty na mordercach rodziców i sióstr.

Wierzył, że kiedyś będzie miał sposobność ją wyrzucić.

Półwysep Mnichów

Grudzień 1389 roku

Na „Białej Damie” postawiono żagle, podniesiono kotwicę i koga zaczęła oddalać się od wybrzeża. Uwolnieni przez piratów marynarze ochoczo wykonywali polecenia szypira, ciesząc się, że wracają do domu cali i zdrowi. Jediną osobą na pokładzie niezadowoloną z takiego obrotu sprawy była Katarzyna.

Stała oparta o reling na kasztelu rufowym, spoglądając na oddalający się półwysep. Starła się nie rozplakać. Ona nie podążała ku wolności, ale ku zupełnie innej niewoli w pętach małżeństwa z Bertramem Wulflemem. Zastanawiała się, czy nie wskoczyć do

morza i nie popłynąć ku brzegom Rugii, ale zrezygnowała z tego głupiego pomysłu. Po pierwsze, woda musiała być lodowata, po drugie, takie zachowanie nie przystoi damie, po trzecie, nawet jeśli udałoby się jej dotrzeć do brzegu, Störtebeker zaraz odesłałby ją z powrotem na statek. Westchnęła ciężko.

Nie chciała płynąć do Strzałowa również ze względu na tego rudowłosego pirata. Trudno jej było zrozumieć dlaczego, ale zakochała się w nim. I chociaż przez cały pobyt w pirackiej niewoli w ogóle nie zwracał na nią uwagi, a ich jedyna dłuższa rozmowa odbyła się na dzień przed wypłynięciem „Białej Damy”, była przekonana, że powinna należeć do tego mężczyzny i żadnego innego.

Dobrze pamiętała każde wypowiedziane przez Klause słowo. Zaraz po powrocie z wyprawy do Anklam przyszedł do izby, którą zajmowała wraz z Anną, odprawił służącą i rzekł:

– Jesteś wolna, pani. Szyper „Białej Damy” jest już powiadomiony. Jutra rano wyruszysz do Strzałowa.

Zamilkł, oczekując z jej strony wybuchu radości, jednak zmarszczyła tylko brwi.

– Nie cieszysz się? – spytał zdziwiony.

– Nie – odparła zgodnie z prawdą.

Roześmiał się.

– Czyżby towarzystwo brudnych piratów okazało się lepsze od wymuskanych patrycjuszki?

Spojrzała na niego ze złością, zastanawiając się, dlaczego mężczyźni, chociaż rządzą światem, w niektórych sprawach okazują się durniami?

– Twoi towarzysze, panie, śmierdzą i są pozbawieni wszelkich manier – warknęła wściekle. – Wolałabym przebywać ze świniami w chlewie niżli z większością z nich.

– To dlaczego nie cieszysz się, że nas opuszczacie?

– Nadal nic nie pojmujesz?

Zbity z tropu Störtebeker pokręcił głową. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale w brązowych oczach dziewczyny dostrzegł coś, co spowodowało, że zamarł z półotwartymi ustami. Zazwyczaj niewiasty spoglądały na niego z mieszaniną zachwyty i figlarności. Ta, owszem, patrzyła z namiętnością, ale również z czułością i jedynym w swoim rodzaju smutkiem. Wreszcie zrozumiał.

Niespodziewanie przywarła do niego. Trwała tak wtulona w jego ramiona, a potem przymknęła powieki, wspięła się na palce i złożyła gorący pocałunek na jego ustach. Odpowiedział równie namiętnie.

– Nie możesz zostać – rzekł, gdy już oderwali się od siebie.

W jej oczach pojawiło się niezrozumienie.

– Dlaczego? – spytała. – Czy chodzi o Biankę?

– Nie – odparł, marszcząc brwi. Właśnie sobie uświadomił, że przy Katarzynie zupełnie zapomniał o miedzianowłosej córce rybaka, która też darzyła go afektem. – Dałem słowo, że wrócisz do Strzałowa.

– Ale ja pragnę zostać z tobą!

– Dałem słowo – powtórzył bezradnie i, nie mogąc znieść błagalnego spojrzenia dziewczyny, niemalże wybiegł z chaty.

Plakała całą noc. Potem już nie ujrzała Klausa.

Teraz stała na rufie „Białej Damy”, bezskutecznie próbując wypatrzeć na brzegu jego sylwetkę. Ktoś okrył ją płaszczem. Odwróciła się. Anna.

– Zejdz pod pokład, pani, bo się przeziębisz.

Katarzyna pokiwała głową, po raz ostatni z nadzieją spojrzała na Półwysep Mnichów, ale nie dojrzała tego, którego kochała.



Störtebeker siedział na skałach niedaleko wioski i spoglądał na odpływającą kogę. Specjalnie wybrał takie miejsce, gdyż nie chciał,

żeby Katarzyna go widziała, nie chciał dawać jej nadziei. I chociaż nigdy nie przejmował się uczuciami niewiast, które uwiódł, tym razem było inaczej. Nie wiedział dlaczego.

Gdy obserwował oddalającą się „Białą Damę” i widoczną na pokładzie sylwetkę dziewczyny, odczuwał dziwny smutek. Na początku wydawało mu się, że po prostu przyzwyczaił się do obecności córki patrycjusza. Ale było coś innego, jakaś wewnętrzna siła, która zawładnęła jego sercem. Wszystko zaczęło się od wczorajszego pocałunku. Nie mógł przestać myśleć o Katarzynie.

Nagle zapragnął zatrzymać ją dla siebie, czuć jej obecność każdego dnia, zachwycać się jasnymi włosami, brązowymi oczami, gracją ruchów. Pragnął z nią być, wielbić ją i dawać rozkosz. Nigdy jeszcze nie czuł czegoś takiego do żadnej niewiasty. Jeśli to była opiewana przez wędrownych pieśniarzy miłość, to Klaus musiał przyznać, że mogła powalić największego mocarza.

Westchnął ciężko, patrząc jak biało-czerwony żagiel kogi znika za horyzontem. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś dane mu będzie ujrzeć Katarzynę? Zaraz jednak otrząsnął się z tych myśli. Nie mieli przed sobą żadnej przyszłości. Ona niedługo zostanie żoną Bertrama Wulflema, zamieszka w Strzałowie pośród służby, za parę lat otoczy ją banda rozwrzeszczanych dzieciaków, a on nadal będzie żeglował po morzach jako zwykły rozbójnik.

Poczuł miękką dłoń na ramieniu. Odwrócił się i ujrzał zielone i pełne smutku oczy Bianki.

– To prawda, że jutro odpływacie? – spytała.

– Tak – odparł. – Gdy tylko „Biała Dama” dopłynie do Strzałowa, Bertram Wulflem dowie się, gdzie mamy kryjówkę, i przyśle tu wojsko. Lepiej, żeby nas tu nie było.

Pokiwała głową.

– Martwię się, co będzie z wami – dodał Störtebeker.

– Nic nam nie grozi. – Machnęła lekceważąco ręką. – Hanzeaci nie

ośmielił się skrzywdzić poddanych księcia rugijskiego.

– Też żywię taką nadzieję – przytaknął, posyłając ku morzu ostatnie spojrzenie. Hanzeatycka koga z Katarzyną na pokładzie zdążyła już zniknąć zza widnokregiem.

– Dokąd popłyniecie?

– Nie wiem jeszcze. Ale gdzieś na pewno znajdziemy kryjówkę na zimę.

Bianka przygryzła wargę.

– A wrócisz do mnie?

Klaus uśmiechnął się promiennie i przyciągnął dziewczynę tak gwałtownie, że aż pisnęła.

– Oczywiście! Przyłynę do ciebie z pierwszym promieniem wiosennego słońca. Ale mamy dla siebie jeszcze cały dzień i noc. Wykorzystajmy to!



KONIEC PIERWSZEGO TOMU

Bibliografia

GRADOWSKI, MICHAŁ i ŻYGULSKI, ZDZISŁAW jun. – Słownik uzbrojenia wojskowego, Warszawa 2010.

KOCZOROWSKI, EUGENIUSZ – Kogi i holki, „Morze” nr 8, 1997.

KOCZOROWSKI, EUGENIUSZ – Pogrom krzyżackiej armady, Warszawa 2003.

KUCZYŃSKI, STEFAN – Wielka wojna z zakonem krzyżackim w latach 1409–1411, Warszawa 1980.

KOŚĆ, FRANCISZEK – Mekka bałtyckich żeglarzy, „Morze” nr 3, 1962.

KOZŁOWSKI, BOLESŁAW – O Hanzie i jej żegludze, „Morze” nr 6, 1954.

OLENDER, PIOTR – Okręty średniowiecza – okręty Północy, „Morza, statki i okręty” nr 3, 2004.

O zwyczaju morskiej bitwy – wybór, opracowanie i wstęp Jakub Zdzisław Lichański, Gdańsk 1984.

Polska technika wojskowa do 1500 roku, praca zbiorowa pod redakcją Andrzeja Nadolskiego, Warszawa 1994.

RATAJCZYK, LEONARD – Historia wojskowości, Warszawa 1980.

RZEPECKI, MARCIN – Klaus Störtebeker i bracia witalijscy, „Morze” nr 10, 1997.

SCHMIDT, HERBERT – Walka długim mieczem według szkoły niemieckiej, Lublin 2011.

SIERECKI, SŁAWOMIR – Bracia witalijscy, Gdynia 1962.

SKROK, ZDZISŁAW – Świat piratów morskich, Gdańsk 1982.